

Stover Matthew

ZDRAJCA

Dla Nauczycieli

PROLOG

OBJĘCIA CIERPIENIA

Poza wszechświatem jest nicość.

Ta nicość nazywa się nadprzestrzenią.

W nicości wisi mała bańka istnienia. Ta bańka nazywa się statkiem.

Bańka nie jest ani w ruchu, ani w bezruchu, nie zna orientacji, bo w nicości nie istnieją odległości ani kierunki. Wisi tam od zawsze, bo w nicości nie istnieje czas. Czas, odległość, kierunek mają znaczenie tylko wewnątrz bańki, a bańka może je utrzymać jedynie poprzez całkowite rozdzielenie tego, co znajduje się wewnątrz, od tego, co znajduje się na zewnątrz.

Bańka jest swoim własnym wszechświatem.

A poza wszechświatem jest nicość.

Jacen Solo wisi wśród bieli, analizując widmo bólu.

W dalekiej podczerwieni znajduje żar pragnienia, który zwęgła mu gardło. Wyżej, w kierunku widocznych długości fal, lśnią szkarłatno-białe, napięte jak struny ściągna, jęczące w jego barkach, twarde jak odłamki szkła wrzaski i wycia stawów biodrowych, niczym śmiertelna pieśń złotych ithoriańskich gwiazdników. Zieleń też tu jest - bulgoczące ozory kwasu żarłocznie liżą jego nerwy; elektrycznie błękitne wstrząsy wprawiają przeciążone ciało w konwulsje.

A jeszcze wyżej, daleko poza ultrafioletową zdradą, która go tu przywiodła - zdradą, która oddała go w szpony Yuuzhan Vongów, zdradą, która zamknęła go w Objęciach Cierpienia, zdradą Vergere, której zaufał - trafia na milczące, druzgocące pęki promieni gamma przeszywające mu mózg.

Pęki promieni gamma mają barwę śmierci jego brata.

Anakinie, jęczy z najgłębszych głębi swego jestestwa. Anakinie, jak to możliwe, że nie żyjesz?

Już wcześniej zaglądał w twarz śmierci bliskich mu osób, nie raz i nie dwa: uznał za zaginioną Jainę, matkę, ojca, wujka Luke'a. Opłakiwał ich, pogrążał się w żałobie, ale zawsze okazywało się, że to pomyłka, nieporozumienie, nieraz nawet umyślne oszustwo. Koniec końców, zawsze do niego wracali.

Do czasu Chewbaccy.

Kiedy na Sernpidala spadł księżyc, zmiotł nie tylko życie Chewbaccy, ale także magiczny czar, który zawsze zdawał się ich chronić. Coś we wszechświecie przechyliło się na bok i otwarło szczelinę w rzeczywistości. Przez tę szczelinę do jego rodziny wsączyła się śmierć.

Anakinie...

Jacen widział śmierć brata. Czuł jego śmierć w Mocy. Widział jego martwe ciało w rękach Yuuzhan Vongów.

Anakin nawet nie znikł.

Po prostu umarł.

W jednej nieprawdopodobnej chwili przestał być bratem, z którym Jacen się bawił, żartował, którym się opiekował, któremu robił kawały, z którym walczył, uczył się, którego kochał... i stał się... czym? Przedmiotem. Szczątkami. Już nie osobą, już nie... Teraz jedyną osobą imieniem Anakin jest wspomnienie, jakie Jacen nosi w sercu.

Wspomnienie, na które nie można nawet patrzeć.

Każdy przebłysk pamięci o Anakinie: jego bezczelny uśmiech, tak podobny do uśmiechu ojca, oczy gorejące niezłomną wolą - lustrzane odbicie oczu matki, niedbały, atletyczny wdzięk wojownika, odziedziczony po wujku Luke'u - jest jak snop promieni gamma, który wypala mu szpik w kościach, doprowadza mózg do wrzenia, aż spieniona materia rozsadza mu czaszkę.

Ale kiedy odwraca wzrok od Anakina, nie ma już nic więcej do oglądania. Tylko ból.

Nie może sobie przypomnieć, gdzie jest - czy na statku, czy jeszcze na planecie. Odnajduje mgliste wspomnienie pojmania na pokładzie statku Yuuzhan Vongów, ale nie jest pewien, czy to zdarzyło się jemu, czy komuś innemu. Nie pamięta nawet, czy takie rozróżnienie w ogóle coś znaczy. Wie tylko, że wokół jest biel.

Pamięta, że już kiedyś był wzięty do niewoli. Przypomina sobie Belkadan, swój bezsensowny sen o uwolnieniu jeńców, pamięta bezgraniczne przerażenie, jakie go ogarnęło, kiedy się zorientował, że potęga Mocy nie znaczy nic wobec Yuuzhan Vongów; pamięta Objęcia Cierpienia i akcję ratunkową wujka Luke'a.

Mistrza Luke'a. Mistrza Skywalkera.

Przypomina sobie Vergere. Wspomnienie Vergere przywodzi na myśl królową voxynów, od królowej voxynów zaś jego myśli staczają się jak po naoliwionej rozpaczą pochylni ku ciału Anakina. Ciało jego brata unosi się w płonących falach cierpienia znacznie większego niż to, które można zadać ciału Jacena.

Jacen wie - mówi mu o tym własny, dziwnie odległy i abstrakcyjny rozum - że kiedyś żył poza bielą. Że kiedyś znał radość, szczęście, żal, gniew, nawet miłość. Lecz teraz to tylko upiory, cienie szepczące zza zasłony bólu, wypełniającego całą jego istotę, wszystko, czym jest i czym kiedykolwiek będzie. Prosty fakt, że biel kiedyś miała swój początek, nie oznacza, że będzie miała również i koniec. Jacen istnieje poza czasem.

Tam, gdzie się teraz znajduje, jest tylko biel. I Moc.

Moc jest w powietrzu, którym oddycha - chłodny powiew zdrowego rozsądku, łagodny wietrzyk ze szczęśliwszego świata - a jej potęga nie jest dla Jacena bardziej uchwytna od wiatru. Otacza go, wypełnia, przyjmuje jego cierpienie i chroni jego zmysły. Szeptem upomina, że rozpacz należy do Ciemnej Strony i ten nieprzerwany szept daje mu siłę do dalszego życia.

Daleko w tym chłodnym wietrze wyczuwa wir gniewu, czarnej rozpacz, wściekłości i przerażenia, które zaciskają się coraz mocniej, ścieśniają w diament, a później na nowo rozpadają w pył węglowy - dzięki więzi łączącej ich od narodzin czuje, jak jego siostra zapada się w mrok.

Jaino, błaga jedynym cichym zakątkiem serca. Nie rób tego, Jaino. Wytrzymaj...

Ale nie może dotknąć jej poprzez Moc, nie może żądać, aby dzieliła z nim jego ból - ona już i tak cierpi, gdyby musiała przeżywać jeszcze i jego tortury, zapadłaby tylko głębiej w ciemność. I tak nawet ich bliźniacza więź stała się źródłem bólu.

Jacen przeistoczył się w pryzmat, skupiający migoczące widma bólu w jeden oślepiający strumień agonii.

Agonia jest biała.

Oślepiony przez śnieg w odwiecznym hothyjskim południu bólu, Jacen Solo wisi w Objęciach Cierpienia.

Dotknięcie palca na policzku wsączyło czas we wszechświat bieli. Nie była to dłoń człowieka ani Wookiego, ani członka rodziny czy bliskiego przyjaciela - cztery przeciwstawne palce o skórze twardej jak szpony raptora - lecz sam dotyk był ciepły, lekko wilgotny, dość przyjazny.

Ból cofnął się gdzieś w głąb mózgu i Jacen znów mógł myśleć, choć czuł wciąż jego przyczajoną, wyczekującą obecność. Wiedział, że pochłonie go znów, będzie się o niego rozbijał jak morskie fale, ale na razie...

Przyływ cierpienia przetoczył się i oddalił. Jacen mógł wreszcie otworzyć oczy.

Dłoń, która wyprowadziła go z bieli, należała do Vergere. Stała poniżej niego, wznosząc

ogromne, różne od ludzkich oczy i lekko dotykając dłonią jego policzka.

Jacen wisiał poziomo, zawieszony twarzą w dół dwa metry nad podłogą o śliskiej, śluzowatej konsystencji i barwie zielonkawego brązu. Jej powierzchnia była pokryta wijącymi się wzorami, niczym rysunkiem mięśni i żył. Ściany ociekały oleistą wilgocią o mrocznym, organicznym odorze potu banthy i odchodów jastrzębionietoperza. Z ciemności ponad nim zwisały macki, podobne do ruchomych, giętkich czułeków wzrokowych. Ich końce wieńczyły rozjarzone kule, wpatrujące się w niego znad wijących się, tańczących i pełzających pnączy.

Zrozumiał: wróg czuwa.

Jakieś twarde, ostre i nieustępliwe szpony wwierały się w tył jego czaszki. Nie był w stanie obrócić głowy, aby sprawdzić, co go trzyma. Jego ramiona, rozkrzyżowane szeroko i naciągnięte do granic wytrzymałości, wykręcono tak, że stawy barkowe wyły z bólu. Pojedynczy, silny uchwyt unieruchamiał jego kostki, miażdżąc kość o kość.

Lecz największy ból w tej chwili sprawiał mu widok Vergere i wspomnienie o tym, jak jej zaufał.

Cofnęła dłoń, zaciskając i otwierając palce z czymś w rodzaju uśmiechu - jakby ta dłoń była nieznanym narzędziem, które nagle okazało się również zabawką.

- Pomiedzy naszymi mistrzami - zaczęła niedbale, jakby prowadząc przyjacielską pogawędkę - nie uważa się za wstyd, jeśli wojownik w twojej sytuacji poprosi o śmierć. Czasem nawet ją dostaje... w uznaniu wielkiej odwagi. Nawet na tym statku są osoby, które uważają, że twoje wyczyny w walce z królową voxynów zasługują na taki przywilej. Z drugiej jednak strony nasz mistrz wojenny rości sobie do ciebie wyłączne prawo i zamierza cię złożyć w ofierze Prawdziwym Bogom. To także wielki zaszczyt. Czy to rozumiesz?

Jacen nie rozumiał nic, poza tym, że wszystko go boli i że został straszliwie zdradzony.

- Ja... - słowa rozdzierały jego krtań, jakby wykasływał odłamki transparistali. Skrzywił się, zamknął oczy, aż pod powiekami zawirowały mu galaktyki, zacisnął zęby i przemówił mimo wszystko. - Zaufałem ci.

- Tak, wiem. - Otworzyła czteropalczystą dłoń, unosząc ją w górę, jakby chciała pochwycić spadającą łzę i znów się uśmiechnęła. - Dlaczego?

Jacen nie mógł złapać oddechu, aby odpowiedzieć, a potem stwierdził, że właściwie nie zna odpowiedzi.

Vergere była taka... obca.

Jacen wychował się na Coruscant, w jądrze galaktyki, i nie pamiętał, aby kiedykolwiek nie otaczały go tuziny... nie, raczej setki, a nawet tysiące dziwacznych, niesłychanie zróżnicowanych istot. Wystarczyło wyrzeć przez fałszywe, holograficzne okno sypialni. Wszystkie szlaki przestrzenne wiodły na Coruscant, każdy rozumny gatunek Nowej Republiki miał tam swoich przedstawicieli. Rasizm był mu całkowicie obcy; Jacen nie potrafiłby nie lubić albo nie ufać komukolwiek tylko dlatego, że należał on do nieznanego gatunku, który oddycha wyłącznie metanem.

Ale Vergere...

Smukłe, zwarte ciało, ramiona długie i dziwnie ruchliwe, jakby obdarzone dodatkowymi stawami, dłonie, których palce rozpościerały się niczym chwytne gałązki andoańskich polipów skalnych, wygięte w tył kolana nad stopami o szeroko rozstawionych palcach - Jacen był absolutnie, stuprocentowo pewien, że nigdy przedtem nie widział nikogo z rasy Vergere. Podługne, świetliste oczy w kształcie łez, fontanna wibrysów wokół szerokich, wymownych ust... wymownych w jakim sensie? Skąd wie, co tak naprawdę oznacza łuk jej warg?

Przypominał ludzki uśmiech, ale przecież Vergere w niczym nie przypominała człowieka.

Być może jej gatunek używał do przekazywania sygnałów niewerbalnych grzebienia z perłowych piórek, ciągnącego się wzdłuż sklepienia czaszki; w tej chwili, na oczach Jacena, piórka wokół wydłużonej głowy uniosły się i odwróciły tak, że ich kolor ze srebrzystego jak gwiazdy zmienił się na płomieniście, elektryzująco czerwony. Czy to też oznaczało uśmiech? A może obojętne wzruszenie ramion? Albo demonstrację gniewu drapieżnika?

Skąd ma to wiedzieć?

Jak to możliwe, że kiedykolwiek jej zaufał?

- Ale ty przecież... - wychrypiał - ...ty ocalałaś Marę...

- Naprawdę? - zaczęła słodko. - A jeśli nawet, jakie przypisujesz temu znaczenie?

- Myślałem, że jesteś po naszej stronie...

Jedna brew porośnięta wibrysami uniosła się w górę.

- Jacenie Solo, nie ma czegoś takiego, jak "nasza strona".

- Pomogłaś mi zabić królową voxynów...

- Pomogłam ci? Może... A może posłużyłam się tobą, może miałam własne powody, żeby pragnąć śmierci królowej voxynów, a ty okazałeś się wygodną bronią. A może

interesowałam się przede wszystkim tobą, może dałam ci łyżkę dla Mary... może pomogłam ci przeżyć spotkanie z królową voxynów... może wszystko, co zrobiłam dla ciebie, miało na celu sprowadzenie cię tutaj i zawieszenie w Objęciach Cierpienia.

- Więc... - wykrztusił z trudem Jacen - więc o co ci właściwie chodziło...?

- A jak sądzisz, o co mi mogło chodzić?

- Nie... nie wiem... Skąd miałbym wiedzieć?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Czy mam wprowadzać Jedi w arkana teorii poznania?

Jacen zeszytniał w uchwycie Objęć Cierpienia. Nie był aż tak zmalretowany, żeby nie wyczuć ironii.

- Czego ode mnie chcesz? Po co to zrobiłaś? Dlaczego tu jesteś?

- To głębokie pytania, młody Solo. - Piórka Vergere zaślśniły mżącą tęczą, jak talia kart do sabaka z diamentowym brzeźkiem, tasowana przez zręcznego gracza. - Najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że jestem wysłanniczką melancholii, zwiastunką tragedii, przynoszącą dary, aby ulżyć w smutku. Żałobniczką, która przystraja groby. Hierofantką, odprawiającą święte rytuały za umarłych...

Jacenowi zakręciło się w głowie.

- O czym ty mówisz? Nie mogę... Nie potrafię... - głos uwiązł mu w gardle i chłopiec zwiśł bezwładnie.

- Oczywiście, że nie możesz. Wystarczy, że zmarli cierpią z powodu własnego odejścia. Czy można jeszcze od nich wymagać, aby to zrozumieli?

- Mówisz, że... - Jacen obliznął wargi, lecz język miał tak suchy, że tylko zdarł z nich strupy. Potrafię to znieść, pomyślał. Może nie jestem wielkim wojownikiem, ale potrafię zginąć jak wojownik. Chcesz powiedzieć, że mnie zabijesz.

- Och nie, nic podobnego - z ust Vergere dobył się świergot dźwięczny jak endoriańskie wiatrokryształki; domyślił się, że ten dźwięk pełni u niej rolę śmiechu. - Chcę powiedzieć, że ty już jesteś martwy.

Jacen wytrzeszczył oczy.

- Dla znanych sobie światów jesteś stracony na zawsze - wyjaśniła i zrobiła płynny gest, który mógł być jej wersją wzruszenia ramionami. - Twój przyjaciel jest pograżony w żal, ojciec ryczy z wściekłości, matka płacze. Twoje życie zostało zakończone; powstała linia podziału pomiędzy tobą a wszystkim, co znałeś do tej pory. Widziałeś kiedyś terminator,

pograżoną w światłocieniu granicę dnia i nocy, która przebiega przez powierzchnię planety? Przekroczyłeś tę linię, Jacenie Solo. Jasne łąki dnia są dla ciebie przeszłością.

Nie, nie mogło przepaść wszystko, co znał. Dopóki żył, wciąż był Jedi. Sięgnął myślą.

- Och, Moc - lekceważąco zaszcebiotała Vergere. - Moc to życie, a co ty masz wspólnego z życiem?

Cierpienie i zmęczenie wyczerpało zdolność Jacena do odczuwania zdumienia. Nie obeszło go, skąd Vergere wiedziała, co robi. Otworzył się na Moc, pozwolił, aby jej czysta kaskada spłynęła poprzez niego, rozmywając ból i zmieszanie... i natrafił na połączenie w Mocy równie silne, jak jego własne.

Vergere aż iskrzyła energią.

- Jesteś Jedi... - wymamrotał Jacen.

Vergere roześmiała się.

- Tutaj nie ma Jedi - odparła i wykonała szybki jak mgnienie oka gest.

Wir międzygwiazdnych gazów wewnątrz głowy Jacena zapadł się, rozpalając pod jego powiekami gwiazdę protonową. Gwiazda rozdymała się, nabierając mocy i jasności, aż błysk wewnątrz jego czaszki zaćmił przygaszone światło panujące w otaczającej go komnacie. W rozjarzonym, białym blasku słyszał głos Vergere, zimny i ostry jak światło odległych kwazarów.

- Jestem twoją przewodniczką po krainie umarłych.

Potem nie widział i nie słyszał już nic.

Bezgłówna supernowa eksplodowała w jego mózgu, rozsadzając wszechświat.

Czas mijał w niepamięci... sekundy, a może stulecia.

Świadomość ogarnęła go falą, aż wreszcie otworzył oczy, aby stwierdzić, że wciąż wisi w Objęciach Cierpienia, a Vergere wciąż stoi poniżej, z tą samą miną stanowiącą nieludzką imitację wesołej drwiny.

Nic się nie zmieniło.

Wszystko się zmieniło.

Wszechświat był teraz pusty.

- Co...? - wyskrzecztał Jacen. Gardło bolało go tak, jakby spędził kilka dni krzycząc przez sen. - Coś ty mi zrobiła?

- Moc nie ma z tobą nic wspólnego, ani ty z nią. Mam ci pozwolić posiadać Moc? Co za pomysł! To coś chyba tkwi w ludziach... wy, ssaki, jesteście tacy impulsywni, tacy bezmyślni,

jak dzieci od kołyski zabawiające się miotaczem. Nie, nie, nie, młody Solo. Moc jest zbyt niebezpieczna dla dzieci. Znacznie bardziej niebezpieczna niż te zabawne miecze świetlne, którymi wymachujecie na okrągło. Zabrałam ci ją i już.

Pustka wszechświata przepływała mu pod czaszką.

Tam nie ma nic.

Tylko nieskończona próżnia międzygwiazdowa.

Całe szkolenie, cały talent, jego dar, wszystko to nie miało znaczenia dla bezgranicznie obojętnego kosmosu; Moc była jedynie duchem ze snu, z którego się właśnie ocknął.

Jaina... Rzucił się desperacko w kierunku więzi, która była tam zawsze, wzywając swoją siostrę, swoją bliźniaczkę. Cały strach i żal wyrzucił z siebie w próżnię ziejącą tam, gdzie do tej pory była ta więź.

Tylko milczenie. Tylko pustka. Tylko nieobecność.

Och, Jaino, Jaino... tak mi przykro...

Teraz, gdy łącząca ich więź Mocy uległa zniszczeniu, Jaina pomyśli, że umarł.

Dowie się, że umarł.

- Ty... przecież nie możesz... to po prostu niemożliwe... - z trudem zidentyfikował ten cienki, zagubiony w ciemności głosik jako własny szept.

- Ale to zrobiłam. Doprawdy, po co ci to całe zamieszanie z Mocą? Jeśli będziesz grzecznym chłopcem, oddam ci ją, kiedy dorośniesz.

- Ale... - Jakim sposobem jego świat mógł okazać się taki kruchy? Jakim cudem wszystko tak łatwo było zniszczyć? - Ale ja jestem Jedi...

- Byłeś Jedi - poprawiła go. - Nie uważałeś, co mówię? Którego fragmentu o swojej śmierci nie rozumiałeś?

- Nie... - przymknął bezsilnie powieki.

Na rzęsach zebrały mu się krople, a kiedy znów otworzył oczy, łzy wprost z gałek ocznych spadły na podłogę i rozbryznęły się u stóp Vergere. Jedna z giętkich łodyg obecnych w pomieszczeniu opadła, żeby im się lepiej przyjrzeć.

- Nie rozumiem... Nic nie rozumiem... nic nie ma sensu...

Vergere wyprostowała długie, ptasio wygięte nogi i wspięła się na palce, zbliżając szerokie, otoczone wibrysami usta do ucha Jacena.

- Jacenie Solo, słuchaj mnie dobrze. - Jej głos był ciepły i łagodny, a oddech pachniał

przyprawami z obcych ziem. - Wszystko, co ci mówię, to kłamstwo. Każde pytanie, które ci zadaję, to zasadzka. Nie znajdziesz we mnie prawdy. - Przysunęła się tak blisko, że końce wibrysów łaskotały go w ucho. - Nie musisz wierzyć w nic innego, niech to będzie cała twoja życiowa prawda.

Jacen spojrział jej w oczy, ogromne i puste jak przestrzeń międzygwiazdna.

- Czym ty jesteś? - wyszeptał.

- Jestem Vergere - odparła po prostu. - A ty czym jesteś?

Czekała, nieruchoma i cierpliwa, jakby chciała sama przed sobą potwierdzić, że Jacen nie zna odpowiedzi, po czym się odwróciła. W ścianie otwarło się soczewkowane przejście - dźwięk, jaki temu towarzyszył, przypominał mokre cmoknięcie ust wysuniętych do pocałunku - i Vergere wyszła, nie oglądając się za siebie.

Ściany i sufit zatrzęszczały jak stawy starca, uchwyt Objęć Cierpienia zacieśnił się na nowo. Jacen po raz kolejny pogrążył się w agonii.

Dla Jacena Moc już nie istniała - nie istniał ożywczy powiew życia i rozsądku, nie istniała Jaina, nie istniało życie...

Tam, gdzie znajdował się Jacen, była tylko biel.

I U P A D E K

R O Z D Z I A Ł 1 K O K O N

W pełnych pyłu otchłaniach przestrzeni międzygwiazdnej, gdzie gęstość materii mierzona jest liczbą atomów na metr kwadratowy, z nicości wyłonił się nagle mały statek z koralu yorik. Skręcił ostro, zmieniając zarówno wektor, jak i prędkość, po czym odleciał, ciągnąc za sobą prostą jak promień lasera smugę promieniowania jonizującego, by znów pogrążyć się w eksplozji gamma skoku w hiperprzestrzeń.

W jakiś nieokreślony czas później, nieodgadnioną liczbę lat świetlnych dalej, w rejonie nie do odróżnienia od poprzedniego, jeśli nie liczyć zmienionej paralaksy niektórych grup gwiazdnych, statek powtórzył swój manewr jeszcze raz.

W ciągu swej długiej podróży mógł wskoczyć do galaktyki niezliczoną ilość razy i za każdym razem znów pochłaniała go nicość.

Jacen Solo wisi w bieli. Myśli.

Właśnie zaczął pojmować swoją lekcję bólu.

Biel wyrzuca go z siebie co pewien czas, jakby Objęcia Cierpienia rozumiały go, jakby umiały odczytać granice jego wytrzymałości. Kiedy kolejna minuta w bieli mogłaby go zabić, Objęcia Cierpienia uwalniają go na tyle, aby mógł wrócić do rzeczywistości pokoju i statku; kiedy ból palił już tak długo i tak intensywnie, że przeciążone nerwy i mózg uległy zwęgleniu i stały się zbyt otępiełe, aby go czuć, Objęcia Cierpienia opuszczają go na podłogę, gdzie Jacen może się nawet przespać, podczas kiedy inne urządzenia - a może stworzenia, bo Jacen już nie potrafi określić różnicy, nie potrafi stwierdzić, czy w ogóle istnieje jakaś różnica - kąpią go i opatrują rany, wycięte, wydarte lub wydrapane w jego ciele przez uścisk Objęć, a inne jeszcze istoty-urządzenia pełzają po nim niczym pajęczce karaluchy, wstrzykując mu odżywkę i dostarczając dość wody, aby utrzymać go przy życiu.

Nawet bez Mocy szkolenie Jedi dawało Jacenowi możliwość przeżycia bólu; wciąż mógł wprowadzić swój umysł w cykl medytacyjny i pomiędzy świadomością a bielą wzniesć mur dyscypliny. Choć ciało wciąż cierpi, umysł pozostaje poza bólem. Lecz mur dyscypliny nie trwa wiecznie, a Objęcia Cierpienia są cierpliwe.

Przeżerają ściany jego umysłu z mechanicznym uporem fal uderzających o klif. Wyszkolone zmysły Objęć ostrzegają je, że Jacen się broni, więc z wolna mobilizują wysiłki, niczym burza przeradzająca się w huragan, by powalić mury i z całą siłą uderzyć we wszystko, czym jest Jacen. Dopiero kiedy już doprowadzą go do ostatecznej granicy wytrzymałości, a potem wystrzelą poza tę granicę, w nowe galaktyki cierpienia, Objęcia wycofują się powoli.

Jacen ma wrażenie, że ta biel go pożera - jakby Objęcia pochłaniały jego ból, ale nigdy nie do końca, nigdy nie na tyle, by przestał je karmić. Jest hodowany, opatrywany jak wędrowny kelp na chadiańskiej farmie podwodnej. Jego istnienie przeistoczyło się w rytm przyływów i odpływów agonii, która go unosi, docierając do skrytego w nieskończoności szczytu, aby przetoczyć się nad nim i dać mu okazję do wytchnienia; Objęcia bardzo pilnują, żeby go nie zgubić po drodze.

Czasami, kiedy wymyka się bieli, czeka już na niego Vergere. Przykuca u jego boku, a jej oczy są wtedy nieruchome i cierpliwe jak u jastrzębionietoperza. Nieraz krąży wokół

pomieszczenia na wygiętych w tył nogach, niczym palczasty bocian brodzący po bagnie.

A kiedy indziej jest dla niego niezwykle łagodna, osobiście opatruje jego żywe ciało z dziwnie krzepiącą sprawnością; Jacenowi zdarza się zastanawiać, czy nie uczyniłaby więcej, nie powiedziała więcej, gdyby nie ciągle monitorujące spojrzenia gałek ocznych na pnączach, zwisających z sufitu.

Zazwyczaj jednak Jacen siedzi lub leży w oczekiwaniu. Nagi, brocząc krwią z nadgarstków i kostek. Bardziej niż nagi - całkowicie pozbawiony włosów. Żywe maszyny, opatrujące jego ciało, wrywają mu również włosy. Wszystkie: z głowy, ramion, nóg, krocza, pach. Nawet brwi. Nawet rzęsy.

Pewnego dnia spytał swoim nowym, cienkim, dziwnie skrzeczącym głosem:

- Jak długo?

Vergere odpowiedziała mu tępym spojrzeniem. Spróbował znowu.

- Jak długo... jestem tutaj?

Jej reakcją było to płynne zafalowanie giętkich kończyn, które interpretował jako wzruszenie ramion.

- To, jak długo tutaj przebywasz, jest tak samo bez znaczenia jak to, gdzie się znajdujesz. Czas i miejsce to atrybuty żywych, młody Solo. Nie mają nic wspólnego z tobą, ani ty z nimi.

Zawsze zbywa jego pytania takimi odpowiedziami, aż wreszcie Jacen przestaje je zadawać. Pytania wymagają sił, a on już nie ma wolnych rezerw.

- Nasi mistrzowie służą srogim bogom - powiedziała, kiedy obudził się po raz drugi, piąty, a może dziesiąty i znalazł ją u swego boku. - Prawdziwi Bogowie głoszą, że życie to cierpienie i dają nam ból, aby udowodnić, że mają rację. Niektórzy spośród naszych panów próbują zasłużyć na łaskę Prawdziwych Bogów, szukając bólu. Legendą w tej dziedzinie była domena Shai. Wykorzystywała Objęcia Cierpienia w taki sposób, jak ty mógłbyś brać kąpiel. Być może tamci mieli nadzieję, że karząc się, zdołają odwrócić zemstę Prawdziwych Bogów. Jeśli o to chodzi, trzeba przyznać, że... hm... chyba się zawiedli. Albo też, jak twierdzą poplecznicy domeny Shai, nauczyli się znajdować w bólu rozkosz. Ból może być jak narkotyki, Jacenie Solo. Czy już to pojmujesz?

Vergere zdawała się nie dbać o jego odpowiedzi i wyglądało na to, że jest absolutnie szczęśliwa, trajkocząc bez końca o tym i o owym, jakby interesował ją wyłącznie dźwięk własnego głosu - skoro tylko jednak Jacen bodaj podniósł głowę, wykrztusił jakąkolwiek

odpowieź lub wymamrotał pytanie, natychmiast wracał temat cierpienia.

Wtedy dopiero mieli o czym rozmawiać: Jacen nauczył się bardzo dużo o bólu.

Pierwszą prawdziwą lekcję na temat cierpienia przyjął dygocząc z bólu, leżąc na żylastej podłodze. Chwytnie pnącza Objęć Cierpienia trzymały go ciągle, ale luźno, na tyle, żeby utrzymać kontakt. Zwisaly znad jego głowy miękkimi spiralami, skręconymi odnogami gruzłowatych, guzowatych kłębow wegetatywnych mięśni, pulsujących i drżących pod skórzastą powłoką sufitu komnaty.

Okresy odpoczynku były dla Jacena niemal równie bolesne jak tortury Objęć; jego ciało powoli, lecz bezlitośnie wracało do poprzedniego kształtu, stawy wskakiwały w panewki, boleśnie luzując napięte ścięgna i mięśnie. Bez ciągłej tortury Objęć Cierpienia Jacen mógł myśleć wyłącznie o Anakinie, o ziejącej ranie, jaka otwarła się w jego istnieniu wraz ze śmiercią brata - o tym, co śmierć Anakina uczyniła z Jainą, jak głęboko zepchnęła ją w mrok - i o rodzicach, o ich cierpieniu po stracie obu synów...

Przetoczył się na brzuch, bardziej po to, aby odepchnąć od siebie te myśli, niż z prawdziwej potrzeby rozmowy, i spojrzał na Vergere.

- Dlaczego mi to robisz? - zapytał.

- To? - Vergere spojrzała na niego przeciągle. - A co ja takiego robię?

- Nie... - przyknał oczy, porządkując rozproszone przez ból myśli, po czym spojrzał znowu. - Nie. Chodziło mi o Yuuzhan Vongów. O Objęcia Cierpienia. Próbowali mnie upokorzyć, poskromić dodał. - To miało pewien sens, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale tu...

Głos załamał mu się z rozpacz, ale zdołał się opanować. Milczał tak długo, dopóki nie odzyskał kontroli. Rozpacz należy do Ciemnej Strony.

- Dlaczego mnie torturują? - zapytał bez ogródek. - Nikt mnie nawet o nic nie pyta...

- "Dlaczego?" to pytanie, które zawsze jest głębsze od odpowiedzi - odparła Vergere. - Być może powinieneś raczej zapytać: co? Mówisz o torturach, mówisz o upokorzeniu. Dla ciebie, owszem. Ale czy i dla naszych mistrzów? - Przekrzywiła głowę, a jej grzebień rozjarzył się pomarańczowo. - Kto wie?

- Czy to nie jest tortura? Powinnaś sama spróbować - uśmiechnął się blade. - Właściwie naprawdę chciałbym, żebyś spróbowała.

Jej śmiech zabrzmiał jak garść szklanych dzwoneczków.

- A myślisz, że nie próbowałam?

Jacen wytrzeszczył oczy.

- Może ty wcale nie jesteś torturowany - dodała wesoło. - Może jesteś szkolony.

Jacen zaniósł się chropowatym, rwącym śmiechem, chwilami bardziej przypominającym kaszel.

- W Nowej Republice nauka nie jest aż tak bolesna.

- Nie? - Znów przekrzywiła głowę, tym razem w drugą stronę, a grzebień załśnił zielenią. - Pewnie dlatego wasz lud przegrywa wojnę. Yuuzhanie wiedzą, że żadna nauka naprawdę nie wchodzi w krew, dopóki nie przypieczętujesz jej bólem.

- O, pewnie. A czego niby mnie teraz uczą?

- Czy chodzi o to, czego naucza nauczyciel? - odparowała. - Czy też o to, co pojmuje uczeń?

- A jaka to różnica?

Łuk jej warg i kąt nachylenia głowy razem dały uśmiech.

- To pytanie samo w sobie warte jest zastanowienia, nie uważasz?

Nadeszła inna chwila - nigdy nie przypomniał sobie, czy było to wcześniej, czy później. Stwierdził, że leży oparty o skórzastą krzywizną ściany, a pęta Objęć ciągną się w górę niczym przywiedła winorośl. Vergere przycupnęła przy nim. Poprzez fale powracającej świadomości wydawało mu się, że próbuje go zmusić do przełknięcia łyku z wydłużonej bulwy zawierającej jakiś napój. Zbyt był zmęczony, by się buntować, więc usłuchał, a ciecz - czysta, chłodna woda, nic więcej - wdarła się w zeschnięte gardło i zadławiła go, aż wreszcie musiał ją wypluć. Vergere cierpliwie zwilżała mu usta mokrą szmatką, dawała mu ją do ssania, aż gardło nie rozluźni mu się na tyle, aby mógł przełknąć.

Rozległa pustynia, jaką miał w ustach, momentalnie wchłonęła wilgoć i Vergere znów zmoczyła szmatkę. I tak przez dłuższą chwilę.

- Po co jest ból? - wyszeptała wreszcie. - Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, Jacenie Solo? Jaka jest jego funkcja? Wielu z naszych co bardziej gorliwych mistrzów uważa, że ból jest biczem Prawdziwych Bogów; że dzięki cierpieniu Prawdziwi Bogowie uczą nas pogardzać wygodą, naszym ciałem, nawet samym życiem. Ja zaś uważam, że ból sam w sobie jest bogiem, mistrzem i siłą napędową życia. Ból trzaska z bicza i wszystko, co żywe, zaczyna się

poruszać. Podstawowym instynktem żywej istoty jest ucieczka przed bólem, unikanie go. Jeśli pójdzie w jedną stronę powoduje ból, nawet ślimak granitowy pójdzie w drugą. Życie to znaczy być niewolnikiem bólu. Nie odczuwać bólu to znaczy być martwym, czyż nie?

- Nie dla mnie - tępo odparł Jacen, gdy tylko krtań rozluźniła mu się na tyle, że mógł mówić. - Możesz mi wmawiać, jaki to jestem martwy, a przecież wszystko mnie boli.

- Och, no cóż... to prawda. Pomyśl, że zmarli nie czują bólu, jest tylko wyznaniem wiary, czy nie mam racji? Powinniśmy powiedzieć: mamy nadzieję, że zmarli nie czują bólu... ale istnieje tylko jeden sposób, żeby się upewnić - mrugnęła do niego z uśmiechem. Nie myślisz, że ból może być również główną zasadą działania śmierci?

- Nic nie myślę. Chcę, żeby to się skończyło.

Odwróciła się z dziwnym, zdławionym dźwiękiem. Przez moment Jacen zastanawiał się, czy jego cierpienie mogło ją wreszcie dotknąć w jakikolwiek sposób... może wreszcie się nad nim zlitowała...

Lecz kiedy na niego spojrzała, w jej oczach zamiast współczucia błyszczała drwina.

- Ależ jestem głupia! - zawołała. - Przez cały czas zdawało mi się, że rozmawiam z osobą dorosłą. Ach, oszukiwanie samego siebie to najokrutniejsza ze sztuczek! Uwierzyłam, że kiedyś byłeś prawdziwym Jedi, gdy tymczasem jesteś pisklakiem, dygoczącym w gnieździe, który drze dziób, bo mamusia w porę nie przyleciała, aby go nakarmić!

- Ty... ty... - wymamrotał Jacen. - Jak możesz... po tym wszystkim, co zrobiłaś...

- A co ja takiego zrobiłam? O, nie, nie, nie, dzieciaku Solo. Chodzi o to, co ty zrobiłeś.

- Nic nie zrobiłem!

Vergere rozsiadła się pod ścianą komnaty o jakiś metr od niego. Powoli podwinęła pod siebie kolana, zginające się w tył jak u ptaka, splotła palce na wysokości otoczonych wibrysami ust i spojrzała na niego znad dłoni.

Po długim, długim milczeniu, w ciągu którego ostatnie słowa Jacena: "Nic nie zrobiłem!" dźwięczały mu echem w głowie, aż wywołały rumieniec na twarzy, Vergere powiedziała spokojnie:

- No właśnie.

Pochyliła się bliżej, jakby chciała podzielić się z nim krępującym sekretem.

- Czy to nie dziecinne zachowanie? Jęczeć i jęczeć, i jęczeć, wyłamywać palce i walić piętami o ziemię... w nadziei, że dorosły wreszcie cię zauważy i zajmie się tobą?

Jacen opuścił głowę, z trudem powstrzymując nagłą falę gorących łez.

- A co mogę zrobić?

Oparła się o ścianę, wydając znów ten sam zduszony dźwięk.

- Faktycznie, jedną z opcji jest dalsze wiszenie w tym pomieszczeniu i tortury. A dopóki będziesz wybierał tę możliwość, wiesz, co się stanie?

Spojrzał na nią zranionym wzrokiem.

- No, co?

- Nic - odparła wesolutko i rozłożyła ręce. - Och, w końcu pewnie oszalejesz. Jeśli będziesz miał dużo szczęścia. Może nawet któregoś dnia uda ci się umrzeć. - Jej grzebień zrobił się nagle płaski i stalowoszary. - Ze starości.

Jacen otworzył usta i wytrzeszczył oczy. Nie wyobrażał sobie kolejnej godziny w Objęciach Cierpienia, a ona mówiła o latach. O dziesięcioleciach.

O reszcie jego życia.

Objął kolana ramionami i ukrył w nich twarz, wtlaczając kości w oczodoły, jakby tym sposobem chciał wygnieść z umysłu tę potworność. Przypomniawszy sobie wujka Luke'a w drzwiach szopy na Belkadanie, smutek w jego oczach, kiedy ciął po łbach yuuzhańskich wojowników, którzy pojмали Jacena. Pamiętał szybki, pewny ucisk, którym Luke wyłuskał z twarzy Jacena nasienie, używając do tego celu swojego cybernetycznego kciuka.

I przypomniawszy sobie również, że tym razem wujek Luke nie zgłosi się po niego. Ani on, ani nikt inny.

Ponieważ Jacen nie żyje.

- Dlatego tu ciągle przychodzisz? - wymamrotał w stulone ramiona. - Żeby się ze mnie śmiać? Poniżyć pokonanego wroga?

- Czy ja się z siebie śmieję? Czy jesteśmy wrogami? - zapytała Vergere, tym razem naprawdę zaskoczona. - Czy zostałeś pokonany?

Jej niespodziewanie szczery ton zaskoczył go. Podniósł głowę i nie zobaczył w jej oczach drwiny.

- Nie rozumiem.

- To przynajmniej jest zupełnie jasne - westchnęła. - Ofiaruję ci dar, Jacenie Solo. Uwalniam cię od nadziei na ratunek. Czy naprawdę nie widzisz, że chcę ci pomóc?

- Pomóc? - Jacen zakrztusił się gorzkim śmiechem. - Musisz popracować nad swoim

wspólnym, Vergere. We wspólnym, kiedy opisujemy rzeczy, jakie ty mi zrobiłaś, raczej nie używamy tego słowa.

- Nie? Być może tym razem masz rację. Nasze trudności mogą być spowodowane rozbieżnościami językowymi. - Vergere westchnęła znowu i skuliła się jeszcze bardziej, splatając ramiona na podłodze przed sobą i sadowiąc się na nich w sposób bardziej koci niż ptasi. Przysłoniła oczy drugimi powiekami.

- Kiedy byłam bardzo młoda... młodsza od ciebie, mały Solo... znalazłam księżycową pierścienicę cienioćmę. Była w ostatniej fazie przemiany, wciąż jeszcze tkwiła w kokonie - mówiła łagodnym, smutnym tonem. - Miałam już wtedy pewną znajomość Mocy. Czułam jej ból, panikę, beznadziejną, desperacką walkę, aby się uwolnić. Wydawało mi się, że ta cienioćma wyczuwała, że jestem obok, i krzyczała o pomoc. Jak mogłam odmówić? Kokony cieniociem są twarde, bardzo twarde, wykonane z wielołańcuchowych krzemianów, cienioćmy zaś są delikatne i takie piękne. Te łagodne stworzenia zdają się stworzone jedynie po to, by śpiewać na nocnym niebie. Dałam jej zatem to, co ty uważasz za pomoc. Wzięłam mały nożyk i nadciąłam kokon, aby pomóc jej wyjść.

- O nie, nie zrobiłaś tego! Powiedz, że tego nie zrobiłaś! - Jacen zamknął oczy, ponieważ wiedział już, jak zakończy się ta opowieść.

Sam przez bardzo krótki czas miał w swojej kolekcji cienioćmę; pamiętał, jak obserwował rosnącą larwę, jak dzięki empatii cieszył się jej zadowoleniem, kiedy ją karmił kawałkami izolacji i okruszkami durabetonu. Przypomniawszy sobie młodziutką ćmę, która się wykluła jej szare, pięknie nakrapiane skrzydła rozpostarte na tle gabloty; pamiętał zachwycającą nutę jej księżycowej pieśni, kiedy ją uwolnił, a ona uleciała w górę pod różnobarwnym światłem czterech księżyców Coruscant.

Pamiętał także desperacką panikę, której fale ogarniały go poprzez Moc, gdy ćma uwalniała się z kokonu. On także z całego serca pragnął pomóc bezradnemu stworzeniu - i pamiętał, czemu tego nie zrobił.

- Nie pomożesz cienioćmie, przecinając jej kokon - powiedział. Ona potrzebuje tego wysiłku; nacisku koniecznego do wtłoczenia osocza w żyły skrzydeł. Jeśli przetniesz kokon...

- ...ćma zostanie okaleczona - poważnie dokończyła Vergere. Tak, stała się żalostną istotą... która nigdy nie uleci, nigdy nie dołączy do pobratymców, aby zatoczyć krąg w nocnym tańcu. Nawet piszczałki na skrzydłach miała zniekształcone, więc była nie tylko sparaliżowana,

ale także niema. W ciągu tego długiego lata słuchałyśmy nieraz wspólnie pieśni księżycowej, stojąc w oknie mojej sypialni. Wyczuwałam z jej strony tylko smutek i gorzką zazdrość, że ona nigdy nie uleci w gwiazdy, a jej głos nigdy nie wzniesie się pieśnią. Opiekowałam się nią najlepiej jak umiałam, ale życie cieniocy jest krótkie, wiesz zresztą; spędzają wiele lat w postaci larwy, zbierając siły na jedno krótkie lato tańca i pieśni. Obrabowałam tę ćmę; skradłam jej przeznaczenie... ponieważ jej pomogłam.

- To nie była pomoc - odparł Jacen. - I nie to oznacza słowo "pomoc".

- Nie? Widziałam wijące się z bólu, krzyczące z przerażenia stworzenie, próbowałam ulżyć mu w cierpieniu i złagodzić jego lęk. Jeśli nie to rozumiesz przez słowo "pomoc", to moja znajomość wspólnego jest gorsza niż sądziłam.

- Nie rozumiałaś, co się dzieje.

Wzruszyła ramionami.

- Ćma też nie. Ale powiedz mi, Jacenie Solo: gdybym zrozumiała, co się dzieje, gdybym wiedziała, czym jest larwa i co musi ona osiągnąć, co musi wycierpieć, żeby stać się tą cudowną istotą... Co powinnam była zrobić? Co wy, w waszym wspólnym, nazwalibyście pomocą?

Jacen myślał dłuższą chwilę, zanim udzielił odpowiedzi. Jego empatia poprzez Moc umożliwiała mu niezwykle głębokie rozumienie egzotycznych istot z jego kolekcji; dzięki temu nabrał głębokiego szacunku do skomplikowanych procesów natury.

- Sądzę - rzekł powoli - że najlepszą pomocą, jaką mogłaś zaoferować larwie, było zapewnienie bezpieczeństwa. Jastrzębionietoperze polują na larwy cieniocy, a już szczególnie lubią świeże poczwarki w kokonach, bo wtedy mają one największą zawartość tłuszczu. Mogłaś jej zatem pomóc tylko w jeden sposób: pilnując jej, chroniąc przed drapieżcami... i pozwalając, aby samotnie rozegrała swoją bitwę.

- Może także - łagodnie podsunęła Vergere - chronić ją przed pełnymi dobrych intencji osobami, które w swej ignorancji mogłyby zechcieć "pomóc" jej, używając kleszczy.

- Tak... - odparł Jacen i nagle zabrakło mu tchu; spojrzął na Vergere, jakby wyrosła jej druga głowa.

- Hej... - zaczęło mu coś świtać. - Hej...

- I być może - ciągnęła Vergere - należało zatrzymać się przy niej od czasu do czasu, aby cierpiąca, zdesperowana istota wiedziała, że nie jest sama w swoich zmaganiach. Że ktoś o niej myśli. Że jej ból służy zbudowaniu lepszemu losu.

Jacen otworzył usta, ale nie mógł mówić, zdołał jedynie wyszeptać:

- Tak...

- Wobec tego, Jacenie Solo, nasze definicje "pomocy" są identyczne - podsumowała poważnie Vergere.

Jacen pochylił się do przodu i ukląkł.

- Nie mówiliśmy tak naprawdę o larwach cienioomy, prawda? zapytał, a serce zaczęło mu walić jak oszalałe. - Mówiłaś o mnie.

Wstała, rozprostowując nogi jak żuraw.

- O tobie?

- O nas. - Gardło ścisnęła mu nieprawdopodobna nadzieja. - O tobie i o mnie.

- Muszę już iść. Objęcia się niecierpliwą, czekają na twój powrót.

- Vergere, zaczekaj! - zawołał, z trudem stając na nogi. Chwytnie pnącza Objęć zwiślały mu z nadgarstków. - Zaczekaj, Vergere, chodź tutaj, powiedz coś do mnie i... i... i... - wymamrotał bezładnie. Cienioomy nie są gatunkiem sprowadzanym... To rodzimy owad! Rodzimy na Coruscant! Jak mogłaś znaleźć larwę cienioomy? O ile... o ile nie... to znaczy, czy ty...? Czy ty jesteś...?

Położyła dłoń na podobnym do ust czujniku obok przejścia i brodawkowata blizna otworu wejściowego rozwarła się.

- Wszystko, co mówię, jest kłamstwem - rzekła i wyszła.

Objęcia Cierpienia znów uniosły go w biel.

Jacen Solo wisi w bieli, rozmyślając.

Przez jedną, nieskończenie krótką chwilę jest tylko zdumiony, że może myśleć. Biel od wielu dni, tygodni, a może stuleci ścierała w pył jego świadomość, a teraz ze zdumieniem odkrywa, że nie tylko potrafi myśleć, lecz nawet myśli jasno.

Spędza na tym zachwyceniu jeden biały eon.

A potem zaczyna pracować nad lekcją o bólu.

I tak to właśnie wygląda, myśli. To właśnie jest to, o czym mówiła Vergere. Pomoc, jaką mi ofiarowała, a której ja nie umiałem przyjąć.

Uwolniła go od jego własnej pułapki: dzieciństwa. Pułapki oczekiwania na kogoś innego. Na tatę, mamę, wujka Luke'a, Jainę, Zekka czy Lowiego, albo na Tenel Ka... na wielu innych, na których zawsze mógł liczyć, że przybędą mu na pomoc.

Więc nie jest bezradny. Jest jedynie samotny.

A to nie to samo.

Nie musi tu wisieć i cierpieć. Może coś zrobić.

Opowieść o cieniu mogła być kłamstwem, ale w tym kłamstwie kryła się prawda, której inaczej nie zrozumiałby. Czy o to właśnie chodziło Vergere, kiedy stwierdziła: “Wszystko, co mówię, jest kłamstwem”?

Czy to ma jakieś znaczenie?

Ból sam w sobie jest bogiem, mistrzem i siłą napędową życia. Ból trzaska z bicia i wszystko, co żywe, zaczyna się poruszać. Życie to znaczy być niewolnikiem bólu.

Zna prawdę tego twierdzenia nie tylko z własnego doświadczenia; poznał ją również patrząc na tatę i Anakina po śmierci Chewiego. Widział bicz bólu nad głową ojca i ucieczkę Hana przed bólem - przez pół galaktyki. Widział, jak Anakin twardnieje, jak się eksploatuje niczym ciężarowiec, zawsze zmuszając się, by być szybszym, silniejszym, skuteczniejszym, zrobić więcej... i to była jego jedyna odpowiedź na ból, jakiego doznał, przeżywając widok śmierci swego wybawcy.

Jacen zawsze sądził, że Anakin jest bardzo podobny do wujka Luke’a: ukierunkowane zdolności mechaniczne, zręczność w walce i w pilotażu, niezłomna odwaga wojownika. Teraz jednak stwierdził, że w jednym istotnym aspekcie Anakin do złudzenia przypominał ojca, który znał tylko jedną reakcję na ból - zorganizować sobie tyle zajęć, aby przestać go zauważać.

Uciekać od własnej siły napędowej.

Życie to znaczy być niewolnikiem bólu.

Ale to tylko pół prawdy. Ból może być również nauczycielem. Jacen przypominał sobie długie godziny forsowania bolących mięśni, zmuszania ich do kolejnego powtarzania serii ćwiczeń z mieczem świetlnym. Pamiętał, jak trenował coraz to bardziej skomplikowane pozycje i jak bolało używanie ciała w sposób, w jaki nie używał go nigdy wcześniej, obniżanie środka ciężkości, rozluźnianie bioder, nakazanie nogom, by się kurczyły i rozprężyły jak u piaskowej pantery. Pamięta słowa wujka Luke’a: “Jeśli nie boli, to znaczy, że źle to robisz”. Nawet promienie zdalniaków ćwiczebnych... pewnie, jego zadanie polegało na ich unikaniu lub odbijaniu, ale najłatwiejszym sposobem uniknięcia bólu byłoby zaprzestanie treningów.

Nieraz ból jest jedyną drogą do miejsca, gdzie chcesz się znaleźć.

Ale najgorsze są cierpienia, od których nie można uciec. Zna opowieść swojej matki tak

dobrze, że widzi ją w snach: stoi na mostku “Gwiazdy Śmierci” i musi patrzeć, jak główny laser stacji bojowej niszczy całą jej planetę. Czuł jej wszechogarniające przerażenie, niedowierzanie, bezradną, paraliżującą wściekłość. Domyślał się, ile z jej niezmordowanego poświęcenia walce o pokój w galaktyce napędzane jest wspomnieniem tych miliardów istnień, na jej oczach obróconych w nicość.

A wujek Luke... gdyby nie przeżył szoku na widok ciał swoich przybranych rodziców, brutalnie zamordowanych przez szturmowców imperialnych, mógł całe swoje życie spędzić jako nieszczęśliwy farmer wilgoci gdzieś daleko w pustynnych równinach Tatooine, marząc o przygodach, których nigdy nie zazna... galaktyka zaś mogła jęczeć pod jarzmem Imperatora do dziś.

Jacen nagle pojmuje, że ból może być potęgą. Potęgą, która pozwala zmienić wszystko na lepsze. Tak przebiegają zmiany: najpierw ktoś cierpi, a potem - wcześniej czy później - postanawia coś z tym zrobić.

Cierpienie jest paliwem dla napędu cywilizacji.

Teraz zaczął rozumieć: skoro ból jest bogiem... to znajduje się w szponach tego okrutnego bóstwa od czasu śmierci Anakina. Lecz jest on także nauczycielem oraz drogą. Może być poganiaczem niewolników i poskromić cię... ale może być też siłą, która uczyni cię niezłomnym. Jest tym wszystkim i jeszcze czymś więcej.

Jednocześnie.

Wszystko zależy od tego, kim ty jesteś.

Ale kim ja jestem? - zastanawia się Jacen. Uciekałem jak tato... jak Anakin. Wydaje mi się jednak, że oni się zatrzymali. Sądzę, że tato był dość silny, aby obejrzeć się i spojrzeć bólowi w twarz, użyć go, aby samemu nabrać sił, jak mama i wujek Luke. Anakin uczynił to samo, pod koniec. Czy i ja będę dość silny?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Biel pożerała go przez nieskończone dni, tygodnie i stulecia.

Teraz on zacznie pożerać biel.

Egzekutor Nom Anor bawił się bezmyślnie żywym glistobukłakiem pełnym bulionu z dragoziela, słuchając monotonnego mamrotania mruka mistrza przemian. Siedział jak człowiek, na mięsistym garbie przed niezwykle dużym villipem, do którego mruk kierował swoją jednostajną, śpiewną analizę odczytów komory Objęć Cierpienia dotyczących młodego Jedi,

Jacena Solo.

Nom Anor nie musiał uważać. Wiedział, co mistrz powie: sam stworzył ten raport. Komora Objęć była wyposażona w wyjątkowo skomplikowaną nerwosieć czujników, które mogły odczytywać dane elektrochemiczne nerwów Jacena Solo aż do ostatniego, pojedynczego impulsu i porównywać zarejestrowany ból z poziomem reakcji chemicznych jego mózgu. Mruk mamrotał bez przerwy, pogrążając się w opisach najdrobniejszych szczegółów zebranych danych. Ten śmiertelnie nudny terkot doprowadzał go do szału.

Może dlatego nazwali ich mrukami, pomyślał Nom Anor z ponurym uśmiechem. Nie podzielił się tą uwagą z trzecią osobą obecną w ciasnym, wilgotnym pomieszczeniu. Ten żart nie był zrozumiały w żadnym innym języku oprócz wspólnego, a tak w ogóle nie był nawet śmieszny.

Siedział zatem, popijając bulion z glistobukłaka i obserwując villipa. Czekał, aż mistrz wojenny Tsavong Lah straci cierpliwość.

Villip przekazywał rysy twarzy mistrza wojennego z właściwą tym stworzeniom dokładnością: wąska, wysoka czaszka, wypukła puszcza mózgowa, niebezpiecznie ostre zęby sterczące z bezwzględnej rany ust oraz dumna sieć blizn, stanowiących świadectwo jego poświęcenia dla Drogi Prawdy. Nom Anor pomyślał beznamiętnie, jak dobrze niektóre z tych zabliznionych deseni wyglądałyby na jego własnej twarzy. Nie, to nie znaczyło, że traktował Drogę Prawdy inaczej niż tylko jako narzędzie polityki. Z wieloletnich doświadczeń wiedział, że pozory pobożności były znacznie bardziej użyteczne od prawdziwej wiary.

Villip przekazywał również bezbłędnie przerażający błysk fanatyzmu w oczach Tsavonga Laha.

Błysk potęgi wiary w jego oku był odzwierciedleniem wewnętrznego przekonania, jakie Nom Anor mógł sobie jedynie wyobrazić: wiedzy pozbawionej cienia wątpliwości, że Prawdziwi Bogowie stoją u jego boku, prowadząc jego ramię w swojej służbie. Wiedzy, że cała prawda, cała sprawiedliwość, wszystko, co właściwe, pochodzi od Prawdziwych Bogów - jak gwiazdny wiatr, rozjaśniający wszechświat.

Mistrz wojenny był prawdziwym wiernym.

Dla Noma Anora wiara była ekstrawagancją. Wiedział aż za dobrze, jak łatwo ci prawdziwi wierni dadzą sobą manipulować tym, którzy wierzą wyłącznie w siebie.

A to już była jego specjalność.

Chwila, na którą wyczekiwał, nadeszła w trakcie prowadzonej przez mruka punkt po punkcie wyczerpującej interpolacji międzygatunkowej pomiędzy odczytami Jacena Solo a wynikami trzech innych podmiotów kontrolnych, wszystkich rasy Yuuzhan Vong: jednego z kasty wojowników, jednego kapłana i jednego mistrza przemian, z których każdy wcześniej przeżył już tortury w tych samych Objęciach Cierpienia, co obecnie młody Jedi. Przez stworzony przez villipa obraz twarzy Tsavonga Laha przebiegł skurcz gniewu, jak impuls jonowy poprzedzający wybuch słoneczny.

Wreszcie jego cierpliwość uległa wyczerpaniu.

- Dlaczego marnuje się mój czas na ten bełkot?

Mruk mistrza przemian zeszytywniał, oglądając się nerwowo na Noma Anora.

- Te dane są niezmiernie istotne...

- Nie dla mnie. Czy ja jestem mistrzem przemian? Nie obchodzą mnie suche dane... wyjaśnij mi, co one znaczą!

Nom Anor pochylił się do przodu.

- Za pozwoleniem mistrza wojennego, mógłbym chyba pomóc...

Villip skurczył się lekko, kierując gniewny wzrok mistrza wojennego na Noma Anora.

- Lepiej, aby tak było - warknął. - Moja cierpliwość ma granice... a właśnie ty, ty osobiście, Egzekutorze, nadużyłeś jej znacznie w ciągu ostatnich dni. Wisisz na cienkim pnączu, Nomie Anorze, a i ono zaczyna pękać...

- Składam pokorną prośbę o przebaczenie, mistrzu wojenny - gładko odparł Nom Anor. Gestem nakazał mrukowi opuścić pomieszczenie. Mruk złożył villipowi szybki hołd posłuszeństwa, uruchomił przegrodę zasłaniającą wyjście i oddalił się skwapliwie.

- Chciałem tylko zaproponować analizę. Interpretacja jest moją specjalnością.

- Twoją specjalnością jest propaganda i kłamstwa - warknął Tsavong Lah.

Jak gdyby była jakakolwiek różnica. Nom Anor wzruszył ramionami i uśmiechnął się uprzejmie. Tych gestów nauczył się od swoich wcieleń w istoty gatunku ludzkiego. Wymienił szybkie spojrzenie z trzecią osobą obecną w pomieszczeniu - jego partnerką w projekcie "Solo" - i znów skierował wzrok na villipa.

- Znaczenie danych z Objęć Cierpienia jest dokładnie takie: Jacen Solo uzyskał zdolność nie tylko przyjmowania tortur, lecz czerpania z nich życia. Jak zapewne mistrz wojenny pamięta, przewidywałem taki wynik. Odkrył wewnątrz siebie takie zasoby, jakie znajdujemy jedynie u

naszych największych wojowników.

- No i co? - mistrz wojenny zmarszczył czoło. - Do rzeczy.

- To się uda - odparł po prostu Nom Anor. - I o to chodzi. Tylko o to. Na podstawie naszych obecnych wyników, możemy powiedzieć, że Jacen Solo nieuchronnie... o ile przeżyje... zwróci się całym sercem ku Drodze Prawdy.

- Próbowaliście tego już wcześniej - zagrzmiał Tsavong Lah. Jeedai Wurth Skidder i Jeedai Tahiri na Yavinie Cztery. Wyniki były zdecydowanie niezadowolające.

- Mistrzowie przemian - prychnął pogardliwie Nom Anor.

- Uważaj na swój język, jeśli chcesz zachować go w ustach. Kasta mistrzów przemian jest święta świętością Yun-Yuuzhan.

- Oczywiście, oczywiście. Bez obrazy, naturalnie. Chciałem tylko zauważyć, jeśli mistrz wojenny pozwoli, że metody stosowane w przypadku katastrofy Tahiri obejmowały ordynarne przeróbki fizyczne... możliwe, że nawet heretyckie. - Nom Anor położył nacisk na ostatnim słowie.

Twarz Tsavonga Laha sposepniała.

- Prowadzili świętokradcze badania - ciągnął Nom Anor. - Próbowali zrobić z niej Yuuzhankę... tak jakby niewolnicę można było przerobić na przedstawicielkę Wybranej Rasy! Czyż to nie bluźnierstwo? Rzeź, jaką się to skończyło, była o wiele za łagodna, z czym mistrz przemian z pewnością się zgodzi.

- Wcale nie - sprzeciwił się Tsavong Lah. - Była dokładnie tym, na co tamci zasłużyli. To, co postanowią bogowie, stanowi definicję sprawiedliwości.

- Jak sobie życzysz - gładko zgodził się Nom Anor. - W projekcie "Solo" nie będzie takiej herezji. Proces przemiany Jacena Solo jest dokładnym przeciwieństwem: on pozostanie w pełni człowiekiem, lecz przyjmie i będzie głosił Prawdę. Nie będziemy musieli go zmieniać ani niszczyć w jakikolwiek sposób. My zastosujemy jedynie demonstrację; on dokona reszty.

Obraz twarzy mistrza wojennego znieruchomiał.

- Wciąż mi nie wyjaśniłeś, dlaczego powinienem do tego dążyć. Wszystko, co mi opowiedziałeś, sugeruje, że będzie on jeszcze lepszą ofiarą niż sądziłem. Wyjaśnij mi, dlaczego miałbym oczekiwać tej obiecanej konwersji. Gdyby umarł w trakcie tego procesu, złamałbym przysięgę złożoną Prawdziwym Bogom i pozbawił ich obiecanej ofiary. Prawdziwi Bogowie nie przebaczą krzywoprzysięzcom, Nomie Anorze.

Na moim przykładzie tego nie udowodnisz, pomyślał Nom Anor, ale odpowiedział z najwyższym szacunkiem:

- Symbolicznej rangi Jacena Solo nie można przecenić, mistrzu wojenny. Po pierwsze jest Jedi... a Jedi zajmują w Nowej Republice miejsce bogów. Uważani są za duchowych rodziców, obdarzonych ogromnymi zdolnościami, które legenda wyolbrzymia jeszcze daleko poza granice rozsądku. Ich zadaniem jest walczyć i umierać za zdegradowaną, niewierną parodię prawdy i sprawiedliwości Nowej Republiki. Jacen Solo jest już legendarnym bohaterem. Jego czyny, jeszcze jako dziecka czy młodzieńca, znane są w całej galaktyce. Podobnie jak jego siostry... jego bliźniaczej siostry. Wspólnie mogą się równać z Yun-Harlą i Yun-Yammką...

- Łatwo ci przychodzą takie bluźnierstwa - sucho zauważył Tsavong Lah.

- Doprawdy? - uśmiechnął się Nom Anor. - A jednak Prawdziwi Bogowie nie uznali za stosowne zabić mnie na miejscu. Może to, co mówię, nie jest w istocie aż takim bluźnierstwem... sam zresztą zobaczysz.

Mistrz wojenny tylko go zgromił posępnym wzrokiem.

- Jacen Solo jest również najstarszym synem głównego klanu galaktyki. Jego matka była przez pewien czas Najwyższym Władcą Nowej Republiki...

- Przez pewien czas? Jak to możliwe? Jakim sposobem jej następcą pozwolił jej żyć?

- Czy mistrz wojenny istotnie pragnie dysputy na temat bluźnierczego systemu rządzenia Nowej Republiki? Ma on coś wspólnego z dziwacznym pomysłem, określanym mianem demokracji. Władza przekazywana jest tam każdemu, kto jest wystarczająco zręczny, aby manipulować stadnymi instynktami największych mas nieświadomych niczego obywateli...

- Ich polityka to twoja sprawa - uciął Tsavong Lah. - Moją jest ich siła zbrojna.

- W tym przypadku obie te kwestie są ze sobą ściśle powiązane. Przez jedną czwartą standardowego stulecia rodzina Solo dominowała w różnych dziedzinach życia galaktyki. Nawet mistrz wojenny Jedi jest nikim innym, jak tylko wujem Jacena Solo. Wuj ten, Luke Skywalker, znany jest powszechnie z tego, że sam stworzył Nową Republikę, pokonując poprzedni, starszy i o wiele bardziej racjonalny ustrój społeczny, zwany Imperium. Jeśli mogę dodać, dla nas to wielkie szczęście, że tak się stało. Imperium było znacznie lepiej zorganizowane, potężniejsze i całkowicie zmilitaryzowane. Nie stosowało podziałów wewnętrznych, które z takim powodzeniem wykorzystaliśmy w Nowej Republice. Imperium zmiażdżyłoby naszych wojowników w pierwszej potyczce.

Tsavong Lah zjeżył się.

- Prawdziwi Bogowie nigdy nie dopuściliby do takiej klęski!

- Właśnie o to mi chodzi - odparował Nom Anor. - Toteż nie dopuścili. Przeciwnie. Luke Skywalker, rodzina Solo i Sojusz Rebeliantów zniszczyli Imperium, pozostawiając galaktykę w stanie chaosu, w okresie próżni władzy, którą możemy wykorzystać... gdyż nawet oni, nawet Solo, bezwiednie służyli Prawdziwym Bogom.

Po raz pierwszy Tsavong Lah wydawał się zainteresowany.

- Wyobraź sobie teraz - rzucił Nom Anor, wężąc krew - jaki to będzie miało wpływ na pozostałe siły Nowej Republiki, kiedy ten Jedi, ten bohater, ten potomek największego z klanów ich całej cywilizacji oznajmi całemu swojemu ludowi, że przywódcy ich oszukali: że jedynymi bogami są Prawdziwi Bogowie, że jedyną drogą jest Droga Prawdy!

Villip doskonale przekazał iskrę, jaka zapłonęła w oczach mistrza wojennego.

- Zraniliśmy ich, zabierając im stolicę, lecz nie zabiliśmy w nich ducha - mruknął. - To będzie jak gangrena w ranie Coruscant.

- Tak.

- Nowa Republika zachoruje i wreszcie umrze.

- Tak.

- Jesteś pewny, że zdołasz skłonić Jacena Solo, aby wszedł na Drogę Prawdy?

- Mistrzu wojenny - gorąco odparł Nom Anor - to się już dzieje. Jacen i Jaina Solo są bliźniętami, a przy tym kobietą i mężczyzną, a więc całkowitym przeciwieństwem. Nie widzisz tego? Yun-Yammka i Yun-Harla. Wojownik i Przechera. Jacen stanie się jedną połową Bliźniaczych Bogów... będzie walczył w służbie Boga, którym jest on sam! Stanie się dowodem, że żadna istota z Nowej Republiki nie zdoła nam umknąć...

- To może być dość cenne - przyznał Tsavong Lah.

- Może? - zaperzył się Nom Anor. - Może? Mistrzu wojenny, osobiście złożyłeś wszystkie ofiary należne Prawdziwym Bogom za zwycięstwo... wszystkie ofiary, z wyjątkiem jednej...

Błysk w oczach mistrza wojennego nagle zaczął wyglądać jak rozjarzony stos atomowy.

- Wielka Ofiara... mówisz o Ofierze Bliźniąt!

- Tak. Ty sam, mistrzu wojenny, z pewnością nieraz zastanawiałeś się w głębi ducha, nieraz wątpieś w obietnicę zwycięstwa Prawdziwych Bogów, skoro nie można było złożyć

Ostatecznej Ofiary...

- Prawdziwi Bogowie nie drwią i nie składają daremnych obietnic - pobożnie zaintonował mistrz wojenny.

- Lecz ich dary nie są nam dane - zauważył Nom Anor. - Wiesz o tym. Żądają, abyśmy na nie zasłużyli. To my mamy urzeczywistnić ich prococtwa.

- Tak.

- A zatem, gdy nadejdzie ten wielki dzień, Jacen Solo sam pochwyci swoją siostrę bliźniaczkę, sprowadzi ją pod ołtarz i osobiście odbierze jej życie w Wielkiej Ofierze Bliźniąt, a wola Prawdziwych Bogów wreszcie stanie się rzeczywistością!

- Spełni się wola Prawdziwych Bogów! - zagrział Tsavong Lah.

- Spełni się wola Prawdziwych Bogów! - zawtórował mu Nom Anor.

- Ty się tym zajmiesz.

- Tak, mistrzu wojenny.

- Nie zawiedziesz.

- Jeśli to będzie w mojej mocy, nie zawiodę, mistrzu wojenny...

- Nie o to chodzi - odparł Tsavong Lah. - Nie zrozumiałeś. Mówię ci, Nomie Anorze, że nie zawiedziesz. Prawdziwi Bogowie nie ścierpią drwiny. Gdyby Jacen Solo nie nawrócił się na Drogę Prawdy, nie wolno o tym wspomnieć nawet szeptem, nie można o tym nawet pomyśleć. Albowiem, Nomie Anorze, możemy jedynie zwyciężyć. Jeśli nam się to nie uda, istota, zwana obecnie imieniem Noma Anora, zostanie poświęcona Prawdziwym Bogom jako bezimienna rzecz.

Nom Anor przełknął ślinę.

- Tak, mistrzu wojenny...?

- Wszyscy, którzy oddychali powietrzem tego planu, umrą - ciągnął bezlitośnie Tsavong Lah. - Będą krzyczeć z bólu, lecz imiona ich zostaną wymazane, a kości rozrzucone, by dryfowały pośród gwiazd. Klnę się na wszystkie Imiona Prawdziwych Bogów, że to moje ostateczne słowo.

Villip raptownie wrócił do swojej spoczynkowej postaci. Nie tak miała się potoczyć ta rozmowa. Na tym polega problem z fanatykami, pomyślał Nom Anor. Są łatwi do manipulowania, ale jakimś cudem zawsze wyprzedzają cię o pięć kroków.

Pociągnął potężny łyk bulionu z zapomnianego glistobukłaka, który ścisnął w garści

przez całą rozmowę. Odwrócił się do osoby, która cały czas stała w kącie pokoju.

- Widzisz, teraz jesteśmy partnerami w Prawdzie: wspólnie staniemy przed pełnym zwycięstwem lub całkowitą porażką - rzekł smętnie. - Jesteśmy, jak mówią Korelianie, w punkcie wyjścia.

Partnerka przechwyciła jego wzrok ponad uśpionym villipem.

- Dobry początek - stwierdziła Vergere - to połowa sukcesu.

R O Z D Z I A Ł 2 SZKÓŁKA

Głęboko w nieskończonej przestrzeni, ponad płaszczyzną galaktycznej ekliptyki - w roziskrzonym punkcikami światła czarnym aksamicie, tak odległym od wszystkich systemów gwiazdnych, że miejsce to nie było nawet miejscem, a jedynie statystyczną matrycą wektorów i prędkości - z hiperprzestrzeni wyskoczył mały stateczek z koralu yorik. Było stąd tak daleko od wszelkich widocznych punktów odniesienia, że ruch stateczku był względny: w odniesieniu do Obroa-skai oddalał się z przyzwoitym ułamkiem prędkości światła, w odniesieniu do Tatooine zataczał łagodny, leniwy łuk, w odniesieniu do Coruscant zaś zbliżał się, nabierając prędkości.

Podwójne dovin basale pulsowały, wysyłając rozprzestrzeniające się kręgi fal grawitacyjnych; sporo czasu później te same dovin basale zarejestrowały w odpowiedzi inne zmarszczki czasoprzestrzeni.

Statek nie był sam.

Zafalowania niosące odpowiedź miały kierunek; dovin basale małego statku były dość czułe, aby zarejestrować femtosekundowe różnice pomiędzy chwilą, kiedy pierwszy dovin basal wykrył zafalowanie przestrzeni, a chwilą, kiedy ta fala dotarła do jego bliźniaka.

Mały statek z koralu yorik zmienił kurs.

Obiekt, ku któremu się kierował, był kulą o dziwacznej budowie, kilkaset tysięcy razy większą od niego, bezkształtną, jeśli nie liczyć regularnych czarnych płetw, które otaczały kulę i przecinały się pod przypadkowymi kątami jak łańcuchy górskie na pozbawionym atmosfery księżycu. Płetwy te jarzyły się podczerwienią, wypromieniowując w próżnię odpadowe ciepło.

Statek z koralu yorik zwolnił, aby zrównać się z kulą, i podążył ku jednej z gładkich, mięsistych płaszczyzn pomiędzy promieniującymi płetwami. Na ostatnich kilku metrach

wypuścił z dzioba szpony lądownicze, przypominające szczytce pajęczego kraba, i wbił je w elastyczną powierzchnię. Minęło kilka chwil, w ciągu których dowin basale przekazywały sobie wzajemnie czasoprzestrzeń, wymienione zaś w ten sposób sygnały zostawały zinterpretowane przez specjalnie wyhodowanych kuzynów, villipów, które z kolei przekazały informację istotom pełniącym rolę przewodników żywych stworzeń: mistrzów przemian Yuuzhan Vong.

Gładka płaszczyzna, do której przyczepił się statek, skurczyła się, zmieniając kształt - przekształciła się w krater, którego brzeg sięgał coraz dalej, dalej i dalej. O sto metrów ponad ostrzem rufy statku z koralu krawędź krateru zmieniła się w wargi, a sam krater w paszczę, która powoli zamknęła się wokół stateczku i zassała go, dopasowując się do każdego jego załamania i zagłębienia, jak próżniowe opakowanie.

Kula przełknęła statek.

W ciągu kilku sekund miejsce, gdzie spoczywała niewielka jednostka, znów stało się gładką, rozległą płaszczyzną na wpeł elastycznego, bezkształtnego i ciepłego ciała.

Jacen otworzył oczy w chwili, gdy rozwierała się przepona. Na zewnątrz stała Vergere. Widać było, że nie ma zamiaru wchodzić.

- Nieźle wyglądasz.

Wzruszył ramionami i usiadł. Roztarł nowe blizny wokół nadgarstków, w miejscach, gdzie Objęcia Cierpienia zdarły mu skórę. Ostatnie strupy odpadły dwa spania wcześniej.

- Dawno cię nie widziałem - zauważył.

- Owszem. - Grzebień Vergere pytająco zaśnił zielenią. - Podobał ci się urlop od Objęć? Widzę, że nadgarstki ci się zagoiły. Jak tam ramiona? Biodra, kostki? Możesz chodzić?

Jacen znów wzruszył ramionami i spuścił wzrok. Stracił już poczucie czasu, nie wiedział, ile razy się budził i wstawał, odkąd Objęcia Cierpienia ostatecznie go uwolniły. W czasie, kiedy jego ciało dochodziło do zdrowia, nie mógł zmusić się nawet do spojrzenia na gałęzie, macki i gałki zmysłowe Objęć Cierpienia. Wciąż tam były, posplatane jak węgorki w koszyku, pulsujące lekko. Czekały. Nie wiedział nawet, kiedy go całkiem puściły.

Obawiał się, że jeśli za długo będzie na nie patrzył, przypomną sobie o jego istnieniu.

Vergere wyciągnęła dłoń.

- Wstań, Jacenie Solo. Wstań i idź.

Spojrzał na nią, mrugając ze zdumienia.

- Naprawdę? - zapytał. - Naprawdę mnie stąd zabierasz? Serio?

Jej zbyt giętkie ramiona płynnie zafalowały.

- To zależy - stwierdziła radośnie - co rozumiesz pod słowem “stąd”. I co rozumiesz pod słowem “naprawdę”. Ale zostać tu, w tym pomieszczeniu, kiedy będzie ono... jak to powiedzieć we wspólnym... aha, trawione, tak? Chyba by ci się to nie podobało.

- Nie podobało... aha, no tak, zapomniałem - wymamrotał. Podobno mam się dobrze bawić.

- A uważasz, że tak nie jest? - Rzuciła mu prostą szatę, która wydawała się utkana z surowych, nie bielonych włókien. - Sprawdźmy, czy nie znajdziemy dla ciebie bardziej rozrywkowej rezydencji. Co ty na to?

Zmusił się do wstania i wciągnął szatę przez głowę. Materiał był ciepły w dotyku i pulsował delikatnie, kiedy się go naciągało. Włókna napinały się i rozluźniały jak senne robaki. Ubieranie się było bolesne. Stawy biodrowe, gojące się wolniej od skóry, wciąż jeszcze skrzypiały, jakby zostały usztywnione durabetonem. Jacen nawet się nie skrzywił.

W końcu to tylko ból. Już go przestał zauważać.

Vergere trzymała coś w drugiej ręce. Był to groźnie wyglądający hak z poźółkłej na słońcu kości, długi, zakrzywiony i ostry.

Przystanął.

- Co to jest?

- Co?

- To, co masz w ręku. Czy to jakaś broń?

Jej grzebień opadł i podniósł się z powrotem, zieleń roziskrzyła się złotymi błyskami.

- Po co miałabym nosić broń? Czy jestem w niebezpieczeństwie?

- Jak... - Jacen przetarł oczy. Teraz z ręki Vergere zwiślała tylko bezkształtna plama - czy aby na pewno dobrze mu się zdawało?

- Pewnie światło cię zmyliło - mruknęła. - Zapomnij o tym i chodź ze mną.

Przeszedł przez przeponę. Korytarz jakby się zmienił; miejsce gładkiej, żywicznej powierzchni z koralu yorik, którą zauważył, kiedy Vergere wchodziła lub wychodziła, zajęło wnętrze tunelu czy rury. Podłoga tu była ciepła i mięsista. Lekko pulsowała pod jego bosymi stopami.

Na zewnątrz stała para wysokich wojowników Yuuzhan Vongów o nieprzeniknionych twarzach, ubranych w pełne zbroje z kraba vonduun. Na prawych ramionach mieli zwinięte

amphistaffy.

- Nie zwracaj na nich uwagi - lekkim tonem stwierdziła Vergere. - Nie mówią we wspólnym, nie dano im tizowymów, żeby tłumaczyć... i nie mają pojęcia, kim jesteś. Są tu tylko po to, żebyś nie narobił kłopotów. Nie zmuszaj ich, żeby cię skrzywdzili.

Jacen tylko wzruszył ramionami. Obejrzał się na pokój za zamykaną przeponą. Pozostawił w nim wiele cierpienia.

Równie wiele zabrał ze sobą.

Anakin... za każdym razem, kiedy zamykał oczy, pod powiekami widział martwe ciało brata. Wciąż czuł ten sam ból. Tak już pewnie zostanie.

Lecz teraz ból nie miał już dla niego takiego znaczenia.

Dogonił Vergere, która nie czekała na niego, tylko kroczyła śliskim, ciepłym tunelem, poprzedzianym zastawkami jak żyła. Wojownicy zamykali pochód.

Zapomniał o kościanym harpunie.

Pewnie to tylko gra świateł.

Jacen nie potrafił znaleźć ani kierunku, ani żadnej prawidłowości w korytarzu, który przemierzali. Wędrowali wzdłuż niekończących się skrętów mięsistych rur, które wydawały się zwijać i zapętląć same z siebie i całkiem przypadkowo. Z zewnątrz przez ściany przesączał się blask, jaskrawo oświetlając cętkowane skupiska żył w przejrzystej skórze ścian. Jedne zastawki przed nimi otwierały się pod dotknięciem Vergere, inne zamykały się same. Nieraz rury kurczyły się tak, że Jacen musiał schylać głowę, wojownicy zaś szli zgięci w pół. Innym razem trafiali do wielkich tuneli, które zginały się i pulsowały, jakby pompowały powietrze. Nieustanny powiew chłodził ich plecy, jak oddech dobrze karmionego zwierzęcia-strażnika.

Powłoka rury wibrowała jak ogromna, luźna skóra bębna, powodując cichy szum i pomruk w powietrzu, nieraz tak niski, że Jacen czuł zaledwie drgania dźwięku, dotykając dłonią ściany. Kiedy indziej stawał się on wyższy, głośniejszy, wznoszący się jak fala tysięcy głosów jęczących i wyjących z bólu.

Często mijali przepony wejściowe, podobne do tych, jaka zamykała Objęcia Cierpienia; nieraz bywały one otwarte, a za nimi widać było komory o podłodze z trawiastego bagna, gdzie drzewiaste pnie rozpościerały się nad brunatną mazią i pyszniły kokonami larw z innego świata, lub też ogromne, ciemne jaskinie, zamieszkałe przez maleńkie szkarłatne i zielonkawe płomyki, jedne jaskrawe, inne ciemne i niemal niewidoczne. Płomyki unosiły się, mrugały i lśniły niczym

oczy drapieżników na widok ofiary, skulonej w mroku za ogniskiem

Rzadko widywali innych Yuuzhan Vongów. Byli to głównie wojownicy, których gładkie, pozbawione blizn twarze i zdrowe, nie zniekształcone kończyny świadczyły o niskim statusie społecznym. Raz czy dwa mignęły Jacenowi grupki niższych, bardziej krępych Yuuzhan o głowach ozdobionych czymś w rodzaju żywego kołpaka, który przypominał pierzasty grzebień Vergere. To pewnie mistrzowie przemian; Jacen przypomniał sobie opowieść Anakina o bazie mistrzów przemian na Yavinie Cztery.

- Co to za miejsce? - Jacen był już na statkach Yuuzhan, widział również instalację planetarną na Belkadanie; pewnie były to twory organiczne, wyhodowane raczej niż zbudowane, lecz zawsze w pewien sposób zrozumiałe. - Czy to statek? A może stacja kosmiczna? Jakaś istota?

- Wszystko to, i jeszcze więcej. Yuuzhańską nazwę tego... statku, stacji, istoty, co tylko chcesz, można przetłumaczyć jako "statek-nasienie". Biolog mógłby go nazwać ekosferycznym blastodermem. Przyciągnęła Jacena do siebie i zniżyła głos, jakby dzieląc się z nim dowcipem. - To jajo, z którego narodzi się cały świat.

Jacen zrobił minę, jakby skosztował czegoś paskudnego.

- Świat Yuuzhan Vongów.

- Oczywiście.

- Byłem na Belkadanie. I na Duro. Nie były wcale podobne. Przeprowadzali tę swoją... vongizację? Tak to się nazywa? No więc przeprowadzali ją, rozpylając w atmosferze jakieś transgeniczne bakterie...

- Belkadan i Duro to tylko zakłady przemysłowe - odparła Vergere. - Stocznie produkujące uzbrojenie. Zostaną wykorzystane, zużyte i opuszczone. Ale świat, który powstanie z tego statku-nasienia, będzie naszym domem.

Jacen poczuł się słabo.

- Domem?

- Planetą, którą można określić mianem pojedynczego organizmu, żywą istotą o szkielecie ze skały i sercu z płynnego kamienia. Gatunki, które zamieszkają na planecie, zarówno rośliny, jak i zwierzęta, od mikroba do megalossusa, będą organami planety-istoty, jej wewnętrznymi symbiontami lub pasożytami. Samo nasienie-statek składa się głównie z inkubacyjnych komórek pierwotnych, które zróżnicują się, przetwarzając w żyjące maszyny... a

te z kolei stworzą wszystko, co stanowi faunę i florę planety, jednak o znacznie przyspieszonym cyklu wzrostu. Zwierzęta osiągną dojrzałość w ciągu kilku dni standardowych, całe lasy wyrosną w ciągu kilku tygodni. W kilka miesięcy po zasianiu nowy świat będzie miał już w pełni funkcjonujący i dynamicznie stabilny ekosystem, replikę planety martwej od tylu tysięcy lat, że zaledwie ją pamiętamy.

- Ich rodzinna planeta - mruknął Jacen. - Yuuzhanie budują sobie nową rodzinną planetę. Tak to wygląda.

- Można to i tak nazwać. - Vergere przystanęła i skinęła na jednego z wojowników. Dotknęła jakiegoś punktu na skórze tunelu. Wojownik wystąpił naprzód i poruszył prawym ramieniem; amphistaff rozwinął się i przekształcił w ostrze, które rozdarło ścianę długim, postrzępionym cięciem. Brzegi cięcia spłynęły mlecznobiałą cieczą. Vergere odciągnęła jeden z nich, jakby unosząc kotarę. Skłoniła się lekko, zapraszając Jacena do środka.

- Nazwałabym to pracą w toku - wyjaśniła. - Tak samo jak ciebie.

Do wnętrza rury buchnęły kłęby wilgotnej, cuchnącej bagnem mgły, ciepłej, gęstej i podobnej do dymu. Jacen prychnął.

- Zdaje się, że w odświeżaczu w barakach nawaliła kanalizacja. Jaką naukę mam z tego wyciągnąć?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Jacen przecisnął się przez szczelinę, prosto w powietrze duszne od zgnilizny, smrodu ekskrementów i gorącego, mokrego szlamu. Na skórę wystąpił mu kroplisty pot. Mleczna ciecz-krew z rozcięcia ściekała lepкими, bladymi strumyczkami, które lepiły mu się do włosów i dłoni. Otarł je szatą, ale to mleko upodobało sobie jego skórę bardziej niż włókna.

Potem podniósł wzrok i zapomniał o mleku.

Stąd właśnie dochodziły krzyki.

Stał w przenicowanym świetle.

Tunel za jego plecami wyglądał jak węzłowaty garb, żyłak przecinający szczyt wzgórza. Wokół, od stóp pagórka aż po horyzont, rozpościerało się bulgoczące bagno i dżungla.

Ale horyzontu też nie było.

Za burzowymi kłębami cuchnącej mgły niekończąca się dolina spienionych bajor i stawów zionących cuchnącymi gazami wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż do miejsca, gdzie Jacen musiał zmrużyć oczy przed blaskiem słońca - aktywniczego, biało-niebieskiego punkcika

gdzieś w górze. Nagle podmuch rozdarł zasłonę mgieł i teraz zobaczył, co znajduje się poza słońcem - dalsze bagna, dżungle, grzebienie niskich wzgórz. Nieba nie było. Przez gęste opary wydawało się, że po tych wzgórzach bezładnymi stadami wędrują ogromne bestie ale oto mgła przerzedziła się znowu i scena nabrała perspektywy.

To nie były ogromne bestie - to byli ludzie.

Ale nie tylko ludzie; również Mon Kalamari, Bothanie i Twilekowie, i jeszcze dziesiątki innych gatunków Nowej Republiki.

Wzgórza nad głową były stąd niedaleko, kilometr, może półtora. Słońce musiało być jakimś sztucznym, termojądrowym źródłem światła, pewnie nie większym niż pięść Jacena. Skinął głową w zadumie przy doskonałej kontroli grawitacji przez dovin basale nie jest tak trudno opanować budowę stosu. Trudniej byłoby odfiltrować szkodliwe promieniowanie. Nie umiał się domyślić, jak to zrobili bez ekranów. Nigdy nie miał smykałki do techniki. Jego dar polegał na kontaktach ze zwierzętami. Z takim pytaniem musiałby się zwrócić do Jaina albo do Anakina...

Wzdrygnął się i mocno zacisnął zęby, aż ból przeszedł.

Teraz wśród grup dostrzegł również Yuuzhan: było tam kilku wojowników, ale niewielu. Za to setki, a może tysiące mistrzów przemian - ci poruszali się powoli i celowo, pobierając próbki wody i gleby, zbierając liście i kawałki kory, łodygi, garście alg, lecz nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co Jacen początkowo wziął za stada bydła.

Stada...

Gdyby wciąż posiadał Moc, natychmiast wyczułby prawdę.

Były to brygady niewolników.

- Wspaniałe, prawda? - odezwała się Vergere zza jego pleców.

Jacen pokręcił głową.

- Szaleństwo - szepnął. - Popatrz tylko...

Skierował palec w stronę najbliższej grupy. Ekipa rozstawiona wzdłuż nasypu wściekle kopała prymitywnymi łopatami, z wyciem i wrzaskami wyrzucając we wszystkich kierunkach ziemię, roślinność i błoto. Wykop miał zapewne być czymś w rodzaju rowu melioracyjnego, jednak kolejna wyjąca grupa zasypywała go z równą skwapliwością. Nieco dalej garstka rozkrzyczanych, spoconych ludzi wtykała w błoto kielkujące ziarna, podczas gdy kilka metrów za ich plecami następna grupa, jęcząc i zalewając się łzami rozpaczy, wdeptywała kielki w

ziemię. Cały obszar wypełniony był gromadkami istot zajętych podobnymi, równie bezużytecznymi zajęciami: zaledwie wzniesione kamienne budowle były natychmiast rozbierane, pola zasypywano otoczkami, zanim jeszcze skończyła się orka, młode drzewka sadzono i natychmiast ścinano, a wszystko to rękami półnagich, zataczających się z wyczerpania niewolników. Niektórzy klęli, inni szlochali, jeszcze inni po prostu wydawali nieartykułowane, przejmujące okrzyki zwierzęcego bólu.

Nawet kiedy nie było takiej potrzeby, niewolnicy miotali się od zadania do zadania, jakby ściagały ich stada niewidzialnych insektów. Człowiek kopiący właśnie dziurę mógł nagle rzucić łopatę, jakby dotknął odsłoniętej szyny zasilającej i skoczyć do na wpół zbudowanej budy, po czym poderwać się znowu i pokuśtykać w drugą stronę, aby wrywać bagienną trawę i bezmyślnie rozrzucać ją na wietrze.

- To... to jakieś szaleństwo - Jacen objął się ciasno ramionami i z trudem przełknął ślinę, oddychając płytko, by stłumić wznoszące się od żołądka wymioty. - Jak możesz nazywać to czymś wspaniałym?

- Ponieważ widzę to, czego nie widać od razu. Widzę, co tutaj będzie. - Vergere dotknęła jego ramienia, zerkając wokół. - Chodź ze mną.

Skręty i węzły żył umożliwiły swobodne wejście na zewnętrzną powłokę tunelu. Vergere zwinnie i pewnie skakała z jednej żyły na drugą, po czym czekała, aż Jacen z trudem wgramoli się jej śladem. Gorące, gęste i cuchnące powietrze dusiło go, wyciskało siódme poty, doprowadzało do omdlenia, jakby ktoś go owinął mokrą skórą tauntauna. Obaj wojownicy podążali za nimi z niewzruszonymi, niedbałymi minami.

- Po co istnieje to miejsce? - Jacen szerokim gestem objął to pandemonium. - Co wspólnego ma to wszystko z vongizacją planety?

- To, co widzisz? - Vergere przekrzywiła głowę w sposób, który Jacen nauczył się interpretować jako uśmiech. - To plac zabaw.

- Plac zabaw?

- Och, tak. Wiesz przecież, że place zabaw Nowej Republiki to miejsce dla dzieci, gdzie mogą one poznać granice zachowania i wychowania. Nauczyć się walki w dziecięcych potyczkach. Poznać politykę podziału na grupy. Przecież właśnie na placu zabaw dziecko przechodzi inicjację w kontaktach z szaleństwem tłumów, poznaje grząski teren nacisku społecznego oraz ostateczną, niewyobrażalną, bezsprzeczną niesprawiedliwość życia - fakt, że

niektórzy są mądrzejsi, inni szybsi lub silniejsi i żadne rozkazy nie sprawią, żebyś był lepszy niż twoje własne możliwości.

Objęła gestem cały teren.

- To, co tutaj widzisz, to efekt działania potężnych, niezdyscyplinowanych dzieciaków... bawiących się wspólnymi zabawkami.

- To nie zabawki - wybuchnął Jacen ze zgrozą. - To żywe istoty... ludzie, Bothanie...

- Nie będę się z tobą sprzeczała o określenia, Jacenie Solo. Nazwij ich, jak chcesz. Zastosowanie i tak pozostanie to samo.

- Jakie zastosowanie? Co ktokolwiek może zyskać na tym... na tym bezsensownym cierpieniu?

Vergere z politowaniem pokręciła głową.

- Czy sądzisz, że proces tak skomplikowany jak odtworzenie całej ekologii planetarnej można powierzyć przypadkowi? Och, nie, nie, Jacenie Solo. Tu chodzi o naukę. O edukację. Próba i błąd... więcej błędów niż prób, oczywiście. I ćwiczenie. Ćwiczenie, ćwiczenie, ćwiczenie...

Wyciągnęła dłoń jak robot-kelner, oferujący gościom stół w eleganckim lokalu, wskazując na wielkie jezioro opodal podnóża pagórka, na którym stali. Pośrodku jeziora znajdowała się wyspa, wielka, niezgrabna sterta potężnych sześciokątnych bloków, jak zamknięte plastry koreliańskich winopszczół. Tyle tylko, że każda komora plastra była dość wielka, aby wchłonąć całego "Sokoła Millenium".

Jezioro otaczał krąg yuuzhańskich wojowników z bronią przygotowaną jakby do obrony przed nieoczekiwanym atakiem. Kolejny pierścień wojowników otaczał samą wysepkę. Pomiędzy blokami poruszały się dziesiątki, a może setki mistrzów przemian, dźwigając jakieś pakunki, urządzenia i bukłaki z ciecżą. Od czasu do czasu jeden z nich używał czegoś w rodzaju przystawki, żeby przebić otwór w jednym z końców bloku, po czym przystawiał do niego albo pakunek, albo wypełniony płynem bukłak i na nowo zamykał komorę. Jacen stwierdził nagle, że analogia z winopszczołami jest wyjątkowo trafna.

Te wielkie sześciokątne bloki musiały kryć w sobie jakieś żywe istoty - coś ogromnego, larwalne formy niewyobrażalnego giganta...

- Co to jest? - wyszeptał.

- Nie jest najważniejsze, czym są teraz, lecz czym się stanie to jedno, które przeżyje i

dojrzeje.

Uśmiechnęła się znowu, a jej grzebień rozblęsnął jaskrawym oranżem.

- Podobnie jak wszystkie złożone istoty - wyjaśniła - również świat Yuuzhan Vongów potrzebuje mózgu.

Stworzenia nazywano dhuryamami.

Pokrewne yammoskom, dhuryamy są równie wyspecjalizowane jak gigantyczni koordynatorzy wojenni, lecz hoduje się je do bardziej skomplikowanych typów koordynacji telepatycznej. Są większe, silniejsze, znacznie potężniejsze i mają zdolność mentalnego jednoczenia o wiele większą liczbę rozmaitych rozproszonych elementów niż jakikolwiek yammosk. Dhuryamy mają być odpowiedzialne za zintegrowanie czynności vongizujących organo-maszyn. Dhuryam nie będzie sługą, lecz raczej partnerem: w pełni inteligentny, w pełni świadom, zdolny do podejmowania decyzji na podstawie stałego strumienia danych dopływających z planetarnej sieci telepatycznie powiązanych istot, będzie w stanie bezbłędnie poprowadzić transformację planety, nie narażając jej na zagrożenia nieuniknione w naturalnych, chaotycznych ekosystemach.

Kiedy Vergere skończyła opis dhuryamów, Jacen odezwał się ostrożnie:

- Te grupy niewolników... mówisz, że one są kontrolowane umysłem?

Vergere skinęła głową.

- Pewnie zauważyłeś brak strażników, z wyjątkiem tych obok ula dhuryamów. A i ci pilnują jedynie, aby dhuryamy nie użyły niewolników do pozabijania swoich braci.

- Pozabijania?

- Och, tak. Zachowanie można uzyskać przez uwarunkowanie, ale umiejętności trzeba nauczyć. Większość z czynności, jakie wykonują tu dhuryamy, to nauka przez zabawę, tak jak to robią piloci, latając na symulatorach. Właśnie tutaj trenują swoje zdolności, nabierają mistrzowskiej wprawy w kontrolowaniu umysłów wielu bardzo zróżnicowanych form życia. Najlepszy z nich zostanie później użyty jako Mózg Świata.

- Jeden z nich - powtórzył Jacen jak echo.

- Tylko jeden. Zabawy tych dzieci są więcej niż poważne. Są zabójcze. Te maleńkie dhuryamy znają już pierwszą i najważniejszą z życiowych prawd: zwyciężasz lub giniesz.

- To takie... - pięści Jacena zacisnęły się bezradnie. - To takie... okropne.

- Ja bym to raczej nazwała uczciwym - uśmiechnęła się do niego wesoło, po

przyjacielsku, niewzruszona otaczającym ich horrorem. Życie to walka, Jacenie Solo. Zawsze tak było: niekończąca się, okrutna bitwa, ociekające krwią kły i pazury. Może to właśnie największa siła Yuuzhan. Nasi mistrzowie, w przeciwieństwie do Jedi, w przeciwieństwie do całej Nowej Republiki, nigdy się nie łudzą. Nigdy nie tracą energii na udawanie, że jest inaczej.

- Mówisz ciągle “nasi mistrzowie”. - Kostki palców Jacena zbieleły, gdy zacisnął pięści jeszcze mocniej. - Chcesz powiedzieć “moi mistrzowie”. Ta perwersja... to wszystko nie ma ze mną nic wspólnego.

- Będziesz chyba trochę zaskoczony, kiedy odkryjesz, jak bardzo się mylisz.

- Nie - z mocą odparł Jacen. - Nie. Mam jedynego mistrza i jest nim Mistrz Skywalker. Służę jedynie Mocy. Yuuzhanie Vong mogą mnie zabić, ale nie zmuszą mnie do posłuszeństwa.

- Biedny, mały Solo. - Ramiona Vergere zafalowały w kolejnym płynnym geście obojętności. - Czy nigdy nie czujesz się zakłopotany tym, że się tak ustawicznie i całkowicie mylisz?

Jacen odwrócił wzrok.

- Tracisz czas, Vergere. W tym miejscu niczego się nie nauczę.

- Widzisz? Podwójny błąd rozumowania: ja nie tracę czasu, a to nie jest twoja nowa szkoła. - Podniosła dłoń błyskawicznym, ledwie dostrzegalnym gestem. Dwaj wojownicy za plecami Jacena schwycili go za ramiona i przytrzymali w uchwycie twardym jak zbrojony beton. Plama w dłoni Vergere przybrała na powrót kształt groźnego haka z kości.

Moc, pomyślał Jacen, czując, jak panika podchodzi mu do gardła. Zasłoniła go Mocą... miała go przy sobie przez cały czas.

- To jest twój nowy dom - oznajmiła i dźgnęła go w pierś.

R O Z D Z I A Ł 3 OGRÓD

Tuż nad skrajem horyzontu zdarzeń galaktycznych - tego skupiska grawitacji, gdzie nawet nieskończona hiperprzestrzeń znajdowała swój koniec - nasienie-statek po raz ostatni wyskoczyło poza rzeczywistość wszechświata. Po raz ostatni stało się wszechświatem samo w sobie.

Nasienie-wszechświat, podobnie jak jego większy i starszy bliźniak, rozwijało się

nieustannie. W ciągu czasu, który miał znaczenie jedynie wewnątrz pęcherza, nasienie-wszechświat różnicowało się i komplikowało. Skóra pomiędzy promienistymi płetwami zmieniała się, stawała coraz grubsza i twardsza w jednym miejscu, a cieńsza, bardziej wydęta tam, gdzie płody istot-narzędzi rozwijały się w macicach stworzonych w ramach tej cienkiej warstwy rzeczywistości.

W bezkierunkowym niemiejsku nadprzestrzeni nasienie-świat zaczęło swój długi, powolny spadek w kierunku serca galaktyki.

Jacen zobaczył nadchodzącą Vergere: drobna, zwinna postać w mglistym zielonym półmroku, który w Szkółce pełnił funkcję nocy. Zgrabnie przeskakiwała po świetlistej, pokrytej smugami piany powierzchni bagna krabów vonduun, z uwagą stawiając stopy, jakby śmigała na falach przyływu.

Zacisnął szczęki.

Spuścił wzrok na ranę w brzuchu niewolnika - długie, zakrzywione cięcie, niezbyt głębokie. Skóra niewolnika była różowa, tylko przy krawędzi rany nabierała odcienia gorącej czerwieni. Niewolnik zadygotał, kiedy Jacen rozchylił ranę. Cięcie było powierzchowne, krew jedynie się sączyła. Można było dostrzec warstwy skóry, nie zaś czerwone mięśnie czy skręty jelit. W zadumie skinął głową.

- Nic ci nie będzie - poinformował. - Od tej pory trzymaj się z daleka od zagajnika amphistaffów.

- Jak... jak mogę...? - jęknął niewolnik. - Jaki mam wybór?

- Zawsze jest jakiś wybór - mruknął Jacen. Podrapał się po głowie. Włosy odrosły mu na tyle, że już zaczęły się kręcić. Były zlepione tłuszczem i brudem i swędziały go skóra głowy - ale nie aż tak jak rzadka, cienka broda nastolatka, która pokrywała mu policzki i szyję. Obejrzał się na Vergere.

Była już blisko, klucząc przez wzgórki kolonii młodych ooglithów. Nie widział jej od pierwszego dnia w Szkółce. Według jego rozeznania, mogło to być co najmniej kilka tygodni temu.

A może miesięcy?

Połaskotał wylot glistobukłaka leżącego obok na ziemi i wsunął dłoń do środka. Szczękożuki, które wypełniały glistobukłak, zażarcie zaatakowały jego dłoń. Odczekał, aż dwadzieścia czy trzydzieści żuków wbiło mu w skórę szczęki, po czym wyjął rękę i pozwolił,

aby wylot zamknął się znowu. Szczękożuki sterczały na wszystkie strony jak sękata, owadzia rękawica. Użył ich do spinania rany niewolnika. Wolną dłonią łaskotał staw głowowy szczękożuka, aż ten otworzył szczęki, po czym przyciskał go do rany, tak aby ponowne ich zaciśnięcie spięło jej brzegi. Potem jednym ruchem odrywał ciało żuka, a szczęki pozostawały na miejscu.

Rana wymagała użycia dwudziestu trzech szczękożuków. Ostrożnie odczepił żywe żuki, które wciąż wisiały mu u ręki, i wrzucił z powrotem do glistobukłaka, po czym oderwał pasy od dolnego brzegu szataskóry niewolnika, aby przewiązać mu ranę tym zaimprovizowanym bandażem. Szataskóra i oderwane kawałki ociekały w miejscach rozdarcia mlecznym sokiem, który skleił pasy i ścisnął je razem.

- Staraj się jej nie moczyć - szepnął Jacen łagodnie. - I nie zbliżaj się do zagajnika amphistaffów, dopóki się nie zagoi. Zdaje mi się, że one wyczuwają krew. Potną cię na plasterki.

Ten zagajnik amphistaffów był inny niż jego odpowiednik na światostatku nad Myrkrem: tamte były ukształtowane, zmodyfikowane, udomowione. Poskromione. Zagajnik w Szkółce był oryginalnym tworem. Podstawą. I nie miał w sobie nic udomowionego.

Polipy amphistaffów w zagajniku miały od jednego do trzech metrów wysokości. Z głęboko zakorzenionych wzgórków skórzastej tkanki wyrastało od dwóch do pięciu mięsistych brodawek, na których rosły triady młodych amphistaffów. Polipy amphistaffów to zaczajone w jednym miejscu drapieżniki; młode amphistaffy służą jako ich ramiona i broń, nadziewając, zatruwając jadem, aż wreszcie tnąc ofiarę na kawałeczki strawne dla ziemnej paszczy polipa, dużej jak ludzka pięść. Potrafią zabić i spożyć każdą żywą istotę. Bezpiecznie zbliżyć się może do nich tylko krab vonduun, jedyny naturalny wróg amphistaffów, chroniony płytką misą niezwykle twardej skorupy.

- Ale... ale jeśli zostaną wysłany? - jęknął niewolnik. - Co wtedy?

- Sieć ziarna niewolników jest podłączona tylko do twoich nerwów dotykowych.

Najwyżej będzie bolało - odparł Jacen. - Amphistaffy cię nie zabiją.

- Ale ból... ten ból...

- Wiem.

- Nie wiesz - z goryczą odparł niewolnik. - Nigdy nie kazali ci nic robić.

- Tobie też nie każą nic robić. Nie mogą. Mogą tylko sprawić ci ból, a to nie to samo.

- Łatwo ci powiedzieć! Kiedy po raz ostatni tobie sprawili ból?

Jacen wstał i spojrzał w kierunku Vergere.

- Lepiej się prześpij. Wkrótce znowu włączą słońce.

Niewolnik mamrocząc powłókł się w kierunku grupy swoich pobratymców. Nie podziękował.

Rzadko dziękowali.

Niewolnicy w ogóle niewiele z nim rozmawiali, tylko wtedy, kiedy przychodzili na opatrunki. Unikali go. Był zbyt obcy, zbyt niepodobny do reszty i niełatwo było się z nim porozumieć. Wędrował pomiędzy nimi w bańce samotności. Nikt nie chciał się zbliżyć. Obawiali się go, a może nawet nienawidzili.

Jacen nachylił się i zebrał garść bezgłowych żuków. Obserwując zbliżającą się Vergere, kruszył ich powłoki brzuszne, wyluskując bladofioletowe mięso. Mięso żuków było bogate w tłuszcze i proteiny, a smakowało jak kalamaryjskie lodowe homary.

Była to najsmaczniejsza rzecz, jaką mógł tu znaleźć do jedzenia.

Vergere ostrożnie mijała śpiących niewolników. Podniosła wzrok i spojrzała na niego, podnosząc dłoń w powitalnym geście.

- Wystarczy - stwierdził.

Zatrzymała się.

- Co to, nie uściskasz mnie? Przyjaciółka Vergere nie dostanie nawet buzi?

- Czego chcesz?

Uśmiechnęła się mądrym uśmiechem i otworzyła usta, jakby chciała udzielić jednej z tych swoich zagadkowych odpowiedzi, ale wzruszyła ramionami, westchnęła i spoważniała.

- Ciekawa jestem - odparła po prostu. - Jak tam twoja pierś?

Jacen dotknął szataskóry w miejscu, gdzie pod żebrami miał ropiejącą dziurę. Szata zagoiła się wiele tygodni temu. Nawet plama krwi znikła. Podejrzewał, że szataskóry żywią się wydzielinami istot, które je noszą: potem, krwią, złuszczonej komórkami skóry i tłuszczem. Jego szataskóra była duża i zdrowa, choć ciągle darł ją na bandażę dla siebie i rannych niewolników, których opatrywał. Zawsze odrastała do pierwotnej długości w ciągu jednego lub dwóch dni.

Za to jego pierś...

Patrząc na Vergere, przeżywał to zdarzenie jeszcze raz: kościany hak wrzynający się w ciało poniżej żeber, zakrzywiony w górę, by przebić przeponę. Czubkiem zahaczył o płuco, a

potem rozdarł wewnętrzną stronę splotu słonecznego: lodowaty, wstrząsający nieból zniszczył jego siłę. Zemdlał w ramionach wojowników.

Vergere powoli wyjęła hak; czuł, jak przesuwa go przez zaciśnięte mięśnie. Przyglądała mu się przez chwilę, grzebień lśnił perłową, nieodgadnioną tęczą.

- Czujesz już?

Jacen spojrział w dół, na leniwą strużkę krwi ściekającą z otworu pod zębami. Otwór nie był większy niż czubek jego małego palca; poczuł nagle absurdalną pokusę, żeby wsadzić tam palec, jak korek w butelkę koreliańskiej whisky.

Dopiero wtedy Vergere powiedziała mu, co zrobił hak: wszczepił koralowe ziarno niewolnicze w jego pierś.

- Doskonale - pochwaliła radośnie hak. - Idź, pobaw się.

Hak zmiękł, owinął się na chwilę wokół jej przegubu, jakby wąż ją żegnał przyjacielskim uściskiem, po czym ześliznął się na ziemię i znikł w poszyciu.

- Wiem, że już miałeś implanty - powiedziała wtedy. - Na Belkadanie, tak? Ale tamto nasienie rosło za wolno i było zbyt łatwe do wyjęcia. Nowe, ulepszone uczyniłam... eee... mniej dostępnym.

I ten ból, który ogarnął jego serce...

Ziarno wypuściło kielki w ciągu kilku sekund; włókna jak śrubowce wkręcały mu się w splot słoneczny. Przywitało się wydzielając substancje bólu - w piersi rozgorzał mu gwiazdny rozbłysk, który powalił go z nóg jak uderzenie pałką. Leżał na sękatej skórze żyły, zwinięty wokół swojego bólu.

Vergere i wojownicy pozostawili go w tym miejscu. Niepotrzebne były żadne instrukcje ani rozkazy. Ziarno niewolnicze dawało mu do zrozumienia, czego od niego oczekiwano, z typowo - jak pomyślał wtedy Jacen - yuuzhańską skutecznością.

Sprawiało mu ból.

Ziarno miało telepatyczną więź z jednym z dhuryamów. Za każdym razem, kiedy Jacen nie robił tego, czego żądał od niego dhuryam, ziarno podpalało końce jego nerwów rozżarzoną żelazem. Próbował jednej czynności po drugiej, aż wreszcie odkrył, co nie powodowało bólu.

Czasem trwało to kilka chwil, czasem bardzo długo.

Tu, w Szkółce, słońce gaszono na mniej więcej jedną trzecią doby; zamiast księżyców oświetlających sztuczną noc, Szkółka dysponowała bogactwem świecących mchów i alg. Teraz,

gdyby chciał, mógłby liczyć dni, ale już go to nie obchodziło. Mógł nakreślić upływ czasu po wzroście włókien ziarna niewolnika, oplatających jego nerwy.

W miarę jak wzrastało, jego kontrola stawała się subtelniejsza. Poprzez coraz bardziej skomplikowaną sieć ziarna niewolnika dhuryam mógł już nakazać mu iść naprzód, wywołując ból w jego plecach. Potrafił polecić mu podnieść coś, powodując ból w pustej dłoni. W razie potrzeby mógł spinać jego nerwy tak ostro, że mimowolny spazm kierował ramię lub nogę we właściwym kierunku.

Rana po wprowadzeniu ziarna, pozostawiona przez broń Vergere, zaczęła ropieć: zaczerwieniła się, wywiązał się stan zapalny i pojawiła się żółta wydzielina. Jacen przycisnął dłonią sztywny bandaż z szataskóry. Spojrzał beznamiętnie na obcą, podobną do ptaka istotę, która go skrzywdziła.

- Moja pierś? - powtórzył. - Dziękuję, dobrze.

- Pokaż.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Czy już nie ustaliliśmy, że nie ma sensu zachowywać się jak dziecko, Jacenie Solo? -
Zwinnie podbiegła w jego kierunku.

- Trzymaj się ode mnie z dala, Vergere. Wiem, co mówię.

- Wierzę ci, skarbie - odparła. Stała na stałym gruncie i podeszła bliżej. - Ale jakie znaczenie ma twoja wiedza? Jak mi zabronisz? Zabijesz?

Jacen zacisnął pięści i nie odpowiedział.

- Pobijesz? Okaleczysz swoją przyjaciółkę Vergere? - Zachęcająco podsunęła mu ramię, jakby zapraszając do tańca. - Złam mi kość, proszę... o tu, nad nadgarstkiem, jeśli można prosić. Powinna zagoić się dość szybko, będzie jedynie krótkotrwałą niedogodnością.

- Vergere...

- Zadaż mi ból - zaproponowała. - Wykręć mi łokieć. Wyrwij pióra z mojego grzebienia. Albo usiądź i pokaż mi swoją ranę. Rozkazy nie poparte siłą są tylko sugestiami, Jacenie Solo.

Ale jej rozkazy są rozkazami, pomyślał Jacen. Mogłaby tu mieć oddział strażników w ciągu minuty, mogłaby pewnie utrzymać go Mocą w powietrzu i zrobić z nim, co tylko zechce. Ale się nie ruszył.

Pytając przekrzywiła głowę, uśmiechając się kącikiem ust. Zebrała cztery przeciwstawne palce w piramidkę i mocno, precyzyjnie dźgnęła go poprzez szataskórę wprost w

zainfekowaną ranę.

Ból eksplodował jak płomień, ale Jacen ani mrugnął.

- Mówiłem ci - rzekł. - Wszystko w porządku.

Wskazała palcem na ziemię, na zgnieciony mech, gdzie przed chwilą spoczywał niewolnik, któremu Jacen spał żukami ranę.

- Kładź się.

Jacen ani drgnął.

- Jacenie Solo - odezwała się cierpliwie. - Wiesz, że Moc jest ze mną. Myślisz, że nie czuję twojej infekcji? Czy jestem tak ślepa, że nie dostrzegam w twoich oczach trawiącej cię gorączki? Czy jestem tak słaba, że nie zdołam cię przewrócić?

Może przyjdzie taki czas, że pogadamy na ten temat, pomyślał Jacen, ale z westchnieniem ułożył się na mchu.

Vergere chwyciła jego szataskórę w obie dłonie i schyliła głowę, aby nadgryźć ją ostrymi wyrostkami zębowymi. Rozdarła otwór, oderwała znajdujący się pod nią bandaż, złożyła go i bez ceregieli zdarła zainfekowany strup z rany. Jacen obserwował ją bez zmrużenia oka, nie reagując na szorstki dotyk na rozpalonym ciele.

Zauważyła jego spojrzenie i mrugnęła.

- Ból cię teraz mało rusza, co?

- Od czasu Objąć? - wzruszył ramionami. - Nie ignoruję go, jeśli o to ci chodzi.

- Ale nie rządzi tobą - odparła z aprobatą. - Są tacy, którzy twierdzą, że ludzie nie są w stanie pokonać strachu przed bólem.

- Może ci, którzy tak mówią, nie bardzo znają się na ludziach.

- A może się znają, tylko nigdy nie spotkali kogoś takiego jak ty.

Spuściła głowę i przymknęła oczy, trzymając złożony bandaż w jednej stulonej dłoni. Jacen ze zdumieniem przyglądał się jej łzom.

Płynne klejnoty zbierały się w kącikach oczu i spływały po policzkach, lśniąc w mglistym, zielonym zmierzchu. Łzy Vergere... przypomniał sobie małą fiolkę tych łez i nagle ozdrowienie Mary po tajemniczej infekcji, która, jak wszyscy w skrytości ducha sądzili, miała kosztować ją życie.

Vergere starła łzy z twarzy zabrudzonym bandażem, po czym znów przyłożyła go do rany Jacena.

Ból znikł.

- Przytrzymaj to - poleciła, a kiedy Jacen posłusznie położył dłoń na bandażu, zaczęła oddzierać pasy z jego szaty.

Jacen nie mógł się powstrzymać, żeby nie zajrzeć pod bandaż. Musiał zobaczyć.

Stan zapalny znikł. Skóra wokół rany miała zdrowy, różowy kolor, sama rana zaś spływała krwią, która wyglądała i pachniała normalnie, nie cuchnącą śmiercią wydzieliną, którą oglądał przez te wszystkie dni.

- Jak... - jęknął. - Jak mogłaś to...

- Nie mówiłam ci przypadkiem, żebyś to przytrzymał? - Vergere trzepnęła go po ręce, przyciskając bandaż, po czym szybko umocowała go pasami z szataskóry Jacena.

- Twoje łzy... z czego one są? - zapytał z podziwem.

- Z czego zechcę.

- Nie rozumiem.

- Gdybyś wciąż miał Moc, byłoby to dla ciebie oczywiste. Samice mojego gatunku mają bardzo skomplikowane gruczoły łzowe; nawet ślepe na Moc mogą... mogłyby zmieniać skład łez, produkując szeroki zakres sygnałów feromonalnych i chemicznych środków odurzających, które działałyby na naszych samców. Dzięki Mocy moja kontrola jest bardziej precyzyjna; mogę dopasować strukturę molekularną łez do konkretnych potrzeb, czy ma to być lekarstwo systemowe na infekcję zarodnikami, czy tylko mocny antybiotyk o własnościach sterydu.

- Niech mnie - jęknął Jacen. Serce zadrżało mu w nagłej nadziei. - Naprawdę, niech mnie... Vergere, czy sądzisz... to znaczy, czy mogłabyś... czy ja bym mógł...?

Spojrzała na niego spokojnie.

- Mów.

- Jest ich tylu - zaczął. - Niewolnik, Bothańczyk, Trask... strzaskał sobie kostkę. Złamanie złożone, wdało się zakażenie. Będę mu siał odjąć mu stopę, a to pewnie go zabije. Pillon Górnik, człowiek... on pierwszy przekonał się, że polipy amphistaffów w zagajniku są dość dojrzałe, aby atakować. Zapalenie otrzewnej. Umiera. Są tu dziesiątki niewolników, którzy zostali zranieni i okaleczeni, większość ran jest zakażona... a za każdym razem, kiedy niewolnik tamtędy przechodzi, amhistaffy atakują. Mamy szczęście, że ich gruczoły jadowe nie są dojrzałe, bo inaczej żaden z niewolników by nie przeżył. A widzisz te ooglithy, pączkujące na grządkach? Te, które przed chwilą mijałaś? Dwa z nich dorwały Twilekanę i wlały jej na grzbiet. One też

są niedojrzałe i nie mają antybakteryjnych enzymów, takich jak dorosłe sztuki, więc kiedy ich włókna wniknęły w pory Twilekanki, przeniosły nie wiadomo jakie bakterie... Widzisz ją teraz? To ta, co leży i jęczy. Nic dla niej nie mogę zrobić. Nie sądzę, aby dożyła ranka.

- To, co powiedziałeś, nie jest ani pytaniem, ani żądaniem. - Vergere mrugnęła powoli, potem jeszcze raz. - Poproś.

Jacen zacisnął pięści, rozwarł je znowu i jeszcze raz spojrzął na bandaż, którym obwiązała mu żebra.

- Twoje łzy, Vergere. Mogłabyś ocalić tak wiele istnień.

- Wiem.

- Proszę, Vergere... zrobisz to?

- Nie.

- Proszę...

- Nie, Jacenie Solo. Nie zrobię tego. Niby dlaczego? To niewolnicy.

- To istoty rozumne...

Wzruszyła ramionami.

- Pomogłaś mi - zawołał Jacen głosem drżącym z desperacji i gniewu. - Dlaczego zrobiłaś to dla mnie, a nie dla jednego z nich?

- Dlaczego... to pytanie głębsze niż odpowiedź. - Usiadła na wilgotnym gruncie. Grzebień przylegał jej płasko do czaszki. - Powiedz mi, Jacenie Solo: co odróżnia kwiat od chwastu?

- Vergere...

- To nie jest zagadka. Wiesz, co odróżnia kwiat od chwastu? Tylko i wyłącznie decyzja ogrodnika.

- Ja nie jestem ogrodnikiem - odparł Jacen, z trudem opanowując irytację. Pochylił się ku niej, aż twarz mu poczerwieniała. - A to nie są chwasty!

Wzruszyła ramionami.

- Nasze problemy znów mogą dotyczyć obszaru językowego. Dla mnie ogrodnik to osoba, która wybiera, co chce hodować, a co wykorzystać; ktoś, kto decyduje, czyje życie ma dobiec końca, aby mogło rozkwitnąć to, co postanowił kochać. - Schyliła głowę, jakby poczuła zakłopotanie. Z westchnieniem wysunęła dłoń w kierunku bezgłowych skorupki żuków. - Czy nie to właśnie uczyniłeś?

Nie spuszczał z niej oka, kurczowo trzymając się swojego gniewu.

- To owady, Vergere.

- Tak, jak cienioćma.

- Ja mówię o ludziach...

- Czy żuki są mniej żywe niż niewolnik? Czy życie nie jest życiem, niezależnie od formy, jaką przybiera?

Jacen spuścił głowę.

- Możesz sprawić, że przyznam się do popełnienia błędu. Ale to nie był błąd. On jest istotą rozumną, a tamto... to owady.

Parsknęła śmiechem dźwięcznym jak dzwoneczki szczęścia.

- Nie powiedziałam, że popełniłeś błąd, Jacenie Solo. Czy jestem moralistką? Stwierdzam tylko, że dokonałeś wyboru, jak ogrodnik.

Jacen zawsze był uparty, więc i tym razem nie miał zamiaru ustąpić.

- Ty jesteś ogrodnikiem - burknął nadąsany, wbijając wzrok w swoje ręce. - Ja jestem tylko jednym z chwastów.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Długie, giętkie palce były ciepłe i łagodne, a dotyk tak wyraźnie przyjazny, nawet czuły, że przez jedną krótką chwilę Jacen miał wrażenie, iż empatia poprzez Moc wcale go nie opuściła. Wiedział, bez najmniejszych wątpliwości, że Vergere dobrze mu życzy. Że troszczy się o niego, a jego gniew, wrogość i cierpienie sprawiają jej przykrość.

Ale to nie znaczy, że mam ją po swojej stronie, upomniał sam siebie.

- Jak to się stało - spytała powoli - że stałeś się robotem medycznym dla swojej brygady niewolników? Jakim sposobem akurat to zadanie przypadło właśnie tobie? Przecież jest tyle innych funkcji.

- Nie było nikogo innego.

- Nikogo, kto umiałby nastawić kość? Nikogo, kto umiałby oczyścić ranę? Kto potrafiłby ukręcić głowę szczękozukowi?

Jacen wzruszył ramionami.

- Nikt inny nie potrafił nakazać dhuryamowi, żeby poszedł i katapultował się ze służby powietrznej.

- Ach... - przejrzysta druga powieka powoli przykryła jej oko. Dhuryamowi się to nie spodobało?

- Powiedzmy, że musiałem go przekonywać.
- Przekonywać?
- Właśnie.

Milczała przez dłuższą chwilę. Może czekała, aż rozwinie swoją wypowiedź, może próbowała się domyślić, co zrobił. A może w ogóle myślała o czymś innym.

- Jakim sposobem zdołałeś go przekonać?

Jacen patrzył niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, wspominając zaciętą prywatną wojnę z ziarnem niewolnika i dhuryamem, który je kontrolował. Zastanawiał się, ile Vergere może wiedzieć na ten temat, był pewien, że w jakiś sposób jest pod jej stałą obserwacją.

Dhuryam był istotą inteligentną; niedużo czasu zajęło mu odkrycie, że na Jacenie ból nie robi większego wrażenia. Lecz był też istotą z natury upartą i został zaprojektowany specjalnie do wydawania poleceń. Nie przywykł do nieposłuszeństwa i nie zamierzał go tolerować.

Po wielu dniach zwyczajnego, prostego bólu, dhuryam zaczął wykorzystywać rozrost ziarna niewolnika; przez cały tydzień zabawiał się wysyłaniem pojedynczych impulsów powodujących skurcze kończyn Jacena. Za pośrednictwem ziarna zmuszał członki chłopca do konwulsyjnego drgania, nie pozwalając nawet na chwilę odpoczynku. Jacen chodził wtedy rzucając się i trzęsąc jak potwór z holofilmu sterowanego zniszczonym pilotem.

Punkt zwrotny nadszedł w momencie, kiedy dhuryam zorientował się, że zbyt wiele czasu i energii poświęca walce z Jacenem i zaniedbuje innych niewolników. Jego domena w Szkółce popadła w ruinę, stała się dżunglą wśród kwitnących domen jego braci-rywali. Zrozumiał, że poskromienie Jacena to kosztowne przedsięwzięcie, którego cenę mierzy się w niewykonanych zadaniach. A potem odkrył, że nawet nieposkromiony, chłopiec może być użyteczny.

Jacen korzystał z każdej chwili przerwy w bólu, aby opiekować się towarzyszami. Nie miał prawdziwego wykszolenia medycznego, ale kolekcja egzotycznych form życia nauczyła go podstaw egzobiologii, a przygody z innymi młodymi Jedi pozwoliły mu zaznajomić się z chirurgią polową.

Dhuryam wreszcie chyba zrozumiał, że zdrowi niewolnicy pracują lepiej i wkrótce jego domena znów rozkwitła. Jacen odkrył, że dhuryam pozwala mu na wiele - tak długo, dopóki służy to jego, to znaczy dhuryama, interesom.

Chyba nauczyłem dhuryama, że partnerzy są czasem bardziej użyteczni niż niewolnicy,

myślał Jacen.

Ale wołał to przemilczeć.

Nie był winien Vergere żadnych wyjaśnień.

- Już ci mówiłem - wymamrotał twardo. - Możesz mnie zabić, ale nie zmusisz mnie do posłuszeństwa.

Wewnętrzne powieki uniosły się znowu.

- Widzisz, Jacenie, właśnie dlatego jesteś kwiatem pośród chwastów.

Zajrzał w bezdenną czerń jej oczu, potem zwrócił wzrok na grupkę niewolników, odpoczywających pośród zvangizowanej roślinności Szkółki, wreszcie na własne dłonie, zaciśnięte w pięści, aż zbieleły kostki. Rozpostarł palce, znów podniósł wzrok na Vergere i wreszcie uznał, że nie ma powodu, aby się dłużej powstrzymywać.

- Jesteś Sithem, prawda?

Znieruchomiała nagle i absolutnie.

- Czyżby?

- Wiem co nieco o Ciemnej Stronie, Vergere. Cała ta gadka o kwiatkach i chwastach... wiem, o czym tak naprawdę mówisz. Wierzysz, że znajdujesz się ponad zwyczajnymi ludźmi.

- Wszystko, co ci mówię, to...

- Daj sobie spokój. Tracisz czas. Kiedyś wraz z Jainą zostaliśmy uwięzieni w Akademii Mroku. Próbowali nas przekabacić. Nie udało się. - Przez krótką chwilę pomyślał o Jainie, o mroku, jaki wyczuł, kiedy kontaktował się z nią po raz ostatni poprzez bliźniaczą więź. Znowu zwinął dłonie w pięści i usunął wspomnienie z myśli. Powtórzył:

- Jemu się nie udało i tobie też się nie uda.

Pierwszy ruch, jaki wykonała: lekkie uniesienie kącików warg.

- Sith? Jedi? - mruknęła. - Czy to jedyne możliwości? Jasne lub ciemne, dobre albo złe? Czy Moc nie składa się także z innych rzeczy? Jaki jest ekran, na który mrok i jasność rzucają swoje kształty i cienie? Gdzie jest podstawa, na której wspiera się dobro i zło?

- Przestań, proszę. Już zbyt wiele czasu spędziłem na roztrząsaniu tych pytań. Lata całe. I nigdy do niczego nie doszedłem.

W jej oczach zapłonął wesoły blask.

- Doszedłeś tutaj, prawda? - gestem objęła Szkółkę. - Czy to też jest "nic"?

Jacen pokręcił głową, zmęczony tą zabawą. Wstał ciężko.

- Wszystkie odpowiedzi nie są nawet cieniem prawdy.

- Doskonale! - Vergere zaklaskała w dłonie i skoczyła na równe nogi jak sprężyna. - Doskonale, Jacenie Solo. Pytania są prawdziwsze od odpowiedzi: tak się zaczyna mądrość.

- Twoja mądrość.

- A jest jeszcze jakaś inna? Czy prawda może być rasowa, jak nerfy? - Wydawało się, że jest w euforii; drżała, jakby z trudem tylko powstrzymywała się od zatańczenia. - Masz tu jeszcze jedno pytanie... bardzo proste, pytanie od przyjaciela. Odpowiedź na nie jest nie tylko prawdziwa, ale bardzo użyteczna.

Jacen wyprostował się powoli.

- Nie mam na to czasu. Za kilka minut włączą słońce.

Vergere krzyknęła w ślad za nim:

- Jeśli Moc to życie, jak może istnieć życie bez Mocy?

- Co? - Jacen stanął jak wryty i obejrzał się przez ramię. - Co takiego?

- Jesteś urodzonym ogrodnikiem - odparła. - Pamiętaj, że wybieranie kwiatów zamiast chwastów to nie tylko twoje prawo, lecz również obowiązek. Które to kwiaty? Które chwasty? Wybór należy do ciebie.

- Co?

Słońce Szkółki zapłonęło nagle nad ich głowami z trzaskiem błyskawicy i grzotem fali uderzeniowej. Jacen drgnął, zamykając oczy przed nagłym rozbłyskiem. Zanim odzyskał zdolność widzenia, Vergere była daleko, na środku bajora krabów vonduun, przeskakując z kępy na kępę jak ptak.

Długą chwilę spoglądał w ślad za nią.

Jeśli Moc to życie, jak może istnieć życie bez Mocy?

Cały czas przemywał i spinał rany, nastawiał złamania, usuwał zgniłe tkanki. Słońce się zapalało, potem gasło. Niektórzy niewolnicy zdrowieli. Inni umierali. Wszyscy nie ustawiali w pracy.

Domena dhuryama rozkwitała. Drzewa spletały się w fantastyczne konstrukcje, udrapowane perłowymi epifitami. Mięiste trawy na wyższych terenach falowały łagodnie w rytm oddechu miechów, pompowanego przez żyły wentylacyjne. W oczach Jacena teren ten był znacznie bardziej skomplikowany i piękniejszy niż działki jego sąsiadów. Kiedy mgły rozpraszają się na tyle, aby widzieć całą nieckę nad głową, wydawało mu się, że domena, w

której mieszka, jest w istocie najlepiej rozwinięta w całej Szkółce. Z pewnym smutkiem musiał jednak przyznać, że w swojej ocenie nie jest całkiem obiektywny - niewykluczone, że po prostu kibicuje własnej drużynie.

Jeśli Moc to życie, jak może istnieć życie bez Mocy? - zapytała Vergere.

Tęsknił za Mocą każdego dnia. O każdej godzinie. O każdej minucie. Był stale, boleśnie świadom zięjącej pustki w swoim życiu. Przypominało mu o tym każde założenie opaski uciskowej, każdy jęk i krzyk bólu, który mógłby uśmierzyć Mocą.

Pamiętał o tym w dniu, kiedy musiał amputować stopę Traska amphistaffem, którego zdołał ostrożnie, cierpliwie wywabić z zagajnika, podrzucając jego polipowi kawałki martwego niewolnika tak długo, aż ten zrzucił amphistaffy, które natychmiast rozpełzły się w poszukiwaniu dogodnego terenu do ukorzenienia się...

Pamiętał o tym, kiedy Bothanin zmarł w gorączce w kilka dni później.

Jeśli Moc to życie, jak może istnieć życie bez Mocy?

Pytanie go prześladowało. Pulsowało gdzieś na dnie jego umysłu, niczym podchodzący ropą ząb. Czy Vergere mówiła o jego życiu? Jak może żyć bez Mocy?

Odpowiedź oczywiście brzmiała: nie może. A więc nie żyje bez Mocy. Moc cały czas jest z nim.

Tyle tylko, że on jej nie czuje.

Anakin zwykł mówić, że Moc to narzędzie, jak młot. Gdyby Moc była młotem, myślał Jacen, to on byłby cieśłą o obciętych ramionach. Już nawet nie widział młota. Już nawet nie pamiętał, jak wygląda młot...

Ale...

Gdybym pochodził z gatunku istot, które w ogóle nie posiadają ramion, pomyślał, nie rozpoznałbym młota... i nie wiedziałbym, jak go użyć, nawet gdybym przypadkiem odgadł, do czego służy. Młot nie miałby nic wspólnego ze mną, a ja z nim...

Podobnie jak Moc nie ma nic wspólnego z Yuuzhanami.

Była to połowa odpowiedzi... ale ta druga połowa wyslizgiwała mu się nieustannie, wgrzając się w mózg.

Ponieważ Moc nie jest jedynie narzędziem.

Gdyby Yuuzhanie istnieli poza Mocą, Moc nie mogłaby być tym, czym była - zgodnie z naukami, jakie odebrał. Tym, czym była w istocie i o czym wiedział. Ponieważ wiedział na

pewno, na sto procent, ponad wszelką wątpliwość, że Moc w istocie znacznie wykraczała poza wszystko, czego go uczono.

Była wszystkim.

Gdyby Moc dotyczyła jedynie życia, jak mogłaby zostać wykorzystana do podnoszenia kamieni, miecza świetlnego lub myśliwca X-wing? Poruszać coś Mocą oznaczało wyczuwać ten przedmiot. Kawalek kamienia był w Mocy bardziej obecny niż Yuuzhanie.

I tu się kryła tajemnica, która go niepokoiła. Na szczęście miał mnóstwo czasu, żeby sobie to przemyśleć.

Dni zlewały się ze sobą w jeden nieprzerwany strumień, za to dhuryam wydawał się coraz lepiej rozumieć, co robi Jacen. Przesyłał mu nieraz za pośrednictwem ziarna niewolnika lekkie, niemal czułe ukłucia - bardziej jak uszczyplenie towarzysza zabaw niż bicz nadzorcy i Jacen wkrótce odkrył, że jeśli szedł tam, gdzie go kierowały te ukłucia, mógł odkryć, na przykład, jakiś gatunek mchu o właściwościach immunostymulujących albo wydzielinę kraba vonduun działającą jak naturalny środek odkażający.

Wydawało się wręcz, że dhuryam próbuje mu pomóc...

W ciągu tego okresu samo odbieranie dhuryama przez Jacena uległo znacznej zmianie. Przez wiele tygodni myślał o nim z goryczą, jak o ohydny, pozaziemskim stworze, który sięgnął do wnętrza jego ciała za pomocą ziarna, szarpiąc mu nerwy ohydny, znienawidzonym dotykiem, od którego nie ma ucieczki. Teraz odkrył, że kiedy przestaje się pilnować, w ogóle nie czuje odrazy...

Zdaje się, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, pomyślał.

Tu jednak doszło do czegoś więcej: zaczął traktować dhuryama jako inną formę życia, nieznany gatunek, niebezpieczny, ale niekoniecznie wrogi, obdarzony inteligencją, wolą, intencjami; kogoś, kto potrafił dostrzec, że Jacen czyni więcej dobrego niż złego, i najwyraźniej wyraził zgodę na takie partnerstwo.

Gdyby gatunek, który od zawsze był ślepy, napotkał gatunek, który od zawsze był głuchy, jak mogłyby się porozumieć? Dla Jacena odpowiedź była oczywista: musiałyby wypracować platformę porozumienia opartą na zmyśle wspólnym dla obydwu...

Ból z ziarna niewolnika był w istocie formą komunikacji, prymitywnym językiem, który Jacen z wolna zaczynał pojmować, choć jeszcze nie nauczył się odpowiadać.

Jeśli Moc to życie, jak może istnieć życie bez Mocy?

Odpowiedź nie pojawiła się z oślepiającą jasnością objawienia, lecz raczej jako powolne narodziny świadomości, systematyczne rozszerzanie horyzontu pojmowania, aż wreszcie, pewnego południa o barwie zimnej stali, kiedy stanął na wzgórzu i spojrzał w dół, na wyspę z ułem dhuryamów, dowiedział się i zrozumiał; i nawet nie był zaskoczony swoją nową wiedzą i zrozumieniem.

Odpowiedź, którą nosił teraz w umyśle i w sercu, była bardzo prosta i taka sama dla Yuuzhan, jak i dla niego.

Bez Mocy nie istnieje życie.

Oko ludzkie nie dostrzega energii elektromagnetycznej poza wąskim pasmem częstotliwości określanych mianem światła widzialnego - ale pozostałe częstotliwości nie przestają istnieć tylko dlatego, że ich nie widzimy. Yuuzhanie i ich twory muszą znajdować się w tej części Mocy, która znajduje się poza zakresem zmysłów Jedi.

I to wszystko.

Jacen stał na szczycie wzgórza, spoglądając na wyspę dhuryamów i otaczający ją pierścień wojowników-strażników. Nie tylko Yuuzhanie znajdują się w części Mocy poza zasięgiem zmysłów Jedi, pomyślał.

Ja również.

Zawsze miał szczególny dar zaprzyjaźniania się z obcymi gatunkami. Nazywał to empatią, ale było to z pewnością coś więcej niż tylko wspólnota uczuć...

Był to zaimprovizowany język, działający w tej części Mocy, której inni Jedi zdawali się nie wyczuwać.

Przebłysk empatii ze strony Vergere... myślał, że coś mu przekazała, że zrobiła to świadomie. A jeśli nie? Jeśli empatia pochodziła z tej części Mocy, której wciąż dotykał?

Stojąc tak na pagórku pod białoniebieskim atomowym słońcem w zenicie, Jacen rozpoczął cykl oddechowy, który miał sprawić, że jego umysł przejdzie w świat postrzegania Jedi. Sięgnął daleko w głąb siebie, szukając obecności ziarna niewolnika, które stanowiło więź dhuryama z nim - i jego z dhuryamem.

Wyczuł je w miejscu, gdzie oplatało się wokół jego nerwów: obce zwierzę, dzielące z nim ciało.

Hej, mały, zawołał do siebie, zostańmy kumplami.

Wideopajak stał na szeroko rozstawionych dziewięciu nogach, które wysokim łukiem wystrzelały z centralnego węzła i dopiero później kierowały się w dół, ku solidnie wpartym w ziemię, chwytnym i szponiastym stopom. Poniżej węzła centralnego znajdował się przezroczysty worek, na tyle duży, że mógłby pomieścić Wookiego, napełniony do granic wytrzymałości galaretą optyczną. W węźle tym znajdował się również mózg wideopajaka, który integrował sygnały telepatyczne od licznych ziaren niewolników kierujących istotami w Szkółce. Integracja przebiegała w taki sposób, żeby powstał obraz holograficzny, utworzony w galaretowatym ośrodku za pomocą przecinających się impulsów elektromagnetycznych, pochodzących ze skupiska gruczołów znajdujących się w miejscu, gdzie worek z galaretą był przytwierdzony do węzła mózgowego.

Nom Anor obserwował obraz z pewną satysfakcją, podobnie jak Vergere, która przycupnęła na podłodze komnaty poza zasięgiem wideopajaka. Choć Nom Anor nie miał skłonności do fanatyzmu doktrynalnego, jak na przykład Tsavong Lah, Egzekutor musiał przyznać, że istoty skonstruowane przez Yuuzhan Vongów w wielu przypadkach znacznie przewyższały swoje mechaniczne odpowiedniki w Nowej Republice. Choćby ten wideopajak. Nie był szczególnie inteligentny, ale rozumiał, że jego zadaniem jest przekazywanie aktualnego obrazu ze Szkółki, że ma koncentrować się na pewnym określonym obiekcie i podążać za nim wszędzie, gdziekolwiek się uda. Z tego zadania wywiązywał się bardzo sprawnie.

Obiektem zaś był Jacen Solo.

Nom Anor wspiał się na palce, aby pogłaskać pajaka w pewien szczególny sposób, co sprawiło, że wizerunek Jacena uległ zmniejszeniu, ustępując miejsca szerszej panoramie na otaczającą go Szkółkę. Teraz widać było niewolników, trudzących się w domenach otaczających wyspę-ul. Jacen wydawał się opatrywać nadgarstek jednego z niewolników, który się potknął i upadł, lecz Nomowi Anorowi wydawało się, że większa część uwagi chłopca skierowana jest na odległą wyspę.

- A więc twierdzisz, że drugi etap dobiegł końca - mruknął. Dhuryam zdołał go obłaskawić?

- A on dhuryama. - Vergere przechyliła się na bok, aby spojrzeć Nomowi Anorowi w oczy spoza palisady pajęczych nóg. - Wychodzi na to samo. Aby utworzyć empatyczną więź, tak jak on to uczynił, obaj musieli przewyciężyć to, co ich dzieli, i skoncentrować się na tym, co

mają ze sobą wspólnego. Tak. Drugi etap dobiegł końca.

- Widzę - Nom Anor odchylił się w tył i splótł długie, kościste palce na piersi - że Jacen Solo, przynajmniej na razie, ma niepokojąco dużą swobodę.

- Wolność jest zawsze niepokojąca - zgodziła się Vergere.

- Jeszcze bardziej niepokoi mnie fakt, że on już to sobie uświadomił. Nie wiem, czy Tsavong Lah nie okazał się zbyt pewny siebie, zezwalając na tę fazę planu.

- Nie chcesz przypadkiem powiedzieć - odparowała Vergere ze złośliwym uśmiechem - że to ty byłeś zbyt pewny siebie, kiedy mu ją proponowałeś?

Nom Anor machnął lekceważąco ręką.

- Dać mu pole do działania to jedno. Dać mu pole do działania na tym statku to całkiem co innego.

- Uważasz, że może zagrozić statkowi? Jak?

- Nie wiem. - Nom Anor zrobił krok do przodu i wsparł dłonie na biodrach, wbijając oczy w optyczną galaretkę. - Nie przeżyłbym tak długo w tej wojnie, gdybym nie doceniał Jedi... zwłaszcza rodziny Solo. Jestem zaniepokojony. Nawet najdrobniejsze zagrożenie dla tego statku jest zbyt wielkim ryzykiem.

Nie musiał wyjaśniać, dlaczego. Vergere wiedziała już, że materiał genetyczny zużyty na stworzenie nasienia-statku był niezastąpiony: składały się na niego próbki genów, przechowywane przez niezliczone tysiąclecia międzygalaktycznej tułaczki Yuuzhan Vongów na pokładach światostatków. Próbki pochodziły z rodzinnej planety, która umarła tak dawno, że nawet jej nazwa nie przetrwała.

- Rozjaśnij swoje myśli, Nomie Anorze. Czy do tej pory wszystkie etapy nie przechodziły bezbłędnie?

Skrzywił się.

- Nie ufam tak łatwym zwycięstwom.

- Lecz łatwe zwycięstwa to dowód łaski Prawdziwych Bogów odparła Vergere tym swoim irytująco radosnym tonem, który mógł być umyślnie podbarwiony drwiną. Nom Anor nigdy nie umiał stwierdzić tego na pewno. - Nieufność wobec zwycięstwa trąci bluźnierstwem... że o niewdzięczności nie wspomnę.

- Pamiętaj, do kogo mówisz - Egzekutor odprawił ją machnięciem ręki - Zostaw mnie już. Zachowaj czujność. Możesz nawet ją podwoić. Ostatnie dni przed zasiewem będą

szczególnie niebezpieczne. Nie ryzykuj.

- Jak sobie życzysz, Egzekutorze. - Vergere zaszczyciła go ukłonem poprawnym co do milimetra, otworzyła przeponę wyjściową i opuściła komnatę.

Nom Anor zaś zastosował się do własnej rady na swój ostrożny, metodyczny sposób. Natychmiast po wyjściu Vergere przekazał za pośrednictwem villipa rozkazy dla dowódcy oddziału specjalnego; oddział ten został sprowadzony na pokład i przeszkolony w jednym jedynym celu. Rozkazy były krótkie i jednoznaczne.

Przed końcem dnia wojownicy w maskerach ooglithach zaczęły infiltrować brygady niewolników w Szkółce. Będą się trzymać z dala od Jacena Solo, ukrywać swoją obecność i czekać.

Do dnia zasiewu powinna ich tam być co najmniej setka.

Tymczasem Nom Anor odnotował w pamięci, że powinien dopilnować, aby jego skoczek koralowy był dobrze odkarmiony, oporzędzony i przygotowany na nagłą ucieczkę.

Nie podejmie najmniejszego nawet ryzyka. Nie przeżyłby tak długo w tej wojnie, gdyby nie doceniał Jedi...

Kiedy Devaronianin zmarł, Jacen pomyślał: "Cóż, chyba się pomyliłem..."

Kłęczał na brzegu jeziora z ulem. Wokół niego kłębił się i wrzeszczał tłum okaleczonych, poranionych i chorych niewolników, wyciągając ku niemu ręce, macki i szpony, szarpiąc go za szatę. Szatoskóra przesiąkła krwią, kiedy Jacen próbował zatamować krwotok z kikuta ramienia Devaronianina. Devaroniańska krew była na bazie srebra, czarna jak smoła i cuchnęła spaloną siarką. Poprzez więź ziarna niewolnika w swojej piersi z dhuryamem Jacen czuł cień prymitywnego zadowolenia szatoskóry z niezwyklego aromatu płamy.

W miarę upływu tygodni Jacen i dhuryam nauczyli się lepiej porozumiewać za pośrednictwem ziarna. Być może stało się tak dlatego, że dhuryam, podobnie jak yammosk, miał - nawet w stosunku do ludzi - ograniczone, lecz wyraźne zdolności telepatyczne; a może pomogły różnorodne doświadczenia Jacena z więzią telepatyczną i empatyczną. Może wzięło się to stąd, że sieć struktur ziarna tak szczelnie zespoliła się z systemem nerwowym Jacena, że stała się praktycznie częścią jego mózgu - Jacen nie roztrząsał przyczyn i nie próbował niczego wyjaśniać.

Liczył się wynik.

Mógł teraz wymieniać z dhuryamem informacje w postaci obrazów i uczuć.

Wykorzystując ich kombinacje, zdołali wypracować wspólny i dość bogaty słownik, lecz ich komunikacja sięgała o wiele dalej. W miarę pogłębiania się łączących ich więzi Jacen stwierdzał, że może czerpać ze zmysłów dhuryama; potrafił uświadomić sobie istnienie wielu form życia w Szkółce równie wyraźnie, jak sam dhuryam.

Aby dotrzeć do umierającego Devaronianina, musiał przecisnąć się przez tłum krzyczących, rozhisteryzowanych, bojowo nastawionych niewolników. Wokół jeziora-ula zgromadziły się ich setki, a wszyscy mieli nadzieję, że Jacen zdoła uleczyć ich rany i choroby. Wielu z nich skierowały tu inne dhuryamy, chłostając płynnym ogniem z sieci ziaren. Wprawdzie pozostałe dhuryamy próbowały wykreować własnych medyków, ale nie potrafiły znaleźć ani stworzyć uzdrowicieli o umiejętnościach równych Jacenowi. Jego empatyczna więź z ziarnem pozwalała mu wykorzystywać możliwości telepatyczne dhuryama, a tym samym określać zasięg ran, chorób i obrażeń wewnętrznych, jak również leczyć je ze skutecznością, która wprawiała w zdumienie doświadczonego oficera służb medycznych.

Początkowo dhuryam próbował powstrzymać Jacena przed udzielaniem pomocy niewolnikom jego braci-rywali; prawie przez cały dzień toczyli ze sobą walkę na nieznośny ból przeciwko niezłomnej woli. Przez cały czas dźwięczał Jacenowi w uszach głos Vergere.

Które to kwiaty? Które to chwasty? - pytała. - Wybór należy do ciebie.

Więc wybrał.

I żaden ból spowodowany rozkazem dhuryama nie zdoła go od tego wyboru odwieść.

Nie ma tu chwastów.

Każdy niewolnik jest kwiatem. Każde życie jest drogocenne. Zużyje każdy erg swojej energii życiowej, aby uratować wszystkich.

Nie ma tu chwastów.

Wybudował stację pierwszej pomocy na brzegu jeziora otaczającego wyspę-uhl dhuryamów. Domeny wyznaczono od środka jeziora, dlatego też właśnie w tym miejscu niewolnicy różnych domen mogli docierać do niego najszybciej, pokonując najmniejszą odległość po obcym terytorium. Jego własny dhuryam okazał mu pomoc do tego stopnia, że wydzielił kilku niewolników ze swojej brygady do zbierania leczniczych mchów i ziół, dostarczania zapasów szczękozuków i młodych szatoskór, które mogłyby służyć jako bandaże.

Devaronianin był jednym z tych tymczasowych asystentów. Jacen wysłał go na pobliski pagórek po pęk rosnących tam kłosów traw, których ziarna stanowiły doskonały koagulant, a

przy tym działały jak słaby antybiotyk. Devaronianin skinął szczątkowymi różkami, uśmiechnął się garniturem ostrych jak szpilki zębów i ochoczo ruszył przed siebie, nie czekając na zachętę ze strony dhuryama.

Zanim zdążył wrócić, kolejka rannych urosła w tłum. Dochodziło do przepychanek, kiedy jedne dhuryamy podpuszczały swoich niewolników przeciwko pozostałym. Zanim Jacen zdołał interweniować, niektóre z tych przepychanek przeistoczyły się w regularne bitwy. Devaronianin znalazł się w jednym z ognisk zapalnych, a syczeniem i demonstracją ostrych kłów osiągnął jedynie tyle, że został wypchnięty na skraj tłumy. Nie mógł walczyć, nie porzucając kępy trawy, po którą posłał go Jacen, a dwa niewielkie różki wyrastające mu z czoła nie sprawiały szczególnie groźnego wrażenia. Usiłował okrążyć tłum, prześlizgując się wzdłuż brzegu jeziora z wyspą-ulem, gdzie krąg wojowników strzegł dostępu do części terenu.

I to go zgubiło.

Jacen nie wiedział, czy Devaronianin się potknął, czy pośliznął na mazistych wodorostach, które leżały na brzegu jeziora, a może ktoś z tłumy go potracił lub nawet umyślnie popchnął. Wiedział tylko, że jego pomocnik znalazł się zbyt blisko pierścienia strażników.

Usłyszał ostre, rozkazujące warknięcie wojownika na skraju jeziora i podniósł wzrok akurat w momencie, kiedy śmignięcie ostrza amphistaffu wywołało strumień czarnej krwi. Rzucił się w tamtą stronę, przepychając i roztrzacając tłum, aby wreszcie dotrzeć do Devaronianina, który leżał na plecach wśród rozrzuconego snopa niesionych kłosów, jedną ręką ściskając kikut drugiej.

Jacen zrobił, co mógł, a mógł niewiele. Zanim zdołał podwiązać ranę, Devaronianin pogrążył się w głębokim szoku, po którym w ciągu minuty lub dwóch przyszła śmierć.

Jacen miał czas przyjrzeć się jego twarzy: blada, bezbarwna skóra, ostre jak igły zęby pod grubymi skórzastymi wargami, małe różki na czole, skręcające się w pętelki, które Jacen mógł policzyć czubkami palców. Miał okazję zajrzeć w żywe, czerwone oczy Devaronianina, wyczytać z nich zdumienie i smutek w obliczu bezsensownej, pustej, arbitralnej śmierci, w której się pogrążył.

Właśnie wtedy Jacen pomyślał: “Dobrze, z tego wynika, że chyba się mylę...”

Okazało się, że jednak są tu chwasty.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie chwastu.

Wojownik, który zabił Devaronianina, beznamiętnie zmierzył się z nim wzrokiem,

trzymając w gotowości amphistaff zboczony czarną krwią.

Które to kwiaty? Które to chwasty? Odróżnienie kwiatów od chwastów to nie tylko twoje prawo, to twój obowiązek.

Słowa Vergere dźwięczały prawdą. Ale Jacen wątpił, aby prawda, którą w nich dostrzegł, była tą samą prawdą, którą ona chciała mu przekazać. Odkrył, że właściwie go nie obchodzi, co Vergere miała na myśli. Wybrał już.

Z kamienną twarzą wstał, odwrócił się tyłem do wojownika i wszedł w tłum.

Zdecydował już, kto jest chwastem.

Ogrodnictwa ci się zachciało? - pomyślał z lodowatą jasnością. Czekać no. Już ja ci pokażę ogrodnictwo!

Poczekaj tylko.

R O Z D Z I A Ł 4 WOLA BOGÓW

Zniszczony, nagi świat otaczał białobłękitną iskrę atomowego ognia. Świat ten widział wzloty i upadki narodu za narodem, od prostych prowincji po konfederacje planetarne i międzygwiazdne imperia, a później republiki galaktyczne. Był sceną miliona bitew, od zwykłych potyczek po zniszczenie całych cywilizacji. Sam był systematycznie niszczonej przez wojny i odbudowy, aż oryginalne środowisko pozostało nietknięte jedynie pod sterylnymi polarnymi czapami lodowymi; stał się najbardziej sztucznym ze światów kultury galaktycznej, rozkochanej w sztuczności. Cała planeta stała się maszyną.

A to właśnie miało się zmienić.

Jej nowi panowie zaczęli od kradzieży księżyców.

Trzy mniejsze księżyce, wytracone z orbity przez napędy dovin basali, zostały odprowadzone na odpowiednią odległość, podczas kiedy czwarty, największy, został obrócony w pył impulsami naprężeń wywołanymi przez inne dovin basale, powiązane za pomocą yammoska. Użycie tej samej techniki w subtelniejszej wersji zorganizowało powstałą masę pyłu, żwiru i szczątków twardniejącej magmy w szybko rozprzestrzeniający się pierścień - czy dysk - gruzu, obracający się wokół planety pod kątem siedemnastu stopni do płaszczyzny ekliptyki.

Zdarzenie to, dramatyczne samo w sobie, stało się jedynie prologiem.

Dovin basale wyhodowano również na powierzchni planety.

Efekt grawitacji można dość dokładnie opisać sposobem topograficznym: jako zmianę zakrzywienia czasoprzestrzeni. Dovin basale na powierzchni planety zmieniły krzywą lokalnej czasoprzestrzeni w taki sposób, że kierunek orbity planety zmienił się na - obrazowo mówiąc - "pod górkę".

Planeta zwolniła. Zwalniając, kierowała się coraz bardziej ku wnętrzu i zbliżała się do słońca.

Zrobiło się cieplej.

W czasie długiego, powolnego spadku w kierunku słońca planeta została zbombardowana przez małe meteory, starannie dobrane, o tak precyzyjnie wyliczonym kącie wejścia w atmosferę, który pozwoliłby na osiągnięcie średniej temperatury wystarczającej, aby materiał nośny zmienił się w parę, nie rozpadając się na składowe molekuly tlenu i wodoru. Materiał pierwotny tych małych meteorów był minerałem jedynie w czarnej, lodowatej przestrzeni kosmicznej; zanim dotarły do ogrzewającej się powierzchni, traciły strukturę krystaliczną i zmieniały się w zwykłą wodę.

Po raz pierwszy od tysięcy lat na powierzchnię planety spadł naturalny deszcz.

Zaledwie planeta znalazła się na właściwej, skorygowanej orbicie, dovin basale uspokoiły się, a czasoprzestrzeń wróciła do normalnej topografii. Trzy pozostałe księżyce zostały umieszczone na innych, znacznie bardziej złożonych orbitach; teraz wywołane przez nie efekty pływów ostatecznie splotą otaczający planetę dysk złożony z gruzu w stały element nieboskłonu o strukturze tęczowej koronki.

Zanim nasienie-statek wróciło do normalnej przestrzeni i skierowało się do punktu spotkania z orbitą, planeta była już wierną kopią w ogólnym zarysie długości orbity, obrotów, księżyców oraz pierścieni - dawno umarłego rodzinnego świata Yuuzhan Vongów. Pozostawało jedynie zmienić jej powierzchnię i wnieść życie w zrujnowane szczątki tego, co niegdyś było jednym planetarnym miastem, aby wreszcie planeta mogła przyjąć nazwę, jaką będzie odtąd nosiła: Yuuzhan'tar, Kolebka Boga.

Coruscant był gotów do zasiewu.

W Szkółce nadszedł tizo'pil Yun'tchilat - Dzień Zgłębienia Woli Bogów.

W ciągu tych ostatnich kilku godzin przed zasiewem po domenach dhuryamów rozbiegła się gromada mistrzów przemian, mierząc, obliczając, indeksując i szacując. Każda grupa

mistrzów otoczona była oddziałem potężnych, zwinnych wojowników w ciężkich zbrojach, z orężem w gotowości, o błyszczących, niezmordowane czujnych oczach. Poruszali się z posępną, groźną, przyczajoną zwinnością reeków w porze godowej.

Cztery oddziały strzegły shreeyam'tiza - małego, wyspecjalizowanego podgatunku yamoska. Te stworzenia, nie większe od śmigacza, istniały jedynie po to, aby emitować potężne sygnały interferencyjne w paśmie telepatycznym, wykorzystywanym zarówno przez yamoski, jak i dhuryamy. Oddziały te przyniosły beczkowate cielsko shreeyam'tiza do Szkółki w ogromnym pojemniku wypełnionym odżywczą cieczą. Był to pierwszy akt tizo'pil Yun'tchilat, ponieważ każdy dhuryam wiedział, że tego dnia zostanie podjęta decyzja o jego życiu lub śmierci. Shreeyam'tiz miał dopilnować, żeby żaden z dhuryamów nie mógł użyć swoich niewolników w desperackim akcie sabotażu czy samoobrony.

Ziarna niewolników zaprojektowano tak, aby były bezpieczne w razie awarii: w momencie przerwania kontaktu telepatycznego z dhuryamem każde ziarno automatycznie unieruchamia swojego niewolnika, ciągnąc go bezlitośnie w kierunku własnego rodzica - drzewiastego basala koralowego, z którego zostało zebrane ziarno. Niewolnicy, wyjąc z nagłego i niewytlumaczalnego bólu, pełzli na oślep w kierunku koralowego basala każdej z domen. Jedynie kontakt fizyczny z drzewem basala mógł złagodzić cierpienie niewolnika; a więc nawet chorzy i ranni wlekli się wyjąc przez skały i bagna w tamtym kierunku. Dzięki takiemu zabiegowi niewolnicy wkrótce zostali zorganizowani w zgrabne, małe grupki, pozostając w bezpiecznej odległości do momentu, aż będzie się ich można spokojnie pozbyć.

Dla niewolników nie mało znaczenia, który dhuryam zwycięży.

Żaden z nich nie będzie żyć dość długo, żeby się tego dowiedzieć.

Nom Anor spojrzał na obraz w worku optycznej galarety pod brzuchem wideopająka.

- Dlaczego on nic nie robi?

Vergere płynnie wzruszyła ramionami, przechylając się na bok, aby widzieć lepiej poprzez pajęcze nogi.

- Coś tam robi. Choć nie to, czego się spodziewałeś.

- On wie, prawda? Wie, że wszyscy niewolnicy mają zginąć?

- Wie.

Obraz w galarecie był tylko cieniem w blado oświetlonej mgłę. Przy okazji odcięcia komunikacji dhuryamów Shreeyam'tiz skutecznie blokował połączenia obrazów wideopająka.

Aby utrzymać obraz Jacena Solo, musiał generować ciemny kształt, odbierany za pomocą czułych na podczerwień punktów ocznych na nieruchomych polipach w zagajniku amphistaffów.

- Stoi tam tylko - burknął Nom Anor. Przesząpił z nogi na nogę i skrzywił się pod adresem obrazu. - Jak może tak po prostu stać? Ten ból...!

- Ból, tak. Cierpienie? Być może. Dużo się nauczył.

- Czy on się ukrywa? O to chodzi?

Vergere znów wzruszyła ramionami.

- Jeśli tak, to wybrał odpowiednie miejsce.

- A polipy nie atakują - mruknął Nom Anor, z nieobecną miną żując kciuk. - Przez całe tygodnie cięły i mordowały każdego, kto im się nawinął pod wici, niewolników, wojowników, mistrzów przemian i kogo tylko... A ten Solo jest jak jeden z tych ptaków... jak ty je nazywasz? wyzwalaczy?... które bezpiecznie żeglują w zasięgu macek bespińskiego beldona.

- Może w jakiś sposób... dogadał się z polipami?

- Nie podoba mi się ta perspektywa.

- Nie? A powinna, Egzekutorze. Po to go przecież szkoliłam, prawda?

Nom Anor odsunął kciuk od ust i zmrużył oczy.

- Po to?

- Oczywiście. Tu i teraz, w punkcie kryzysu, w Dniu Decyzji, Jacen Solo nie stoi wraz z innymi przedstawicielami swojego gatunku. Pomimo ogromnego bólu, jaki cierpi jego system nerwowy, postanowił pozostać pośród form życia obcej galaktyki. Naszej galaktyki, Egzekutorze. Ma więcej wspólnego ze swoimi panami niż z niewolnikami... i zaczyna to rozumieć.

- Jesteś pewna?

- Może zaszedł już tak daleko Drogą Prawdy, że los niewolników przestał go obchodzić.

- O, nie, w to nie uwierzę - burknął Nim Anor. - Nie uwierzę nawet przez nanoblip. Nie znasz tych Jedi tak dobrze jak ja.

- Może i nie. - Czubek Vergere zalsnił lekko nutką wesołej zieleni. - A kto ich tam wie?

Nom Anor gwałtownie sięgnął do otworu wielkości ludzkiej głowy, znajdującego się w ścianie w okolicach jego kolana, i chwycił villipa.

- W zagajniku amphistaffów jest niewolnik - powiedział do niego. - Zabierzcie go stamtąd. Macie go związać i dostarczyć na mój koralowy statek.

Villip zaszeptał w odpowiedzi, przyjmując kształt jednego z wojowników Noma Anora w maskerach oogolithach.

- Słucham i wykonuję, Egzekutorze.

- Jeśli cenisz sobie kości ojca, nie zawieź mnie tym razem. Ten niewolnik to szpieg Jedi. Nie można dopuścić, aby storpedował tizo'pil Yun'tchilat.

- A jeśli będzie stawiał opór?

- Wolalbym, żeby żył... ale nie domagam się tego za wszelką cenę. Nie ryzykuj uszkodzenia nasienia-statku. Ogranicz szkody do minimum.

- Słucham i wykonuję, Egzekutorze.

Nom Anor polecił villipowi wrócić do zwykłego kształtu.

- Proszę bardzo - zwrócił się do Vergere. - Jak powiadasz, nasz projekt "Solo" zakończył się sukcesem. Szkołka spełniła swój cel. Tak czy owak, musimy go stamtąd zabrać, zanim zaczną się egzekucje. Lepiej zająć się tym od razu, na wypadek, gdyby znowu dostał napadu heroizmu. Ceremonia musi trwać do końca, bez ryzyka zerwania. Powinnaś zaplanować następną fazę jego szkolenia; pewnie zechcesz zacząć, jak tylko znajdzie się na pokładzie.

- Mój lud, Nomie Anorze, ma takie przysłowie - w zadumie odparła Vergere. - Mówi ono o liczeniu błyszczomuch, kiedy masz dopiero larwy.

- Co? - skrzywił się Nom Anor. - A co to miałyby znaczyć?

- Sądzę - skinęła głową w kierunku worka wideopajaka - sądzą, że zaraz się o tym przekonasz.

Jacen stoi w zagajniku amphistaffów i patrzy.

Ziarno niewolnika śle w każde zakończenie jego nerwów ogniste igły bólu, rozżarzone polecenie, żeby ruszył, biegł, pełzał i gnał do koralowego drzewa basala, które znajduje się tylko o trzydzieści metrów od niego. Cały płonie w tym ogniu, lecz płomień go nie trawi.

Ten płomień to alembik, w którym wykrystalizowało się wszystko, czym jest, czym był i czym kiedykolwiek będzie. Jak przedtem biel, tak teraz ogień splukał z niego przeszłość i przyszłość.

Całe istnienie Jacena skupiło się na tym pojedynczym "teraz", a rozgorzały w jego wnętrzu płomień dodaje mu sił.

W półcieniu, w białobłękitnym żarze nieustającego południa Szkołki, od najbliższego drzewa koralowego odłącza się nagle czterech niewolników. Robią to swobodnie, skutecznie, bez

pośpiechu, nie marnując czasu na zbędne gesty - i zwracają się w stronę zagajnika amphistaffów, w kierunku głębokiej plamy cienia, w której stoi Jacen.

Nie wydaje się, żeby odczuwali ból.

Jacen wie już, dlaczego. To nie są prawdziwi niewolnicy.

Przelotnie zastanawia się, czy właśnie tak czuł się Anakin. Spokojny. Gotowy. Analizujący cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić, i wciąż jeszcze pewien, że tanio się wywinął.

W białobłękitne południe czterej niewolnicy, przyciskają sobie nozdrza i maskery, które ich okrywały, opadają, wycofując wici z porów i pozostawiając tylko kropelki krwi jak potu. Maskery marszczą się i spływają do stóp obnażonych wojowników, po czym odpełzają w trawę.

Wojownicy ruszają w kierunku zagajnika amphistaffów.

Jacen zamyka oczy i przez jedną krótką chwilę znów jest z rodziną: dłoń ojca rozburza mu włosy, ciepłe ramię matki otacza jego plecy, Jaina i Lowie jęczą, a Em Tedee rzuca jakiś sarkastyczny komentarz, kiedy Jacen raz jeszcze próbuje opowiedzieć dowcip Tenel Ka.

Ale nie ma Chewbaccy.

Nie ma Anakina.

Czterej wojownicy przekraczają skraj zagajnika. Młode amphistaffy ostrzegawczo chłószczą powietrze, ziemnopaszcze polipów otwierają się szeroko, w milczeniu czekając na porcję krwi lub ciała. Jeden z wojowników krzyczy w twardym, gardłowym wspólnym:

- Wychodź, Jeedai-niewolniku!

Jedyną odpowiedzią Jacena jest otwarcie oczu.

- Niewolniku Jeedai! Wychodź stamtąd! - Nie mają na sobie zbroi, a jedyne kraby vonduun w zasięgu ręki to dzikie okazy, żyjące swobodnie w bagnie za drzewem koralowym. Wychodzą tylko w nocy, aby skubnąć sobie polipa na skraju zagajnika. Wśród chłószczących ze świstem powietrze młodych amphistaffów nieuzbrojeni wojownicy mają zerowe szanse.

Jacen ustawia się swobodniej, organizując myśli i oddech w stan medytacji Jedi, sięgający głęboko w zakamarki jego wnętrza, poza rozdzierający ból ziarna niewolnika, we wspomnienia tego, czego się nauczył podczas umysłowego kontaktu z dhuryamem; wspomnienia tak żywe, że są jak sen na jawie.

Teraz już także uzbrojeni wojownicy strzegący shreeyam'tiza zauważają zamieszanie. Niektórzy zaczynają ostrożnie kierować się w stronę zagajnika, strażnicy zaś otaczający pierścieniem jezioro i wyspę z ulem niecierpliwie przestępują z nogi na nogę i poprawiają broń.

- Niewolniku Jeedai! Jeśli pójdziemy po ciebie, będzie jeszcze gorzej!

Jacen jest już głęboko pogrążony w medytacji. Czuje pulsowanie hormonów emocjonalnych w prymitywnych mózgach otaczających go polipów amphistaffów. Czuje ich głód krwi jak kęsy surowego mięsa.

Wojownik odwraca się i rzuca rozkaz w języku Yuuzhan. Kolejni dwaj fałszywi niewolnicy opuszczają swoje pozycje przy drzewach i zrzucają maskery ooglithy, które spływają im z nóg. Ujawnieni wojownicy chwytają prawdziwego niewolnika - jeden go trzyma, drugi zaś miażdży mu gardło uderzeniem kantu dłoni. Odstępują i pozwalają, aby ciało upadło na ziemię, obserwując beznamiętnie jego przedśmiertne konwulsje na piasku, zanim zadławi się na śmierć.

- Niewolniku Jeedai! Wychodź, albo zginie następny! A potem następny, następny i następny, aż wreszcie zostaniesz tylko ty. Ocal ich życie, Jeedai. Wyjdź!

Teraz medytacja Jacena na jawie zabawia się wspomnieniem innego snu, bardzo realnego - wizji poprzez Moc tak wyraźnej, że prawie czuje pączki skoczków koralowych, wyraźnie widzi porane bliznami twarze strażników i zniekształcone koralem ciała niewolników; sen, który śnił dwa lata temu na Belkadanie.

Sen, w którym uwalniał niewolników Yuuzhan Vongów.

Jakiż był zdumiony, jaki czuł się odarty ze wszystkiego, kiedy ten sen się nie spełnił. Kiedy jego próba dotrzymania obietnicy zakończyła się katastrofą, morzem krwi, śmierci i tortur - czuł się wtedy, jakby to sama Moc go zdradziła.

Teraz dostrzegł, że wcale nie został zdradzony. Był tylko zbyt niecierpliwy.

- Niewolniku Jeedai! Wychodź!

Jacen wzdycha i otrząsa się z medytacji.

- W porządku - mówi spokojnie, nieco smutno. - Skoro tak nalegacie...

Jego nieruchomy cień staje się ruchomym cieniem, bezszelestnie dryfującym przez zagajnik żądnych krwi polipów. Zatrzymuje się w półcieniu, za którym jest już tylko białobłękitne południe. Amphistaffy kreślą za jego plecami śmiercionośne aureole.

- Jestem.

- Dalej - rozkazuje wojownik. - Wyjdź poza zasięg zagajnika. Jacen otwiera puste dłonie.

- Zmuś mnie.

Wojownik odwraca nieco głowę w kierunku towarzyszy.

- Zabić drugiego.

- Ty nie jesteś wojownikiem - mówi Jacen.

Trzej kompani wojownika trajkoczą między sobą z podnieceniem. Głowa dowódcy zwraca się ku nim, jak ściągnięta promieniem prowadzącym.

- Co?

- Wojownik wygrywa bitwy, nie mordując słabszych - głos Jacena ocieka złą pogardą.

- Jak wszyscy Yuuzhanie, wojujesz z bezbronnymi. Jesteś tchórzem i pochodzisz z rasy tchórzy.

Wojownik rusza przed siebie. Jego oczy błyszczą wściekłą, śmiercionośną żółcią.

- Mnie nazywasz tchórzem? Ty? Ty, rozkapryszony bachorze Jeedai? Ty, drżący brezlicie, ukryty w cieniu nory? Ty, niewolniku?

- Ten niewolnik Jeedai - wyraźnie i spokojnie artykułuje Jacen pluje na kości twojego dziada.

Wojownik rzuca się ku niemu, szponiastymi palcami sięgając oczu Jacena, aby mu je wydrzeć z czaszki. Z westchnieniem znużenia Jacen pada na plecy, unikając ataku wojownika, chwytając go za wyciągnięte ramiona i opierając jedną stopę o jego brzuch, przetacza się, wyrzucając napastnika w górę. Wojownik żegluje w powietrzu, wywijając kończynami, wprost w tnąco-kłującą maszynię amphistaffów.

Jacen przez moment leży nieruchomo pod strugami krwi i strzępków ciała Yuuzhanina. Odwraca głowę, obserwując, jak młodziutkie amphistaffy zgarniają kawałki wojownika w zaślinione otwory ziemnopaszczy polipów.

Wstaje, obrzuca spojrzeniem pozostałą trójkę.

- I co teraz?

Wymieniają niepewne spojrzenia. Za plecami Jacena słychać siorbanie i gulgotanie polipów. Młode amphistaffy wirują, znów zgłodniałe.

Wojownicy stoją nieruchomo, wołając coś po swojemu.

W odpowiedzi na wezwanie dwa oddziały strzegące shreeyam'tiza ruszają ciężko w ich kierunku, wymachując własnymi amphistaffami, uzbrojeni w pasy pełne żuków udarowych i innych, mniej znajomych argumentów, za to ubrani w pełne zbroje z kraba vonduun. Skorupa kraba vonduun może powstrzymać miecz świetlny, a nawet atomowej grubości ostrze amphistaffu.

Jeden z trójki stojącej obok pokazuje Jacenowi zęby: długie i ostre jak igły, zakrzywione do środka jak u drapieznika.

- Nal'tikkin Jeedai hr'zlat sor trizmek sh'makk - syczy. - Tyrokk jan trizmek, Jeedai.

Jacen nie musi znać yuuzhańskiego, żeby zrozumieć: żaden zapaśniczy chwyt nie pomoże samotnemu, nieuzbrojonemu człowiekowi przeciwko dwóm oddziałom wojowników. Może sobie nawet być Jedi.

Wojownik poradził mu, żeby się przygotował na śmierć.

Jacen się uśmiecha. Smutny to uśmiech: melancholijny, zrezygowany.

Kiwa głową.

W części umysłu, wolnej i odległej od bólu i krwi, i ostrego, białoniebieskiego żaru, czuje za plecami mroczną satysfakcję polipów amphistaffów, błyskawicznie trawiących resztki poprzedniego przeciwnika. Czuje ich niecierpliwość, oczekiwanie, drżącą ekstazę, kiedy przetwarzają ciało wojownika, aby nabrać sił do rozmnażania.

Polipy amphistaffów rozmnażają się bezpłciowo; same amphistaffy są potomstwem polipów. Kiedy uwalniają się ze swoich guzków, odpęłzają natychmiast w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, żeby się ukorzenie i rozpocząć transformację w polipy. Poprzez swoją więź empatyczną Jacen wskazuje im zalecany grunt.

Amphistaffy ufają przyjacielowi i korzystają z jego rady.

Jacen wyciąga ramiona. Wojownicy mogą tylko stać z rozdziawionymi gębami, patrząc, jak jedne amphistaffy spadają niczym liście z polipów wprost na jego plecy, inne zaś splezają ze skórzastych, sękatych pni polipów i wślizgują się w trawę.

Amphistaffy owijają się wokół kostek Jacena i wspinają na jego ciało jak winorośl obrastająca zapomniane bóstwo w dżungli. Wędrują na pierś, biodra, nogi, zwijają się wzdłuż ramion, oplatają kark, a nawet wznoszą się na głowę. Zbliżające się oddziały ciężkozbrojnych wojowników zwalniają niepewnie, nie wiedząc teraz, jak zaatakować.

Okazuje się, że krab vonduun nie jest jedynym stworzeniem odpornym na cięcia ostrza apmhistaffu.

Jacen łączy dłonie przed sobą, składając wojownikom uprzejmy ukłon. A kiedy znów rozkłada ręce, pomiędzy nimi lśni dojrzały amphistaff, z ostrzem i klingą wypełnioną jadem. Podobnie jak każdy z siedemnastu amphistaffów, które tworzą jego zbroję.

- Chciałbym, abyście poznali kilku moich przyjaciół - mówi Jacen.

Nom Anor cisnął swoim glistobukłakiem o przeciwległą ścianę. Bukłak rozpląszczył się na niej i spłynął na podłogę, gdzie wydał świszczące westchnienie i wyzionął ducha. Nom Anor

natychmiast się opanował, ocierając wierzchem dłoni bezwargie usta.

- Więc to koniec - mruknął pośepnie. - Ponieśliśmy klęskę. Ty poniosłaś klęskę - sprostował, zastanawiając się, czy zdoła uciec swoim skoczkiem dość daleko, aby umknąć przed gniewem Tsavonga Laha, wywołanym tą katastrofą. Przemyślał nawet, czyby nie poddać się Nowej Republice, licząc na to, że istnieje jakiś sposób przekonania ocalałych Jedi, żeby go nie zabili, zanim zaczną przesłuchiwać. Wciąż zna wiele sekretów, cennych sekretów...

Vergere przerwała jego rozmyślania.

- Egzekutorze, pozwól mi iść do niego!

- Mowy nie ma. Nie mogę pozwolić, żebyś wyskoczyła w sam środek tizo'pil Yun'tchilat, ty szalone stworzenie! Nie pamiętasz, że nasz projekt "Solo" to tajemnica? Ciekawe, jak długo pozostanie tajemnicą, kiedy przebiegniesz przez Szkółkę, usiłując ratować jego bezużyteczną skórę?

- Nie tak bardzo bezużyteczną, Egzekutorze. Jak już mówiłam, jego edukacja przebiega naprawdę bardzo dobrze. Muszę jednak przyznać, że teraz mogłoby być lepiej.

- Mogłoby być lepiej? - Nom Anor wskazał palcem worek optyczny wideopająka, gdzie mglista sylwetka Jacena właśnie się uzbrajała. - Niczego się nie nauczył! Właśnie ma zamiar zmarnować swoje życie w jakiejś marnej potyczce! O byle niewolników! Jest tak słaby, jak wszyscy Jedi... nawet słabszy!

- Nie jest Jedi - odparła niewzruszona Vergere. - I nie chodzi mi teraz o jego życie.

- Oszalałaś? - Nom Anor tupał gniewnie, krążąc wokół wideopająka, który podskakiwał nerwowo, żeby wycofać delikatne stopy sprzed butów Egzekutora, skrojonych na ludzką modłę. - Przecież nie uda mu się zwyciężyć w takiej bitwie! Jak można sądzić, że pokona dwa oddziały! Nawet gdyby ukrył się z powrotem w zagajniku...

- Zwycięstwo - mruknęła Vergere, rozpościerając grzebień w poważnym odcieniu zimnej stali - to nie to samo, co walka. Patrz.

Cień znikł nagle, a obraz w worku przesunął się i zamigotał płynnym światłem, kiedy pająk szukał nowych źródeł informacji.

- Co się dzieje? - bezsensownie spytał Nom Anor. - Czy on ucieka? Czy zwiewa, jak ten rozwydrzony bachor Jedi, którym nigdy nie przestał być?

- Egzekutorze... - palce Vergere oplotły jego ramię na wysokości łokcia ze zdumiewającą siłą. - Jacen Solo nie posiada już Mocy, ale Moc nie była jego jedyną bronią. Jest

urodzonym wojownikiem, najstarszym synem i spadkobiercą długiej linii bohaterów. Szkolił się w sztukach walki od kolebki. Był przetestowany i sprawdzony, zahartowany w bitwach, i jeszcze...

- Jest tylko dzieciakiem. - Nom Anor spojrzał na nią uważnie. Postradałaś rozum? Znam tego chłopca. Ludzie nie mają szacunku dla kogoś, kto pochodzi z linii wojowników. On nic nie znaczy. Jest nikim.

Vergere przemówiła z delikatną, ledwie wyczuwalną nutą ironii.

- Powiem ci coś: ani ty, ani oni jeszcze tego nie wiedzą, ale to największy z Jedi. Jacen Solo jest wcieleniem snu o Jedi. Nawet bez Mocy jest bardziej niebezpieczny niż to sobie potrafisz wyobrazić. Musisz mi pozwolić pójść do niego. Trzeba go powstrzymać.

- Powstrzymać przed czym? Przed zbrukaniem sobie szataskóry, kiedy będzie uciekał?

- Powstrzymać przed zniszczeniem tizo'pil Yun'tchilat! A być może przed zniszczeniem nasienia-statku!

Nom Anor poczuł, że opada mu szczęka, ale z ust wyrwał się jedynie cichy syk. Spokojna pewność w oku Vergere uciszyła go równie skutecznie, jak cios w krtań.

- Zniszczyć statek? - zdołał wreszcie wykrztusić.

- Nie rozumiesz, Egzekutorze? On nie ucieka.

Wskazała na worek wideopająka, który zdołał odtworzyć obraz na tyle, by pokazać samotną sylwetkę, pędzącą jak wiatr na spotkanie zbliżających się burzowych chmur - oddziałów wojowników.

- On atakuje - szepnęła Vergere.

R O Z D Z I A Ł 5 ZASIEW

Jacen Solo biegnie w samo serce bitwy.

Biegąc, kształtuje w myśli obraz. Amphistaff, którego niesie, dopasowuje się do tego obrazu, owijając ponad połowę swojej długości wokół jego przedramienia. Wewnętrzny impuls z połączonego łańcucha gruczołów zasilających generuje pole energetyczne, które usztywnia jego półkryształiczną strukturę komórkową, blokując go w tej postaci: metr ciała amphistaffa stanowi przedłużenie prawej pięści chłopca, rozkładając się w ostrze o szerokości dwóch dłoni. To samo

pole, które usztywnia amphistaffa, rozciąga się o ułamek milimetra poza ostrze, dając mu grubość nie większą niż średnica atomu.

Dlatego też, kiedy jeden z nieuzbrojonych wojowników rzuca się, aby zagrozić Jacenowi drogę szeroko rozstawionymi ramionami, ostrze przechodzi niemal bez oporu przez ciało i kość. Jedno ramię Yuuzhanina leniwie wznosi się spiralą w powietrze, bryzgając kropelkami krwi, jedna noga pada na bok, drgając w trawie. Jacen nawet nie zwolnił biegu.

Pozostali dwaj wojownicy stwierdzają zgodnie, że należy go zostawić lepiej wyposażonym towarzyszom.

Żuki udarowe brzęczą w otaczającym go powietrzu, lecz plamki wzrokowe amphistaffów owiniętych wokół ciała Jacena są czułe na podcierwień i ruch, chłopak zaś może zintegrować ich empatyczną reakcję w otaczające go pole postrzegania, które niewiele różni się do samej Mocy - a przecież przez tyle lat uczył się, jak unikać pocisków i oręża, które zaledwie dostrzega. Zielona łąka zakwita szkarłatnymi eksplozjami, kiedy Jacen się uchyla, nurkuje i przetacza, skacze na nogi i biegnie dalej.

Kolejna chmura żuków leci w jego stronę, brzęcząc jak rakiety. Jacen pędzi wprost na nadbiegające oddziały ciężkozbrojnych wojowników. Najbliższy z nich dźga amphistaffem w Jacena jak włócznią, ale Jacen nurkuje pod jej końcem i przetacza się przez ramię, zadając cios w górę. Ostrze wnika w ciało Yuuzhanina między kroczeniem a nogą. Ścigające go żuki zbierają swoje żniwo, rozrzucając wojowników niczym zabawki zmiecione dłonią gigantycznego dziecka. Rozpęd pozwala Jacenowi dokończyć przewrót. Chłopiec ląduje na kolanie kierując ostrze w górę; przecina wnętrzności, a później pierś wojownika.

Tylko pole energetyczne podobne temu generowanemu przez amphistaffy jest w stanie wytrzymać cios jego ostrza. Skorupy krabów vonduun stanowią skomplikowaną, krystaliczną strukturę, wzmocnioną polem generowanym przez gruczoły zasilające, podobne do gruczołów amphistaffu. Lecz pole chroni jedynie skorupę; pod skorupami kraby są miękkie, a kiedy ostrze Jacena przecina nerw pola kraba od środka, zbroja mogłaby równie dobrze być wykonana z masła banthy.

Zwielokrotniona eksplozja żuków rzuca wojownikiem do przodu; ostrze Jacena przecina kręgosłup i zbroję, aby wreszcie wynurzyć się z pleców Yuuzhanina w fontannie krwi. Przy okazji tnie na pół pas z żukami. Jacen, powalony rozpędem, odtacza się w tył i zrzuca z siebie drgające ciało, ale chwytając przecięty pas. W sekundę później znów jest na nogach i biegnie,

przewracając się i potykając, ogłuszony i na pół oszołomiony eksplozjami. Za jego plecami wojownicy przegrupowują się, ale Jacen nie zwraca na nich uwagi.

Cała jego uwaga skupiona jest na pasie z żukami, który trzyma w garści.

Pas krwawi z przeciętych końców. Umierając, ma tylko jedno życzenie: uwolnić swoje dzieci - żuki zamknięte w łańcuchu sześciokątnych komór rozrodczych - aby mogły wypełnić swoje wybuchowe przeznaczenie. Jacen wyraźnie to czuje. W emocjonalnym języku, zawdzięczanym talentowi empatycznemu, obiecuje ostateczne zaspokojenie tego pragnienia, jeśli pas zechce tylko zaczekać na jego sygnał.

Przed nim dwa pozostałe oddziały zbijają się w ostry klin skierowany czubkiem w stronę Jacena, szeroką podstawą zaś osłaniający pojemnik wielkości zbiornika bacty, w którym spoczywa Shreeyam'tiz. Wokół niego gwizdże coraz więcej żuków, więc Jacen rzuca pas przed siebie, jak granat protonowy. Pas wije się leniwie, płynąc wysoko w południowym powietrzu.

Za pomocą empatii Jacen przesyła potężny jak uderzenie młota impuls niosący ze sobą dreszcz wyczekiwania, bliskość spełnienia, dygoczące uderzenie adrenaliny, które można przetłumaczyć mniej więcej na...

Teraz!

Pas wybucha jak bomba nad podstawą klina. Jednocześnie żuki wycelowane w Jacena nadlatują ze złowróżbnym brzęczeniem, trafiając bez rozróżnienia w niego i w otaczających go Yuuzhan. Potężne uderzenia zwalają ich z nóg w różne strony, aż wreszcie Jacen, podcięty, rzuca się wysoko w powietrze łagodnym saltem.

Odwrócony świat wiruje wokół niego w coraz ciemniejszym, krwawym wirze. Jacen ma akurat dość czasu, aby poczuć, jak ból wysyłany przez jego ziarno niewolnika słabnie nagle. Chłopiec wysyła ziarnu leniwe, empatyczne zaproszenie: "W porządku. Teraz twoja kolej, przyjacielu".

Zabarwiona krwią ciemność pochłania go, zanim lot dobiega końca.

- Popatrz, widzisz to co ja? - Nom Anor wzgardliwie skinął głową w kierunku obrazu w worku optycznym wideopajaka, który, nagle wyostrozony, przedstawiał leżącego bez zmysłów Jacena, wciąż w tej samej zaimprovizowanej zbroi z amphistaffów. Krew spływała na zorany przez żuki mech.

- Ten twój "największy z wszystkich Jedi" zdołał zabić jedynie dwóch czy trzech wojowników. Beużyteczny, słaby głupiec...

- Chyba nie uważałeś, co mówiłam - zaśmiała się Vergere. - Proszę cię jeszcze raz: pozwól mi do niego iść, zanim wszystko będzie stracone.

- Nie bądź głupia. Nie ma mowy o zagrożeniu. Przynajmniej obejrzymy sobie koniec tej żalostnej farsy w kolorze. Już jest nieprzytomny; wojownicy poskromią go i doprowadzą tutaj zgodnie z rozkazem.

Usta Vergere wygięły się w górę, jak w ludzkim uśmiechu. Otwartą dłonią wskazała na wyraźny, szczegółowy obraz; Jacen właśnie poruszył się lekko, potrząsnął głową i zaczął wstawać.

- Więc dlaczego jeszcze tego nie robią?

Nom Anor zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien...

- Być może wojownicy mają coś pilniejszego do roboty.

- Pilniejszego? - warknął groźnie. - Pilniejszego, niż wykonywanie moich rozkazów?

- Egzekutorze, Egzekutorze - zganiła go łagodnie. - Patrzysz, ale nie widzisz.

W worku wideopająka nagle zmieniło się oświetlenie; ostry, białobłękitny blask południa w Szkółce nabrał barw czerwieni, złota i żółci. Blaski tańczyły na włosach i postrzępionej, zakrwawionej szatoskórce Jacena. Nom Anor przyglądał się temu obrazowi, niewiele z niego pojmując, dopóki nie przysłoniły go kłęby ciemnego, tłustego dymu.

Nowe kolory pochodziły od pożaru.

Na twarzy Noma Anora zdumienie ustąpiło miejsca wściekłości. Poczł odrazę i gniew, które legły mu lodową kulą na żołądku.

- Co się dzieje? - warknął. - Vergere, mów, co się tam dzieje.

W zasięg obrazu worka optycznego weszli teraz dwaj wojownicy w zbrojach z kraba. Byli osmaleni i krwawili z licznych ran. Jeden z nich znalazł się zbyt blisko pleców Jacena; amphistaff, wciąż owinięty wokół torsu chłopca, konwulsyjnie wystrzelił w jego stronę i dźgnął go na wysokości kolana. Drugi wojownik nawet nie próbował się zatrzymać czy obejrzeć. Zanim Nom Anor zdążył wyrazić swoje zdumienie, odkrył, przed czym tamten tak uciekał - ścigał go tłum kuśtykających, wściekłych i rozwrzeszczanych istot, uzbrojonych w rozmaite, często zaimprovizowane narzędzia: od kręgoszpadi po malledille i wściekle wijące się dzikie amphistaffy, równie niebezpieczne dla przeciwnika, co dla użytkownika. Dopadli sparaliżowanego przerażeniem wojownika i z dziką satysfakcją zaczęli go siekać na kawałki.

- Przecież to niewolnicy - jęknął Nom Anor. - Jak mogli się tak kompletnie wyrwać spod kontroli?

Grzebień Vergere nabrał jaskrawopomarańczowego koloru przetykanego pulsującą zielenią.

- Odpowiedz mi, Nomie Anorze: dlaczego obraz w wideopająku stał się nagle tak wyraźny i jasny?

Wytrzeszczył oczy, dysząc ciężko przez otwarte usta.

- On nigdy nie zamierzał walczyć z wojownikami - mruknęła, jakby próbując podpowiedzieć rozwiązanie niezbyt inteligentnemu dziecku.

Wreszcie, poniewczasie, Nom Anor zrozumiał. Bryła lodu w żołądku zaczęła wysyłać fale lodowatego zimna aż po końce palców.

- Zabił shreeyam'tiza!

- Tak.

- Jakim sposobem... dlaczego ty... on... to znaczy ty...

- Ostrzegałam cię przecież... chyba pamiętasz.

- Ty... Vergere, przecież ty... Myślałem, że jesteś...

Jej czarne, niezgłębione źrenice wytrzymały jego spojrzenie.

- Czy jeszcze się nie nauczyłeś, Egzekutorze - zapytała bezbarwnym tonem - że wszystko, co ci mówię, jest prawdą?

Tizo'pil Yun'tchilat zmienił się w jatkę.

Każdy z dhuryamów, odcięty od swoich więzi telepatycznych przez shreeyam'tiza, zmuszony był czekać, ślepy i głuchy; gotował się we własnym sosie hormonów stresu, płonąc desperacką nadzieją, że następne uczucie, jakiego dozna, będzie przebudzeniem potęgi i czystej, oczywistej wiedzy, że to właśnie on jeden, z całego miotu, został wybrany pazhkic Yuuzhan'tar al'tirma - Mózgiem Świata Kolebki Boga.

Pomimo to każdy z nich w głębi ducha przeżywał głęboką, męczącą obawę, że zamiast potęgi poczuje jedynie cięcie ostrza, które wsączy w niego żrący ogień trucizny amphistaffu, odbierając mu życie i skazując na wieczne cierpienie, jakim bogowie karzą niegodnych.

Kiedy zatem eksplodował pas z żukami, śląc dziesiątki twardych pocisków do zbiornika, w którym spoczywał Shreeyam'tiz - a odżywcza kąpiel, w której się płał, zwielokrotniła jeszcze ich ogłuszającą siłę, aż krew i szczątki ciała trysnęły wysoko na spotkanie słońca Szkółki

- wszystkie dhuryamy z wyjątkiem jednego nie miały najbledszego pojęcia, co się dzieje.

Wszystkie dhuryamy z wyjątkiem jednego były wstrząśnięte, ogłuszone, zdruzgotane, oszołomione powrotem zmysłów opartych na zmysłach niewolników; wszystkie, z wyjątkiem jednego, były podwójnie wstrząśnięte, więcej niż oszołomione - wręcz ogarnięte ślełą paniką - kiedy się zorientowały, że ich rodzeństwo również odzyskało zmysły niewolników, a po Szkółce, rozbrzmiewającej echem eksplozji i cuchnącej świeżą krwią, biegają przerażeni, rozdygotani mistrzowie przemian i ogarnięci szalem bitewnym ciężkozbrojni wojownicy.

Ten jeden dhuryam, który wiedział, co się dzieje, nie był ani wstrząśnięty, ani oszołomiony, ani ogarnięty paniką. Był za to zdesperowany i bezlitosny.

Dhuryamy to istoty z gruntu pragmatyczne. Nie wiedzą, co to zaufanie, a więc nie znają pojęcia zdrady. Ten właśnie dhuryam, podobnie jak wszystkie inne, od dawna zdawał sobie sprawę, że jego życie zależy od wyniku tizo'pil Yun'tchilat i że ma szanse nie większe niż każdy z tuzina jego pobratymców.

To znaczy dwanaście do jednego. Na jego niekorzyść.

Żadnemu z dhuryamów się ten stosunek sił nie podobał, ale tylko ten jeden postanowił coś z nim zrobić.

Zawarł umowę z Jacenem Solo.

Gdy tylko interferencja telepatyczna ze strony shreeyam'tiza nagle ustała, dhuryam nie tylko wiedział dokładnie, co się dzieje, lecz również kto tego dokonał i dlaczego.

I wiedział, co należy zrobić dalej.

Zanim jeszcze przebrzmiały echa eksplozji żuków, dhuryam nakazał swoim niewolnikom, aby opuścili drzewa koralowe i rozbiegli się po zagonach ooglithów. Dotknięcie splotu nerwowego, które w przypadku zmodyfikowanych ooglithów, zwanych maskerami, służy do ich zdejmowania, spowodowało również skurczenie się dzikich ooglithów - lecz to, co pod sobą skrywały, w niczym nie przypominało zwykłych, pustych w środku konstrukcji z kamienia.

Te ooglithy strzegły stosów prymitywnej, zaimprovizowanej broni.

Niektóre narzędzia zostały niepostrzeżenie zgromadzone w ciągu ostatnich kilku dni. Ukryto je na zagonach ooglithów w pobliżu koralowych drzew basali: głównie były to szerokie kręgoszpady, długie i ciężkie, aby łatwiej wbijały się w ziemię, jak również opancerzone malledille, mocne i długie, wzrostu przeciętnego wojownika, dość twarde, by rozbić kamień jednym uderzeniem.

Oogolithy ukrywały również pewną liczbę glistobukłaków, wypełnionych po brzegi miodem iskropszczół. Iskropszczoły były dzikimi przodkami zmodyfikowanych wiele wieków temu żuków udarowych i wybuchowych. Otwór każdego z glistobukłaków nasączony był niewielką ilością enzymu trawiennego krabów vonduun. Niewolnik, wykorzystując kręgoszpadel jako katapultę, mógł rzucić taki pocisk nawet na znaczną odległość.

Nie chodziło tu nawet o celność. Glistobukłaki pękały pod wpływem uderzenia, rozbryzgując galaretowaty miód na wszystkie strony. Uaktywniony enzymem miód czepiał się wszystkiego, czego dotknął; w kontakcie z powietrzem Szkółki buchał płomieniem.

W ciągu kilku sekund ogień był dosłownie wszędzie.

Wojownicy smażyli się na śmierć w swoich bezużytecznych zbrojach i nie byli w stanie ochronić ani siebie, ani tym bardziej mistrzów przemian, których eskortowali. Mistrzowie zaś, nie posiadając doświadczenia ani wyszkolenia w walce, mogli jedynie bezładnie pełznąć w kierunku najbliższej żyły oddechowej. Wielu z nich zginęło od płonącego miodu, niektórym roztrzaskano głowy malledillą lub kręgoszpadlem, którym niewolnicy wywijali jak wibrotoporem. Płonący miód pływał po wodzie jeziora-ula jak olej.

Wszystkie dhuryamy z wyjątkiem jednego opanowała ta sama myśl - zebrać wokół siebie niewolników, którzy byli ich oczami i rękami. Musieli zgromadzić ich wszystkich na wyspie-ulu, żeby otoczyć się sztańcem ciała. Żaden z nich nie miał innej nadziei na samoobronę.

Z wyjątkiem jednego.

Dlatego też niewolnicy, należący do pozostałych dhuryamów, zbiegli się z całej Szkółki, popędzani przez sieci koralowych ziaren spalających ich systemy nerwowe i rzucili się ku pierścieniowi wojowników strzegących jeziora, aby zalać ich masą rozedrganych, zakrwawionych i czepiających się wszystkiego ciała; natomiast niewolnicy należący do tego jednego dhuryama zachowali się całkiem inaczej.

Przede wszystkim rozdzielili się na grupki po pięciu. Jedna grupa otoczyła Jacena Solo, czekając, aż ten z trudem dźwignie się na nogi. Chłopak krwawił z kilkunastu ran, chwiał się na nogach, jakby był pijany lub miał zamiar zemdleć, lecz razem z pięcioma niewolnikami ruszył w stronę jeziora. Pozostałe grupy pędziły przez dym i płomienie, potykając się o trupy i ślizgając w kałużach krwi, aż dopadły koralowych drzew basali.

W ciągu kilku sekund drzewa stanęły w płomieniach, podsycanych przez miód iskropszczół. Niewolnicy nie czekali, aby sprawdzić, czy płomienie wystarczą, lecz zabrali się do

pracy. Używając kręgoszpadli, malledilli oraz schwytych amphistaffów, zaczęli ciąć, tłuc i siekać, aż wszystkie koralowe drzewa legły martwe.

Nom Anor gapił się na ten krwawy wszechświat zamknięty w worku optycznym wideopająka i czuł, jak ogarnia go tępe, pełne niedowierzania przerażenie.

- Co...? - wybełkotał wreszcie. - Co... co to ma znaczyć?

- Egzekutorze, mamy coraz mniej czasu.

- Czasu? Jakiego czasu? Ta... ta katastrofa... Jesteśmy martwi, czy tego nie pojmujesz?

Tsavong Lah nas zabije!

- Wieczny optymista - zachichotała Vergere. - Masz nadzieję, że tego dożyjemy?

Nom Anor zaniemówił i tylko wbił w nią wzrok.

I znów nieoczekiwanie silna dłoń ujęła go za ramię.

- Niech wojownicy czekający przed wejściem odprowadzą mnie do Szkółki. Wezwij swojego dowódcę, jeśli jeszcze żyje. Będę potrzebowała kogoś, kto przeprowadzi mnie przez strażę, na wyspę-ul. Jeśli w ogóle strażnicy uła przeżyją do tej pory.

- Wyspa-ul? - Nom Anor zamrugał z głupią miną. Nie potrafił się w tym wszystkim doszukać jakiegokolwiek sensu. - O czym ty mówisz?

Vergere wskazała na worek optyczny wideopająka.

- Sądzisz, że on już skończył, Nomie Anorze? Czy twoje wcielenie Bliźnięcia pożąda jedynie rzezi i zamieszania... czy też może wywołał rzeź i zamieszanie, aby odwrócić naszą uwagę?

- Odwrócić uwagę? Od czego? - Nagle normalne oko Egzekutora wyszło z orbity; w worku wideopająka ujrzał Jacena, który po pierś nurzając się w cieczy jeziora-ula, wycinał sobie drogę poprzez spieniony, walczący, krwawiący kłęb niewolników i wojowników. Jeden z towarzyszy Jacena padł z gardłem przebitym amphistaffem, drugi został wciągnięty pod wodę przez nieuzbrojonych niedawnych towarzyszy niedoli. Pozostali dziko wywijali kręgoszpadlami, usiłując nie tylko utrzymać na dystans wojowników i niewolników, lecz również choć częściowo oczyścić z płomieni powierzchnię jeziora.

Jacen z posępną miną brnął przed siebie, chwilami płynąc; nie oglądał się w ogóle na chroniących go niewolników. Wszyscy, którzy stawali mu na drodze, ginęli od szybkich jak błyskawica ciosów amphistaffów, które chłopiec trzymał w obu rękach. Jacen nie zawracał sobie nawet głowy ocieraniem krwi zalewającej mu oczy z rany na czole.

Szedł i zabijał.

Zwrócił się w kierunku środka jeziora, ku wyspie-ulowi. I szedł dalej.

- Dhuryamy... - jęknął Nom Anor.

- To mózgi statku, Egzekutorze. On zdążył już zrujnować tizo'pil Yun'tchilat i nie ma nadziei na ucieczkę. Jaki inny cel byłby godzien, żeby za niego oddać życie?

- Mówisz tak, jakbyś była z niego dumna!

- Jestem więcej niż dumna - odparła z powagą. - On przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

- Bez Mózgu Świata, który przeprowadziłby oddzielenie i wejście do atmosfery, zniszczeniu może ulec cały statek! Zabije siebie i wszystkich innych przy okazji!

Vergere wzruszyła ramionami i z uśmiechem splotła dłonie.

- Wurth Skidder.

Żołądek Noma Anora fiknął koziołka, a Egzekutor poczuł w ustach smak krwi. Jedi Skidder oddał własne życie, aby zabić jednego yammoska - a dhuryamy były przecież o wiele cenniejsze. Więcej niż cenne. Niezastąpione.

- Nie może! - Nom Anor dyszał ciężko, ogarnięty desperacją. Nie może... formy życia na pokładzie tego statku są nie do zastąpienia...

- Właśnie. Wszystkie. Szczególnie on.

- Nie może! To znaczy... zrobiłby to? Powiedz, że to niemożliwe!

- Ach, Egzekutorze, jakim pięknym miejscem byłby nasz wszechświat, gdyby na każde pytanie można było udzielić jasnej odpowiedzi! - Roześmiała się i znów skierowała dłoń na worek optyczny wideopająka.

Ukazywał on Jacena Solo, który stał już na brzegu wyspy-ula, wbijając w pierś oszalałego mistrza przemian jedno z ostrzy, podczas gdy drugim otworzył od ucha po krocze kogoś, kto mógł być zarówno niewolnikiem, jak i przebrany wojownikiem. Dwaj niewolnicy z jego eskorty przetrwali - pojawili się przy brzegu, gdzie oślepijąco szybkimi machnięciami kręgoszpaldi usiłowali utrzymać w ryzach tłum rozhisteryzowanych, gotowych na śmierć kompanów. Powoli jednak ustępowali pod naporem tłumy, wspinając się coraz dalej na plażę, Jacen zaś rzucił się na najbliższą z ogromnych, koralowych komór dhuryamów.

Zatrzymał się z wahaniem na woskowatym, sześciokątnym korku, który zamykał otwór komory rozrodczej. Wzniósł oba amphistaffy i zachwiał się, jakby za chwilę miał zemdleć. Na

dole tępe krawędzie kręgoszpadli siekały ciała niewolników i Jacen drgnął nagle, jakby musnął go nie dość celny strzał z miotacza. Wydawało się, że dopiero teraz przypomniał sobie, po co tu jest i co ma zrobić.

Wbił oba amphistaffy w korek; przeszły na wylot.

- Jak widzisz, pytanie jest znacznie trudniejsze - szepnęła Vergere. - Czy potrafimy go powstrzymać?

Nom Anor zachwiał się, bezradnie zaciskając palce, jakby mógł sięgnąć poprzez worek optyczny wideopajaka i chwycić Jacena za gardło.

- Czy on zupełnie oszalał?

Jedyną odpowiedzią Vergere było spokojne, wyczekujące spojrzenie.

Zakrył twarz rękami.

- Idź - wykrztusił słabym, stłumionym głosem. - Zabij go, jeśli będzie trzeba. Ocal statek.

Skłoniła się sprężyście.

- Na twoje rozkazy, Egzekutorze.

Usłyszał syk otwieranego i zamykanego włazu i natychmiast opuścił dłonie. W oczach miał zimny blask czystego wyrachowania. Poglądził villipa, wydał rozkazy i rzucił go na podłogę. Otworzył przeponę i szybkim rzutem oka na korytarz upewnił się, że nikt mu nie przeszkodzi.

Egzekutor Nom Anor gnał do swojego koralowego skoczka, jakby ścigało go stado smoków krayt.

Nie dlatego przeżył tak długo w tej wojnie, że nie doceniał Jedi. Zwłaszcza z rodziny Solo.

Zabijanie dhuryamów stało się łatwiejsze po pierwszym razie. Pierwszy raz to było morderstwo.

Jacen czuł to.

Stał na korku zamykającym wylot sześciokątnej komory rozrodowej dhuryama. Czuł pod stopami ciepły, niemal żywy wosk, rozdzierające przerażenie młodziutkiego dhuryama, uwięzionego pod nim, dławiącą, klaustrofobiczną panikę, bez żadnej nadziei na ucieczkę, żadnej nadziei na ukrycie się, telepatyczny wrzask, gorzkie, desperackie błaganie. Czuł to życie, które miał za chwilę zabrać: umysł równie pełen oczekiwań i lęków, co jego własny, umysł, który miał

wykreślić ze świata żywych jednym cięciem ostrza i żrącym jadem amphistaffu.

Jego instynkt buntował się przeciwko temu zabójstwu: całe szkolenie, wszystkie ideały Jedi, całe jego życie sprzeciwiało się zamordowaniu bezbronnej, przerażonej istoty.

Zachwiał się, bo nagle zakręciło mu się w głowie. Uświadomił sobie, jak poważnie jest ranny - poczuł strużki krwi spływające mu po twarzy, połamane żebra, dżgające płuca przy każdym oddechu, drętwotę promieniującą wzdłuż uda od cięcia, którego sobie w ogóle nie przypominał. Zauważył też, że wstrząs, jakiego doznał przy kontakcie z wybuchowymi żukami, pozbawił go chwilowo ostrości widzenia. Przebił sobie drogę do wyspy niczym wojownik Yuuzhan Vongów w szale bitewnym, kiedy to ból i rany mają tyleż znaczenia, co barwa nieba. Odbierał życie wojownikom i oszalałym mistrzom przemian, może nawet tym samym niewolnikom, o których ratunek walczył...

Spojrzał w dół, na plażę. Obok mistrza przemian, którego uśmiercił, leżały drugie zwłoki.

Wyglądały na ludzkie.

Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, czy to jeden z zamaskowanych wojowników. Nigdy się nie dowie. Istniała tylko jedna prawda: ta osoba stanęła przeciwko niemu i zaatakowała go. Wojownik? A może niewolnik - niewinny, zmuszony do zaatakowania Jacena wbrew swej woli, bezradny, oszalały z bólu indukowanego przez sieć ziarna?

Dlaczego czuł się tak, jakby to nie miało znaczenia?

To wrażenie przerażało go bardziej niż samo zabijanie. Jeśli właśnie tym się stałem, może to sprawiedliwe, abym tu zginął, pomyślał. Zanim zabiję kogokolwiek innego.

Jednak za każdym razem, kiedy ochraniający go niewolnicy, odpierając tłum kłębiący się na plaży, dobrze wycelowanym ruchem kręgoszpadla trafiali kogoś w nogę lub głowę, czuł to uderzenie i tę ranę...

Napierająca fala niewolników już zatopiła wojowników strzegących wyspy-ula; jeszcze kilka chwil, a dhuryamy zwrócą swoich niewolników przeciwko sobie. Zwycięzca bierze wszystko. Morze krwi. Zginęły już dziesiątki, może setki niewolników, bezlitośnie rzuconych na zabójczy pierścień wojowników. Jeśli jednak dhuryamy zwrócą się przeciwko sobie, zginie ich tysiące.

Dla dhuryama pod jego stopami ci ludzie byli jedynie narzędziami. Palnikami plazmowymi. Prętami oświetleniowymi. Śmierć niewolnika budziła w tym dhuryamie emocje nie

większe niż przekleństwo, które rzuciłby w roztargnieniu ojciec Jacena, gdyby w trakcie naprawy narowistego hipernapędu "Sokoła" nagle rozleciał mu się klucz hydrauliczny.

Przypomniał sobie wyraźnie szept Vergere, jakby usłyszał go nad uchem: "Wybór ogrodnika".

Podniósł nad głowę bliźniacze amphistaffy, ukląkł na jedno kolano i wbił je w dół, poprzez woskowy korek.

Poczuł, jak ostrza wchodzi w ciało małego dhuryama. Miał takie wrażenie, jakby przecinały jego własny brzuch; czuł, jak żrący strumień jadu rozprzestrzenia się w ciele dhuryama, tak wyraźnie, jakby płynął w jego własnych żyłach.

Szarpięciem uwolnił oba amphistaffy i przeczołgał się do kolejnej komory rozrodczej.

Zabicie następnego dhuryama podwoiło jego empatyczny ból, bo pierwszy jeszcze żył, jeszcze cierpiał, emanując telepatycznym przerażeniem i rozpaczą. Zabicie trzeciego spowodowało, że kolana odmówiły mu posłuszeństwa, a przed oczami zaczęły tańczyć czerwono żyłkowane kręgi.

Za jego plecami niewolnicy, doprowadzeni do samobójczego szaleństwa bezlitosnym ogniem nasion, przystawali nagle, dysząc ciężko i mrugając gwałtownie. Stawali jak wryci, zaskoczeni, zdumieni; zwracali się ku sobie, wciągając ręce, by prosić o pomoc lub ją zaoferować, nie po to, by zadawać rany, okaleczać i zabijać. Najpierw pierwsza brygada, która przepchnęła się aż na plażę, potem następna i kolejne, w miarę jak dhuryam za dhuryamem wily się i miotaly w przedśmiertnych konwulsjach, rozsadzając ścianki komory niczym skorupkę jajka.

Jacen szedł dalej.

Otaczała go czerwona mgła, krwawy obłok - mieszanina prawdziwego dymu, oparów i cuchnącego miedzią ognia lub coś, co powstało wyłącznie w jego głowie, a może i jedno, i drugie. Wyspa-ul stała się górą jak z koszmaru, całą w ostrych skałach i krwi. Bez końca wspinał się ku szczytowi, którego nawet nie widział. Wyrastały przed nim jakieś sylwetki, niewyraźne plamy atakowały go z czerwonej mgły, wymachując bronią i czepiając się go rozcapierzonymi szponami. Ciął po nich, ciął przez nie, zabijał, szedł po trupach i zabijał dalej; padał na kolana, żeby za chwilę znów zanurzyć ostrza w woskowym korku, jeszcze raz, jeszcze raz i znowu. Odrzucał amphistaffy, których gruczoły jadowe były już puste, ściągał nowe z własnej zbroi - z żywego, widzącego pancerza, i atakował te skąpane w czerwieni kształty ze śmiercionośną

dokładnością.

I nagle znalazł się na górze, blisko szczytu: nie wiedział, czy ktoś jest w pobliżu ani gdzie on sam się znajduje, ale czuł, że stoi na najwyższej turni galaktyki, ponad atmosferą, ponad księżycami, wyżej niż gwiazdy. Podniósł ostatniego amphistaffa jak flagę bojową. Zanim zdążył pograć go w zbroczonym krwią woskowym korku, który czuł pod pokaleczonymi stopami, w mózgu rozbłysła mu supernowa...

Rozbłysła i spaliła cały wszechświat. Nic nie zostało.

Nic, oprócz bieli.

Głodnej bieli, pożerającej wszystko, czym był. Ale on już znał tę biel, znał jej tajemnice, a ona nie mogła go powstrzymać.

Jej źródło, tryskająca fontanna, znajdowało się pod tą sześciokątną pokrywą. Czuł je tam - drgające, nieludzkie członki wijące się w mule i w przerażeniu. Wkrótce skróci ich cierpienia. Jeszcze jedno uderzenie i wszystko się skończy. Wszystko i na zawsze.

Podniósł amphistaffa.

- Jacenie, nie! Nie rób tego!

Obrócił się na pięcie i zachwiał, oślepiiony bielą, oszołomiony brakiem powietrza w płucach.

Głos należał do jego brata.

- Anakin...?

- Nie możesz go zabić, Jacenie - głos Anakina dochodził z bieli. To twój przyjaciel.

Nicznym odcisk palca na probówce przesyconego roztworu, głos Anakina wyzwolił w umyśle Jacena zmianę stanu skupienia: biel zamgliła się, skropliła, skryształizowała, nabrała przejrzystości, przezroczystości...

Znikła.

Ból pozostał. Napętniał jego żyły oparami wrzącej krwi, ale go nie dotykał - przechodził na wskroś nienaruszony, jak światło przez pustą przestrzeń.

Znów mógł widzieć.

Jasno.

Doskonale i wyraźnie.

Widział szkarłatne strzepy - pozostałość po trzech mistrzach przemian, którzy nie zdążyli dopaść żyły oddechowej po drugiej stronie Szkółki, za słońcem. Ujrzał dymiący pierścień

zwęglonych drzew koralowych basali otaczających jezioro-ul. Zobaczył strumyczki krwi wijące się po jego ramionach i spływające z palców.

Zatyczki komór rozrodowych leżały rozrzucone po całej wyspie, poprzebijane, ociekające błękitnym mlekiem krwi dhuryamów.

Splątane ciała wojowników, niewolników i mistrzów przemian...

Odwrócony do góry nogami świat, pełen przerażenia, cierpienia, krwi...

I to wszystko jego dzieło.

Wszystko.

Wtedy zobaczył Vergere.

Oddychał ciężko, obserwując, jak wspina się ku niemu, pokonując ostatnie kilka metrów ula dhuryamów. W dole uzbrojeni wojownicy z trudem powstrzymywali tłum wrzeszczących, zakrwawionych i śmiertelnie zmęczonych niewolników - niewolników, których Jacen wyczuwał dzięki swojej więzi z dhuryamem. Czuł, jak dhuryam ich chłoszcze, zmuszając do dalszego wysiłku.

Jak krzykiem nakazuje im, żeby zabili Jacena.

Usłyszał niski, zwierzęcy pomruk, jak zranionego rancora, zagnanego w kąt jaskini. Pomruk pochodził z jego własnej krtani.

- To twoja sprawka - wychrypiał.

Vergere spojrzała w górę. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem amphistaffów.

- Słyszałem go - wydyszał. Oddech parzył mu gardło i sprawiał ból. - Anakin kazał mi przestać. Ale to nie był Anakin, to byłeś ty.

Vergere splaszczyla grzebień, rozkładając go na podłużnej czaszce, ale w jej oczach nie było ani śladu wesołości.

- Jacenie - odezwała się powoli i ze smutkiem. - Czy to najlepsze zakończenie opowieści twojego życia? Czy to jest twoje marzenie?

Moje marzenie...

Jak przez mgłę przypominał sobie nadzieję na uwolnienie niewolników; przypominał sobie swoją umowę z dhuryamem, który zgodził się oszczędzić ich i przesłać bezpiecznie na planetę w statkach-nasionach, a za to Jacen miał mu pomóc w zlikwidowaniu braci-rywali. Jednak teraz, w obliczu jatki, w jaką przemienił Szkółkę, tamto wspomnienie wydawało się

równie dalekie, jak jego sen na Belkadanie: cień uludy, strzępek nadziei - piękny, lecz nieosiągalny.

Nierealny.

Realny był za to rozszalały chaos krwi, bólu i śmierci, jaki Jacen rozpętał w tym dziwnym świecie. Rozpaczliwie jasne światło w głowie ukazywało mu ostro i wyraźnie ponurą rzeczywistość - widział, co uczynił, i wiedział, co musi zrobić teraz.

Podniósł amphistaffa nad głowę i pozwolił mu zwisnąć pionowo, ostrzem w dół.

- Jacenie, przestań! - Vergere podeszła o krok bliżej. - Czy mógłbyś zabić swojego przyjaciela? Tym się stałeś?

- To nie jest przyjaciel - wycodził Jacen przez zęby. - To obcy. Potwór.

- A czym ty się staniesz? Czy on zawiódł twoje zaufanie? Kto tu jest potworem?

- Teraz mogę go zabić. A kiedy go zabiję, zabiję również rodzinną planetę Yuuzhan Vongów. - Amphistaff zadrgał w jego rękach. Jacen zacisnął chwyt, aż dłonie zaczęły go parzyć. - Zdradą byłoby pozwolić mu żyć. Zdradziłbym Nową Republikę. Wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety, których wymordowali Yuuzhanie. Wszystkich zabitych Jedi, nawet mojego... nawet...

Głos zamarł mu na wargach. Nie mógł się zdobyć na to, aby wypowiedzieć imię Anakina. Ale nie zadał ciosu.

- I tak oto znów stoisz przed wyborem, Jacenie Solo. Możesz zdradzić swój naród lub swojego przyjaciela.

- Zdradzić przyjaciela? - Znów podniósł amphistaffa. - On nawet nie wie, co oznacza słowo "przyjaciel"

- Może i nie wie. - Grzebień Vergere podniósł się, przybierając szkarłatną barwę. Postąpiła jeszcze krok naprzód. - Ale ty wiesz...

Jacen zachwiał się, jakby dostał pięścią w twarz. Z oczu popłynęły mu łzy.

- Więc powiedz, co mam zrobić? - zawołał. - No, powiedz! Co według ciebie powinienem zrobić?

- Nie chcę snuć przypuszczeń - odparła, robiąc jeszcze jeden krok naprzód. - Ale jeśli zabijesz tego dhuryama, zabijesz również siebie. Wszystkich wojowników, mistrzów przemian, Zhańbionych, którzy znajdują się na tym statku. A także niewolników - wszystkich, co do jednego! Czy nie próbowałeś przypadkiem ocalić im życia, Jacenie Solo?

- Ja... - Jacen spróbował strząsnąć łzy z powiek. - Skąd wiem, że mówisz prawdę?

- To jasne, że nie wiesz... Ale jeśli to, co mówię, jest prawdą, czy to sprawi, że zmienisz zdanie?

- Nie, ja nie... - Poczul, jak wzbiera w nim potworna, niewyobrażalna wściekłość. Zbyt wiele już przeszedł. Etap pytań dobiegł końca; nadszedł czas na odpowiedzi.

Koniec.

- Wszystko - wycodził przez zęby, z trudem artykułując słowa wszystko, co mi mówisz, jest kłamstwem.

Vergere rozłożyła ręce.

- Wybieraj więc i działaj.

Wybrał.

Podniósł amphistaffa - zanim jednak zdążył go opuścić, Vergere rzuciła się naprzód, zastawiając mu drogę własnym ciałem. Gdyby chciał zabić dhuryama, musiałby najpierw przebić jej pierś. Zawahał się na mgnienie oka, a ona w tym samym momencie wyciągnęła dłoń i pogładziła go po policzku, tak samo jak za pierwszym razem, kiedy jej dotyk wyprowadził go z Objęć Cierpienia, z pustej, białej śmierci.

Jej dłoń była wilgotna.

- Co...? - zaczął.

Nie skończył, ponieważ usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Miał akurat dość czasu, żeby pomyśleć: "Jej łzy... łzy Vergere", zanim paraliżująca trucizna, którą się stały, objęła jego mózg; a wtedy Szkółka, dhuryam i sama Vergere - wszystko znikło, zaś on zapadł się w osobny, osobisty wszechświat, nieskończony i wieczny.

Ten wszechświat był czarny.

Był sobie świat, który kiedyś stanowił stolicę galaktyki, a zwali go Coruscant. Był planetą-miastem, ogromną, globalną metropolią, ciągnącą się na odległość wielu kilometrów od bieguna do bieguna. Ten zimny świat z czterema księżycami leżał z dala od niebieskobiełego słońca, a na jego orbicie krążyły lustrzane platformy, koncentrujące światło i ciepło słoneczne, by miasto nie zamarzło.

Wszystko się zmieniło.

Teraz planeta krążyła bliżej słońca. Jej klimat stał się ciepły, wręcz tropikalny, a wysokie na wiele kilometrów globalne miasto zmieniło się w grubą na wiele kilometrów globalną kupę

gruzu. Nowe morza rozpostarły się w miejscach, gdzie niegdyś znajdowały się mieszkalne wieżowce i budynki rządowe. Trzy księżycy splatały orbitalny pierścień w łuk tęczy na niebie.

A ponad tym światem, który niegdyś był stolicą, ponad stolicą, która niegdyś była światem, rozbłysła jedna spadająca gwiazda. Ogromna kula z koralu yorik weszła w atmosferę pod ostrym kątem, gubiąc cząstki, kawałki i bloki koralu i rozsiewając po całej planecie deszcz meteorytów. Rozkwitając ogniem, pędziła ku powierzchni.

Meteority spadały, a wszędzie, gdzie upadły, zapuszczały korzenie i zaczynały rosnąć.

Planeta przestała być Coruscant - stała się Yuuzhan'tar.

Wkrótce jednak znowu będzie stolicą galaktyki.

II J A S K I N I A

R O Z D Z I A Ł 6 D O M

Tysiące lat minęły, zanim Jacen otworzył oczy.

Spędził pierwszy tysiąc lat w jednym niekończącym się, klaustrofobicznym koszmarze: spętany, związany, zamknięty w kokonie, nie mógł się ruszać ani mówić. Nie widział, bo nie mógł otworzyć powiek. Nie mógł przełknąć śliny. Nie mógł oddychać.

Leżał tak bezradnie przez całe millenium.

A potem poczuł drżenie jednego mięśnia w plecach. Zajęło mu to całe stulecie, ale w końcu zlokalizował ten mięsień i stwierdził, że może go zmusić do kurczenia się, a potem do ponownego rozluźnienia. Dekady przeszły w nowy wiek, kiedy stwierdził, że może poruszać również innymi mięśniami pleców. Potem mógł już zacisnąć uda, napiąć mięśnie ramion - i koszmar zamienił się w sen, wypełniony już nie przerażeniem, lecz możliwościami.

Przez cały czas trwania snu spodziewał się, że skorupa poczwarki pęknie, a on wreszcie rozpostrze skrzydła i usłyszy harmonijną nutę swoich piszczałek, z którą wzbije się zaraz w niebo błyszczące czterema księżycami...

Wreszcie otworzył oczy i stwierdził, że to był tylko sen. Poczuł, jak ogarnia go ogromna, niewypowiedziana ulga. Przez chwilę sądził, że wszystko było snem: Szkółka, Objęcia

Cierpienia, królowa voxynów, Anakin...

Dur. Belkadan. Wszystko, począwszy od Sernpidala.

Albo to wszystko było snem, albo on śni dalej, ponieważ nie czuje już żadnego bólu.

Leżał na miękkim, zaokrąglonym, nieprzyzwoicie wygodnym posłaniu; było jak leżanka przeciwprzeciążeniowa wyściełana żywym, szkarłatnym mchem, który pachniał kwiatami i dojrzałymi owocami. W pobliżu słychać było brzęczenie owadów, niewidzialnych, bo wstępu broniły im łagodnie falujące paprocie dwa razy większe od Jacena. Pomiędzy paprociami wiły się winorośle i girlandy kwiatów, obsypane jaskrawą żółcią, błękitem i mocnym oranżem, tworzącymi fantastyczne, ale delikatne desenie. Gdzieś w dali rozbrzmiewało echo żalosego zawodzenia jakiegoś stadnego łowcy. Wysoko w górze niewidzialna istota zanosiła się śpiewem, poruszającym i cudownym, jak głos manulliańskich ptaków podczas godów w ithoriańskiej Matce Dżungli.

Ithor, pomyślał z tępą goryczą. Pamiętał, co Yuuzhanie zrobili z Ithorem.

A gdzie ja w ogóle jestem, do dziewięciu koreliańskich piekieł?

Słońce przesączające się przez paprocie miało znajomy kolor: sposób, w jaki półcienie głębszych plam mroku przechodziły w spłowiałą czerwień... no, właśnie. To słońce miało dokładnie taki sam kolor, jak iskra atomowa, oświetlająca Szkółkę.

- Och - wymamrotał z trudem. - Och, teraz rozumiem...

Jedynе sensowne rozwiązanie: Yuuzhanie z pewnością dopasowali swoje sztuczne słońce do tego samego zakresu fal; to naturalne, skoro ma oświetlać nowy świat, gdzie miałyby wzrastać formy życia ze statku.

Był na Yuuzhan'tar.

A jednak to światło sprawiało, że żołądek ścisnął mu się boleśnie. Światło w Szkółce wywoływało w nim taką samą reakcję, być może z powodu gęstych mgieł, które zawsze kłębiły się w jej wnętrzu... a może to przez głęboki, fioletowy błękit nieba...

Nie istnieją dwie planety, które miałyby niebo dokładnie tej samej barwy; kolor nieba jest funkcją skomplikowanych współzależności pomiędzy widmem światła słonecznego a składem atmosfery świata. Jacen miał wrażenie, że skądś zna ten kolor. Albo bardzo podobny. Na tyle zbliżony, żeby pobudzić jego pamięć, ale nie na tyle identyczny, żeby mógł skojarzyć, którą planetę mu przypominał.

Usiadł i stłumił jęk - cały był obolały, posiniaczony od stóp do głowy, a choć zebra miał

profesjonalnie opatrzone, każdy ruch powodował w boku przeszywający ból, który powoli - rozpaczliwie powoli - rozplýwał się w tępe mrowienie, pulsujące aż po szyję.

W porządku. To nie sen.

Powoli, jak najostrożniej opuścił nogi z mszystego posłania: bolało, ale nie czuł zawrotów głowy ani mdłości. Po kilku sekundach wstał. Obok leżała starannie złożona szatoskóra. Ten, kto opatrzył mu żebra, splół też dla niego coś w rodzaju przepaski biodrowej, całkowicie wystarczającej, aby chronić jego skromność. Pozostawił szatoskórę tam, gdzie leżała.

Za paprociami, które osłaniały jego altanę, wznosiło się zbocze, niewysokie, najwyżej dwa czy trzy razy większe od jego wzrostu, grubo wyściełane różnymi gatunkami mchu. Jakiś epifit piął się po zboczu, wbijając się w nie sękatymi, zdrewniałymi szponami. Wokół rozpościerały się jego korzenie, tak delikatne i cienkie, że przypominały peruki zwisające z wieszaków. Jacen zanurzył dłonie w mchu i pociągnął, żeby sprawdzić, czy uniesie jego ciężar. Może uda mu się wspiąć na górę i trochę rozejrzeć. Mech jednak pozostał mu w palcach, ociekając purpurowym sokiem, który pachniał jak herbata i plamił mu palce.

A powierzchnia, po której chciał się wspiąć...

Nawet popękana, splamiona sokami nieznanymi roślin, powierzchnia zbocza nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do swojego pochodzenia: zbudowana była z tego samego materiału, co cały jego świat.

Durabeton.

To, co widział przed sobą, nie było zboczem. Było murem.

- Och, nie... - Odstąpił, bezradnie opuszczając dłonie wzdłuż boków. Wydawało mu się, że koszmar znów go dopada; miał trudności z oddychaniem. - Och, nie... to niemożliwe...

Ruszył wzdłuż muru, skręcając w lewo, gdzie przez palisadę z paproci prześwitywał kawałek czystego nieba. Rozsunął paprocie, przeszedł przez nie...

U jego stóp rozpościerał się obcy świat.

Stał na wąskiej półce, o krok od stromego zbocza, które opadało o ponad kilometr w dół, tonąc w oślepiąco kolorowej dżungli paproci podobnych do tych, które otaczały jego altanę. Plamy jaskrawego szkarłatu przechodziły w karmazyn, łącząc się z innymi, lśniąc czarnymi lub niebieskimi jak iskry, a wszystko było pocięte smugami lśniącymi jak rzeki drogocennych metali. Wszystko też było w ruchu: przesuwało się, falowało, przechodziło przez całe widmo tęczy i z powrotem, bo wszystkie liście, witki, gałązki i pnącza poruszały się w powiewach wiatru,

którego on sam nie czuł. Gdzieś w dole śmigwały latające stworzenia, polując tuż nad baldachimem lasu, zbyt daleko, by jego oczy nienawykłe do tak wielkich przestrzeni - mogły dostrzec jakiegokolwiek szczegóły.

Dżungla pokrywała krajobraz zbyt przypadkowy, zbyt nierówny, zbyt świeży, aby był rzeczywisty; doliny były bezdennymi przepaściami, pogrążonymi we mgle. Przecinały je ostre jak brzytwa grzbiety górskie, łączące się i znów rozwidlające, przeplecione jedne przez drugie bez prawidłowości, którą mogłaby stworzyć normalna geologia. Daleko na horyzoncie wznosiły się olbrzymie szczyty, ostre turnie, płaskie zbocza i iglice, jakby nigdy nie tknął ich erozją żaden deszcz ani wiatr. Niektóre z nich miały zbocza zbyt strome, żeby mogła się na nich utrzymać bodaj natrętna dżungla mchów i paproci. Tam, gdzie skalne kości wyzierały spod poszycia, Jacen rozróżniał dziwnie regularne kształty: prostokąty, kwadraty, rząd za rzędem, symetryczne i równe zarówno w pionie, jak i w poziomie. Zmrużył oczy i zmarszczył brwi: ten układ był zbyt regularny, aby można go było przypisać naturze, zbyt matematycznie dokładny. Gdzieś, kiedyś już widział coś takiego...

W zadumie podniósł wzrok w górę... i zapomniał o wszystkim innym, bo po raz pierwszy ujrzał Most.

Oszalająca rzeka barw tryskała z ostrego jak brzytwa, spiczastego łuku na odległym horyzoncie i przecinała niebo. Jacen podążał za nią wzrokiem, aż musiał odchylić głowę wysoko, wysoko, jeszcze wyżej. Kaskady lazuru i szkarłatu, srebra i zieleni splatały się w nieprawdopodobnie skomplikowaną, oślepiająco jaskrawą tęczę wypełniającą jedną trzecią nieba, zanim znów zwiężała się w ostry jak nóż łuk, by zginąć wreszcie w purpurowym niebie nad przeciwległym horyzontem.

Jacen wiedział, co to takiego: kilka światów Nowej Republiki też miało pierścienie. Wiedział też, że żaden ze znanych mu pierścieni nie przypominał tego, który miał przed oczami. Byłby przecież sławny, znany, legendarny. Tylko dzięki niemu ten świat stałby się znany w całej galaktyce jako atrakcja turystyczna. A jeśli był tak żywy, tak ogromny... nawet teraz, kiedy jego kolory z pewnością bladły przy świetle dnia i purpurze nieba, jak on musi wyglądać po zmierzchu? Ledwie mógł to sobie wyobrazić.

Przyglądając mu się nagle zrozumiał coś, co go zawsze zastanawiało w Yuuzhanach. Wśród prymitywnych ludów na niektórych planetach często się zdarzało, że ich pierścienie uważano za magiczne mosty budowane przez bogów; nawet Jacen, doskonale świadom praw

fizyki, które kryły się za tym, co widział, na ten widok odczuwał przejmujący, delikatny dreszcz lęku i zachwytu. Potrafił sobie doskonale wyobrazić, co to znaczy żyć i rozwijać się pod takim niebem: dla nich ten Most mógł być jedynie dziełem sił wyższych. Trudno było wątpić w istnienie bogów, kiedy nad głową wisiała od zawsze i po wsze czasy autostrada do ich boskiego domu - w tak oczywisty sposób magiczna, że każde stworzenie mogłoby powędrować po jej łuku wokół planety i nigdy nie dotrzeć do kresu. Łatwo było wyobrazić sobie bogów przechadzających się po swoim moście, spoglądających w dół, na stworzony przez siebie świat...

Bogowie są tak blisko, na wyciągnięcie ręki...

Jeśli świat pełen jest gwałtu, dzikości i tortur, z pewnością dzieje się to za ich zgodą i przyzwoleniem.

- Cudowne, prawda?

Głos Vergere dochodził zza jego ramienia, choć nie słyszał, kiedy podeszła. Był zbyt głęboko pogrążony w zadumie i nowym zrozumieniu, by go to zaskoczyło. I tak czuł przez skórę, że zaraz się pojawi. Czuł jej cień nad sobą przez cały okres tysiącletniego snu.

Wiedział, że wciąż jeszcze Vergere stanowi część jego życia.

- Wiesz co? - mruknął, wciąż spoglądając w niebo. - Właśnie te same słowa wypowiedziałaś, kiedy przyprowadziłaś mnie do Szkółki. Te same słowa. Tak po prostu.

- Naprawdę? - Jej śmiech rozdzwonił się jak dzwoneczki szczęścia. - Pamiętasz wszystko, co do ciebie mówię?

- Każde słowo - odparł posępnie.

- Jakie mądre dziecko. Nic dziwnego, że tak cię kocham!

Jacem powoli, ostrożnie przysiadł na skraju półki, opuszczając nogi w dół i pozwalając im dyndać swobodnie kilometr ponad skłębioną dżunglą.

- Zdaje się, że byłem niezłe poturbowany. Naprawdę pokiereszowany - dodał, kładąc dłoń na bandażach, które podtrzymywały mu zebra. - Połatałaś mnie, pewnie za pomocą tych twoich łez.

- Tak.

Skinął głową: nie w podziękowaniu, po prostu na znak, że dotarło.

- Nie przypuszczałem, że przeżyję.

- Jasne, że nie. Jak mógłbyś przeżyć i osiągnąć to, co osiągnąłeś? - zapytała łagodnie. - Znalazłeś w sobie moc, pochodzącą z działania bez nadziei... i bez lęku. Byłam... jestem z ciebie

bardzo dumna.

Jacen spojrział jej w oczy. W ich ciemnej, lśniącej powierzchni widział własne zniekształcone odbicie.

- Dumna? A ci wszyscy ludzie, którzy zginęli z mojego powodu?

- A wszyscy ci, którzy dzięki tobie żyją? - zaprotestowała, wpadając mu w słowo. Pokrótce opowiedziała mu, jak mistrzowie przemian zostali zmuszeni do przekazania dhuryamowi kontroli nad nasieniem-statkiem, który zaczął się rozpadać na osobne nasiona tak szybko, że nie było czasu, aby opanować rozszalałych niewolników. Dhuryam wykorzystał ich ziarna niewolnicze, aby odprowadzić ich w bezpieczne miejsce, a tym samym wypełnił swoją część umowy z Jacenem.

- Tak, wielu zginęło w walce, ale tysiące niewolników zdołało się na nasionach przedostać na powierzchnię planety: ci sami niewolnicy, którzy mieli być zabici w kulminacyjnym momencie tizo'pil Yun'tchilat. Byłeś cudowny, Jacenie Solo. Prawdziwy bohater.

- Nie czuję się jak bohater.

- Nie? - Grzebień Vergere załśnił pomarańczowo. - A jak się czuje bohater?

Jacen odwrócił wzrok, w milczeniu kręcąc głową. Usiadła obok, spuszczać nogi w przepaść i majtając nimi bezmyślnie, jak dziewczynka siedząca na zbyt wysokim krześle.

Po dłuższej chwili Jacen westchnął, znów pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Według mnie bohaterowie czują się zadowoleni, że czegoś dokonali.

- A ty nie? Jakies parę tysięcy niewolników mogłoby się z tobą nie zgodzić.

- Nie rozumiesz. - W pamięci wciąż jeszcze miał ciało na plaży wyspy-ula: tego, który mógł być niewolnikiem, a może wojownikiem, ale wykrwawił się na śmierć, leżąc obok mistrza przemian, niemającego zielonego pojęcia o walce. Mistrza przemian, który myślał tylko o jednym - aby zasłonić własnym ciałem małe dhuryamy przed maszyną do zabijania, którą stał się Jacen.

- Tam, w Szkółce - wyznał cicho - kiedy zacząłem zabijać, nie chciałem się zatrzymać. To musi być... tak mi się przynajmniej wydaje, że tak właśnie człowiek się czuje, przechodząc na Ciemną Stronę. W ogóle nie chciałem przestać...

- Ale przestałeś.

- To dlatego, że mnie powstrzymałaś.

- A kto cię teraz powstrzymuje?

Wytrzeszczył oczy.

Podsunęła mu pod nos rozpostartą, czteropalczystą dłoń, jakby częstowała go cukierkiem.

- Chcesz zabijać? Wokół ciebie życie aż kipi, Jacenie Solo. Bierz je, jeśli chcesz. Nawet moje. Moja rasa ma bardzo delikatną szyję; wystarczy tylko chwycić głowę w dłonie i jednym szybkim skrętem poderwała głowę do góry, jakby ktoś uderzył ją w szczękę - zaspokoić swoje mroczne pragnienie.

- Nie chcę cię zabijać, Vergere. - Skulił się w sobie, jakby przeszedł go dreszcz i oparł łokcie na udach. - Nie chcę zabijać nikogo. Przeciwnie. Jestem ci wdzięczny. Ocaliłaś mnie, kiedy straciłem nad sobą kontrolę.

- Nieprawda - odparła ostro. - Nie tłumacz się.

- Co?

- "Straciłem kontrolę" oznacza w istocie: "Nie chcę się przyznać, że jestem zdolny do czegoś takiego". To zwykłe kłamstwo.

Uśmiechnął się do niej półgębkiem.

- Wszystko, co ci mówię, jest kłamstwem.

Przyjęła jego ironię lekkim skinieniem głowy.

- Lecz wszystko to, co mówisz sobie, powinno być prawdą... lub powinno być możliwie jak najbliższe prawdy. Zrobiłeś to, co zrobiłeś, ponieważ jesteś tym, kim jesteś. Samokontrola lub jej brak nie ma z tym nic wspólnego.

- Samokontrola jest podstawą. Podstawą podstaw. Na tym polega bycie Jedi.

Odwrócił wzrok. Samo wspomnienie tego, co uczynił, rozpało w jego piersi maleńką iskierkę, która natychmiast rozgorzała w ogromny płomień, pożerający serce. Wbił palce w mech porastający półkę i zacisnął je w pięść, wrywając dwie potężne kępy. Właściwie prawie chciał, żeby ten mech okazał się jej szyją, ale wiele lat treningu Jedi dobrze uzbroiło go przeciwko wściekłości. Otworzył dłonie i pozwolił, aby strzępki mchu opadły na dno wąwozu, zabierając jego gniew ze sobą

- Bycie Jedi to nie tylko korzystanie z Mocy - mówił dalej już mocniejszym głosem; czuł, że stoi na pewnym gruncie. - Jest to zobowiązanie, że pewne rzeczy będzie się robiło w ten, a nie inny sposób... i pewne sprawy będzie się pojmowało tak, a nie inaczej. Chodzi o szacunek

dla życia, nie zaś o niszczenie go.

- Podobnie jak w ogrodnictwie.

Zwiesił głowę, przytłoczony wspomnieniami.

- Ale ja nie próbowałem nikogo ratować. Pewnie, tak się zaczęło... tak to planowałem... ale zanim do mnie dołączyłaś na wyspie-ulu, ratowanie istnień było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem. Marzyłem tylko o wielkiej palce, którą mógłbym wytłuc Yuuzhan w całej galaktyce. Chciałem ich skrzywdzić.

Zamrugła.

- A to źle?

- Dla mnie tak. To Ciemna Strona. To definicja Ciemnej Strony. I właśnie przed tym mnie ocaliłaś.

- Ocaliłam twoje życie, Jacenie Solo. To wszystko. Twoje normy etyczne to twoja własna sprawa.

Jacen pokręcił głową. Już sama historia jego rodziny świadczyła dobitnie, że Ciemna Strona dotyczy wszystkich, ale nie zamierzał w tej chwili o tym dyskutować.

- Nic nie rozumiesz.

- Może i nie - zgodziła się radośnie. - Chcesz mi chyba powiedzieć, że nieważne, co robisz, ważne jest natomiast, dlaczego.

- Wcale nie o to...

- Nie? No to powiedz mi, Jacenie Solo: gdybyś kontynuował realizację twojego szlachetnego planu uwolnienia niewolników tak, jakby to uczynił prawdziwy Jedi, co zrobiłbyś inaczej? No, co na przykład? A może tylko inaczej byś się po tym wszystkim czuł?

Jacen zmarszczył brwi.

- Wiesz... nie całkiem o to mi chodziło...

- Czy zabicie dhuryamów w szlachetnym celu sprawi, że będą choć trochę mniej martwe? Czy sądzisz, że dla tych zabitych dhuryamów ma znaczenie, czy zabiłeś ich w szale wściekłości, czy spokojnie, z zimną rozważą, na jaką stać tylko Jedi?

- Dla mnie to ma znaczenie - z mocą stwierdził Jacen.

- Ach, rozumiem. Możesz zrobić, cokolwiek zechcesz, jak długo zachowasz swój spokój Jedi? Jak długo możesz sobie powiedzieć, że cenisz życie? Możesz zabijać, zabijać i zabijać, i zabijać, byle tylko nie stracić spokoju? - Pokręciła głowę, mrugając ze zdumieniem. Czy to nie

jest trochę... chore?

- Żadne z twoich pytań nie wnosi nic nowego, Vergere. Jedi zadawali je sobie od czasu upadku Imperium.

- I jeszcze dłużej. Wierz mi.

- Nie mamy dobrej odpowiedzi.

- I nigdy jej nie będziesz miał, Jacenie Solo. - Pochyliła się, kładąc mu dłoń na ramieniu. Jej dotyk był ciepły i przyjazny, ale w oczach widać było nieskończoną przestrzeń. - Lecz ty sam możesz być odpowiedzią.

Zmarszczył czoło.

- Nie ma to wielkiego sensu.

Bezradnie rozłożyła dłonie w geście kapitulacji.

- A co ma?

- Och, dobrze, niech ci będzie - westchnął. - Sam się nad tym zastanawiałem.

- Rozejrzyj się wokół - zaproponowała. - Spójrz na ten świat, na wzory i kolory lasu paproci, na surowe piękno krajobrazu, na smugi barw nad naszymi głowami. Czy to nie jest piękne?

- Nigdy niczego podobnego nie widziałem - przyznał szczerze.

- To chyba stanowi pewien sens samo w sobie, prawda?

- Tak. Rzeczywiście. Nieraz, kiedy spoglądam w gwiazdy lub na dziki krajobraz, mam wrażenie, że to wszystko ma sens... nie, raczej, tak jak to ty powiedziałaś, że jest sensem samym w sobie. Tak, jak jest samo w sobie przyczyną.

- Wiesz, co widzę, kiedy patrzę na ten świat? Widzę ciebie.

Jaceni zesztywniał.

- Mnie?

- To, co widzisz wokół siebie, jest efektem twojego gniewu, Jacenie Solo. Ty to sprawiłeś.

- To idiotyczne.

- Skradłeś mistrzom przemian statku decyzję tizo'pil Yun'tchilat. Ty wybrałeś dhuryama, który stał się pzhkic Yuuzhan'tar al'tirna Mózgiem Świata. Zniszczyłeś jego rywali. Dałeś mu absolutną władzę nad planetą. Ta planeta przybrała taki kształt, jaki widział twój przyjaciel-dhuryam, zgodny z jego wizją i osobowością - a jego osobowość została

ukształtowana przez twoją przyjaźń. Całe to piękno w swoim obecnym kształcie jest twoim dziełem.

Pokręcił głową.

- Ja tego nie planowałem.

- Ale właśnie to zrobiłeś. Myślałam, że już to ustaliliśmy: dlaczego to zrobiłeś, to wyłącznie sprawa Jedi.

- Ale... ależ ty wszystko potrafisz przekręcić! - mruknął. - Sprawiasz, że wszystko staje się dwa razy bardziej skomplikowane, niż jest w istocie.

- Przeciwnie, staram się wszystko uprościć. To, co widzisz wokół, Jacenie Solo, jest odbiciem ciebie samego: sztuczny twór Nowej Republiki, przerobiony przez Yuuzhan na coś zupełnie nowego, piękniejszego niż wszystko, co do tej pory istniało w galaktyce.

- Co masz na myśli mówiąc o sztucznym tworze? - Ogarnęło go dziwne uczucie, takie, jakie po raz pierwszy ścisnęło mu żołądek, kiedy pod warstwą mchu natrafił na durabeton. - Gdzie my jesteśmy?

- Yuuzhan'tar - odparła. - Nie rozumiesz tego?

- Nie, nie o to mi chodzi. Jak się ten świat nazywał wcześniej?

Westchnęła.

- Patrzysz, ale nie widzisz. Wiesz, ale nie dopuszczasz do siebie tej wiedzy. Spójrz, a znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie.

Ze zmarszczonym czołem spojrział na rozciągający się u ich stóp las paproci, gdzie zachodzące słońce rysowało wydłużone cienie gór. Latających stworzeń było coraz więcej; krążyły w zmierzchu, zataczając coraz wyższe kręgi, jakby w poszukiwaniu nocnych owadów. Skrzydła miały szerokie, skórzaste, ciała długie, wysmukłe, zakończone giętkim gadzim ogonem.

Nagle jeden z nich zatoczył krąg tuż przed Jacenem i pomknął w ciemniejące niebo. Teraz nie mógł już nawet udawać, że nie wie, co to takiego.

Jastrzębionietoperze.

- Och - wyszeptał.

Te dziwne, regularne wzory na odległej górze - teraz już wiedział, co to takiego. A niemożliwie skomplikowana topografia dżungli także nabrała sensu.

- Och nie, nie... - jęknął słabnącym głosem.

Te wzory to okna. Góry były budynkami. Miał przed sobą koszmarną karykaturę Yavina

Cztery - półki i kotliny były zwałowiskami gruzu, porośniętymi dziwną, obcą roślinnością. I było ich znacznie więcej, nie tylko jeden stary kompleks świątyni znajdujący się na księżycu gazowego giganta. Jacen patrzył na panoramę ogromnego miasta, pokrywającego całą planetę, obróconego w perzynę i porośniętego dżunglą.

A on tylko mógł wykrztusić: "Och".

Jacen siedział wciąż na porośniętej mchem półce nad dżunglą, choć Yuuzhan'Tar dawno już odwróciła się od słońca. Zapadła noc, otulając wszystko czernią, przez którą śmigały błyski bioluminescencji, przeszywając ciemny baldachim zygzakami błękitu, zieleni i jaskrawej żółci. Most wydawał się dziwnie bliski, nienaturalnie jasny, jakby dało się wyciągnąć dłoń, chwycić i zawisnąć na jednej ze splątanych barwnych wstęg. One zresztą też migotały, przemieszczały się i zmieniały, w miarę jak pojedyncze fragmenty orbitalnego pierścienia obracały się według własnego porządku. Most rozświetlał nocny krajobraz miękkim, rozproszonym światłem, jaśniejszym niż najjaśniejsza ze wszystkich koniunkcji czterech księżyców Coruscant. Najpiękniejsze miejsce, jakie Jacenowi zdarzyło się oglądać.

Nienawidził go.

Nienawidził każdej jego cząstki.

Nawet zamykanie oczu niewiele pomagało, ponieważ sama świadomość istnienia tego świata za powiekami sprawiała, że chłopiec trząsał się z wściekłości. Najchętniej spaliłby całą planetę.

W głębi serca wiedział, że cała ta wojna jakoś nigdy nie wydawała mu się zbyt realna, a już szczególnie od czasu Serpidala. Podświadomie cały czas wierzył, w tajemnicy nawet przed sobą samym, że kiedyś wszystko znów będzie dobrze... że wróci do dawnego, ustalonego porządku. Że śmierć Chewbaccy to jakieś okropne nieporozumienie. Że Jaina nigdy nie przejdzie na Ciemną Stronę. Że małżeństwo jego rodziców wciąż jest niezachwiane. Że wujek Luke zawsze pojawi się na czas i wszyscy będą się śmiać z tego, jak bardzo się bali...

Że Anakin, którego śmierć widział na własne oczy, był... do licha, czy to ważne? Jakimś klonem albo czymś podobnym. Albo odpowiednio ucharakteryzowanym robotem. Że prawdziwy Anakin siedzi sobie gdzieś na drugiej stronie galaktyki - może nawet razem z Chewbaccą - i pewnego dnia obaj znajdą drogę do domu i wrócą, a wtedy cała rodzina znów będzie razem.

Dlatego właśnie tak bardzo nienawidził świata, który się przed nim rozpościerał.

Bo on dowodził, że już nigdy nie będzie domu.

Nawet gdyby Nowa Republika jakimś całkiem niemożliwym cudem zdołała odwrócić bieg wydarzeń; gdyby ten cud faktycznie się zdarzył i gdyby odbili Coruscant - to, co odbiją, nigdy nie będzie już tą samą planetą, którą stracili.

Yuuzhanie przyszli i już nigdy nie odejdą.

Nawet gdyby Jacen znalazł pałkę, na tyle wielką, żeby wyrzucić całą tę znenawidzoną rasę daleko poza galaktykę, nic nigdy nie zatrze blizn, jakie po sobie zostawili.

Nic nigdy nie uzdrowi jego złamanego serca.

Nic nie jest w stanie na powrót uczynić z niego tego Jacena Solo, którego wciąż pamiętał: wesołego, nierozsądnego Jacena, ścigającego Zekka przez podziemne korytarze, próbującego jeszcze raz zmusić Tenel Ka do uśmiechu; ucznia Jedi, urodzonego, by władać Mocą, lecz wciąż pełnego zachwyty i podziwu - nie tylko dla legendy wujka Luke'a, także dla siły, którą potrafił w sobie odnaleźć pod wpływem jego nauki. Smarkacza, który kulił się pod surowym spojrzeniem matki, wymieniając jednocześnie łobuzerskie mrugnięcia z ojcem i siostrą za jej plecami.

Spędziłem tyle czasu marząc, żeby stać się dorosłym, myślał. Usiłując dorosnąć. Usiłując działać jak dorosły... A teraz chciałbym znowu być dzieckiem. Przez jedną krótką chwilę. Przez jeden dzień.

Przez godzinę.

Pomyślał z goryczą, że proces dorastania polega głównie na obserwowaniu, jak wszystko się zmienia, i odkrywaniu, że te zmiany są trwałe. Że nic nie wraca do stanu początkowego.

Że już nie możesz wrócić do domu.

Obce piękno Yuuzhan'tar szeptało mu do ucha to, czego nie chciał słyszeć: "Nic nie trwa wiecznie. Jediną niezmienną stałą jest śmierć".

W zadumie przesiedział prawie całą noc.

W jakiś czas później - sądząc z obrotu gwiazd, drwiąco znajomych konstelacji nad boleśnie obcym horyzontem, kilka godzin przemknęło obok i całkiem niezauważenie - podniósł głowę i spytał:

- I co teraz?

- Sama też się nad tym zastanawiałam - dobiegł go z ciemności altanki pośród paproci głos Vergere. Choć od zmierzchu nie zamienili z sobą ani słowa, był jasny, dźwięczny i świeży jak zawsze.

Jacen pokręcił głową.

- Czy ty nigdy nie śpisz?

- Może zasnę, kiedy i ty się zdrzemniesz.

Skinął głową. Nauczył się już, że nie ma co liczyć na inną odpowiedź. Podciągnął nogi na półkę i otoczył kolana ramionami.

- Co dalej?

- Ty mi powiedz.

- Dość tej gry, Vergere. Koniec. I koniec z bajeczkami o cieniówkach, dobrze?

- Czy to, co się stało, rzeczywiście jest dla ciebie taką tajemnicą?

- Nie jestem idiotą. Szkolisz mnie. - Machnął ręką z irytacją, jakby odrzucając od siebie coś wstrętnego. - Od samego początku mnie szkoliłaś. Nauczyłem się więcej sztuczek niż jaszczurka małpa. Nie wiem tylko, czego właściwie chcesz mnie nauczyć.

- Możesz robić wszystko... albo nic, jak chcesz. Czy nie rozumiesz, jaka jest różnica pomiędzy szkoleniem a nauczaniem? Pomiędzy uczeniem się czegoś a przyjmowaniem wiedzy?

- Znowu wracamy do cieniówki.

- A może wolisz inną bajkę?

- Ja tylko chciałbym się dowiedzieć, o co ci właściwie chodzi. Czego ode mnie chcesz? Muszę wiedzieć, czego mam oczekiwać.

- Niczego od ciebie nie chcę. Chcę tylko czegoś dla ciebie. "Oczekiwanie" rozprasza. Skoncentruj się na "tu i teraz".

- A nie możesz po prostu wyjaśnić, czego próbujesz mnie nauczyć?

- Czy chodzi o to, czego naucza nauczyciel? - Sama ciemność zdawała się uśmiechać. - Czy może o to, czego uczy się uczeń?

Pamiętał, kiedy zadała mu to pytanie po raz pierwszy. Był wtedy zdruzgotany bólem. Przypomniał sobie, jak doprowadziła go do takiego stanu ducha, że mógł sam siebie uzdrowić: jak zrosnięta kość, stał się silniejszy w miejscu złamania.

Powoli skinął głową, bardziej do siebie niż do niej. Wstał i podszedł do pokrytej mchem leżanki, która była pogrążona w cieniu rzuconym przez strzaskane ściany i zasłonę łagodnie

falujących paproci. Podniósł starannie złożoną szataskórę i przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami i wciągnął ją przez głowę.

- Ile czasu minie, zanim pojawią się tu Yuuzhanie?

- Rozejrzyj się. Oni już tu są.

- Chodzi mi o to, co się ma zdarzyć. Jak długo możemy tu pozostać?

- To zależy - dobiegł z mroku łagodny śmieszek. - Chce ci się pić?

- Nie rozumiem.

- Powiedziano mi, że ludzka istota może przeżyć trzy standardowe dni bez wody... no, może cztery albo pięć, jeśli będzie się bardzo starać. Czy okażę się zbyt śmiała, jeśli zasugeruję, żebyśmy poszukali czegoś do picia, zanim będziesz zbyt słaby, żeby się ruszyć?

Jacen wytrzeszczył oczy w mrok.

- Do mnie mówisz?

- Spójrz tylko na to.

Z ciemności wyfrunął nagle blady, nieregularny obiekt wielkości połowy pięści Jacena. Zatoczył łagodny łuk. Jacen pochwycił go instynktownie.

W jasnym świetle rzucanym przez Most stwierdził, że przedmiot ma chropowatą, guzowatą powierzchnię, jak kiepsko wyszlifowany kawałek wapienia. Miał też kilka spłaszczonych wyrostków, pokrytych czarną, ciastowatą substancją. Mogły to być ślady po odłamanych częściach. Cały wydawał się żółtawy, jak stara kość, ale wszystkie zakamarki i szczeliny wypełniała ciemna, krucha, brunatna masa.

Krew. Zaschnięta krew.

- Co to jest? - Poczuł, że gardło ściska mu twarda, bezlitosna pięść. Już wiedział.

Ziarno niewolnika. Dojrzałe ziarno niewolnika.

Jego ziarno.

Dlatego nic go nie bolało.

Mógł je wyrzucić w przepaść, śmignąć nim w dżunglę paproci kilometr dalej. Mógł położyć je na twardym kamieniu i zgnieść kawałkiem durabetonu. Zmiażdżyć na proszek. Powinien go nienawidzić.

Ale tak nie było.

Przyglądał mu się z rozpaczą, zdumiony pustką, którą czuł w sobie i rozpacziwą świadomością straty.

Bez namysłu podciągnął szatoskórę, zdarł taśmy krępujące mu pierś i spojrział. W miejscu, gdzie Vergere dźgnęła go kilka tygodni temu, teraz znajdowała się blizna, mniej więcej długości palca, jasnoróżowa od świeżo zagojonej skóry: musiała użyć łoż, żeby go uleczyć. Prawie jak bacta.

Stwierdził, że musi usiąść. Opadł na ziemię z ciężkim westchnieniem, jak przeciążona łapa lądowicza.

- Wycięłaś je ze mnie...

- Tak, kiedy spałeś. Byłeś dość długo nieprzytomny. - Vergere ostrożnie wyłoniła się z ciemności i przycupnęła obok niego. - Nic ci nie jest?

- N... nie - pokręcił tępo głową. - Chyba powinienem ci podziękować.

- Nie chciałeś, żebym je wyjęła?

- Oczywiście, że... to znaczy... no tak. Po prostu... no, sam nie wiem. - Podniósł ostrożnie ziarno do łagodnego światła. - Ono nie żyje, prawda?

Vergere poważnie skinęła głową.

- Kiedy ziarno niewolnika rozprzestrzeni swoje macki wewnątrz systemu nerwowego nosiciela, przestaje być niezależnym organizmem. To tutaj umarło w minutę po wyjęciu.

- Taaak... - Jacen zniżył głos do szeptu. - Czuję... sam nie wiem... Nienawidziłem go. Chciałem je z siebie wyrzucić. Chciałem, żeby umarło, ale... wiesz, dopóki było we mnie, czyniło mnie częścią czegoś. Tak jak w Szkółce. W czasie walki prawie wydawało mi się, że znów mam Moc. A teraz...

- Czujesz się pusty - podsunęła. - Czujesz się sam. Samotny. Prawie przerażony, ale też silny, prawda?

- Skąd...? - wytrzeszczył oczy.

- Znam nazwę tego uczucia - odparła z łagodnym uśmiechem. To wolność.

- Też mi wolność - prychnął.

- A jak miałbyś się czuć? Jesteś wolny, Jacenie Solo. To samotność, to pustka, to przerażenie. Ale i siła.

- I ty to nazywasz wolnością? Pewnie, jestem wolny... na zrujnowanej planecie zajętej przez wroga. Bez przyjaciół, bez statku, bez broni. - Nawet bez ziarna niewolnika. Ta myśl przyszła sama, nieproszona. Spojrział w górę, na przepyszne barwy Mostu. - I co ja mam zrobić z tą wolnością?

Vergere przysiadła w kociej pozycji, z wszystkimi czterema kończynami podwiniętymi pod siebie.

- No i bardzo dobrze - rzekła wreszcie. - Może warto by się zastanowić nad tym pytaniem?

- Aha... - oddech uwiązał mu w gardle. - Więc to miałaś na myśli? Kiedy mnie zapytałaś, co dalej?

- Jesteś wolny - powtórzyła. - Możesz iść, dokąd zechcesz. Robić, co zechcesz. Być, kim zechcesz.

- A co ty będziesz robić?

Uśmiechnęła się leciutko.

- To, co zechcę.

- Więc mogę sobie pójść? Tak po prostu? Odejść? Robić, co zechcę... i nikt mnie nie powstrzyma?

- Tego ci nie mogę obiecać.

- Więc skąd mam wiedzieć, co mogę robić?

- No, no - uśmiechnęła się szerzej i zmrużyła oczy. - Wracamy do epistemologii?

Jacen opuścił głowę. Jeśli nawet kiedykolwiek lubił słowne igraszki, dawno stracił do nich serce.

Siedząc tak obok Vergere, lekko przytulonej do jego boku, zdał sobie sprawę, że ta półka, umieszczona wysoko na ścianie zrujnowanego budynku, jest w gruncie rzeczy pewną odmianą Objęć Cierpienia. Mógł tu siedzieć i użalać się nad sobą, aż zapleśnieje... albo zacząć coś robić.

Ale co?

Nic nie miało tutaj znaczenia. Na tej zrujnowanej planecie wszystkie kierunki wydawały się dobre. Nie mógł wymyślić nic użytecznego... gdziekolwiek by się zwrócił i cokolwiek zrobił, nie przyniesie to pożytku nikomu, oprócz niego samego.

Z drugiej strony - kto powiedział, że musi być użyteczny?

Tu, na tej półce, stwierdził nagle, że wciąż jeszcze jest jedno miejsce, które coś dla niego znaczy.

Wstał.

Vergere otworzyła oczy.

Rozsunął paprocie, pogrążając się w mroku nocy i podszedł do omszałej ściany. Ruszył wzdłuż niej, zaczynając od najdalszego rogu, i palcami zdarł z niej długi pas mchu. Pod spodem był czarny durabeton. Obejrzał się przez ramię na Vergere, która przyglądała mu się w milczeniu zza zasłony paproci.

Wzruszył ramionami, zawrócił do rogu i zaczął robić to samo wzdłuż drugiej ściany.

Po trzech krokach od rogu jego palce natrafiły na pionową szczelinę, prostą jak laser, obramowaną metalową taśmą. Pod szczeliną ściana była już z durastali. Jacen macał przez chwilę na wysokości pasa, aż natrafił na ręczny mechanizm zwalniający zamek. Obrócił go, pchnął i durastalowe drzwi otwarły się z posępnym zgrzytem.

- Co robisz?

Nie odpowiedział.

Za drzwiami był śmierdzący stęchlizną korytarz, oświetlony tylko mdłym światłem rzucanym przez fosforyzującą rzęsę. Podłogę pokrywała dziurawa, przeżarta przez insekty wykładzina dywanowa. Minęło wiele lat, odkąd wraz z Jainą, Lowiem, Tenel Ka i Zekkiem włączyli się po dolnych poziomach, ale ten odór znał doskonale. Wzdłuż korytarza zauważył ponumerowane drzwi - był to widocznie jeden z bloków mieszkalnych na średnim poziomie. W drugim końcu holu widać było łukowate wyjście na schody awaryjne.

Jacen skinął głową i ruszył w kierunku schodów, nie oglądając się na Vergere.

- Dokąd idziesz? - Jej głos rozbudził stare echa.

Nie był jej winien odpowiedzi. W milczeniu zaczął schodzić. Ściany klatki schodowej wykonano z zamglonego od starości, przezroczystego fibroplastu, wzmocnionego metalową siatką. Przez pajęczynę rys, pęknięć i drutów daleko w dole spostrzegł pasaż, znikający w pustej, pokrytej czarnymi plamami ścianie sąsiedniego budynku.

W połowie pierwszej kondygnacji przystanął z westchnieniem.

- Idziesz czy nie?

- Jasne. - Vergere natychmiast zameldowała się na szczycie schodów, uśmiechając się radośnie w świetle Mostu. - Czekałam tylko, aż mnie poprosisz.

R O Z D Z I A Ł 7 KRATER

- I to ma być Jacen Solo? - Mistrz przemian Ch'Gang Hool z nieukrywaną zgrozą patrzył na obraz w worku z galareta optyczną, należącym do skarłałego wideopajaka. Pęk długich, delikatnych czułek wszczepiony w kącik jego warg zadrgał, zwinął się, po czym kręte macki zaczęły nerwowo, obsesyjnie podszczypywać ogromny, promienisty kołpak mistrza. - To... to jest Jacen Solo z Duro? Zabójca królowej voxynów? Ten Jeedai, którego poszukiwał Tsavong Lah?

- Właśnie.

- Czy to ten sam Jeedai, który rozpętał bunt niewolników, w którym zginęły setki przedstawicieli naszej kasty? Bunt niewolników, który rozlał wstrętne szumowiny niewiernych po mojej dziewiczej planecie?

- Twojej planecie, mistrzu?

- Przemiana tego świata jest dla mnie zaszczytem i obowiązkiem! - warknął Ch'Gang Hool. - Dopóki nie ukończę mojej pracy, każda żywa istota w tym układzie gwiazdnym jest posłuszna mojej woli... nawet flota! Nawet Mózg Świata! Jeśli zechcę nazwać tę planetę swoją, kto śmie mi się sprzeciwić? Kto? Ty?

- Och, nie, nie ja. - Długi palec wskazujący zakończony zgiętym szponem poślaskotał guzek kontrolny karłowatego wideopajaka, powiększając obraz Jacena Solo tak, że twarz młodego Jedi wypełniała teraz cały worek optyczny. - Jeśli chcesz czyjś sprzeciwu, proponuję zwrócić się do niego.

- Jakim cudem on tu w ogóle jest? Jakim sposobem przeżył? Od zasiewu minęły całe tygodnie! I co, ten niebezpieczny Jeedai przez cały czas hasał sobie na wolności? Gdzie on się ukrywał? Dlaczego nikt mnie o tym nie poinformował?

Egzekutor Nom Anor, usadowiony z drugiej strony wideopajaka, wyszczerzył ostre zęby w niewzruszonym uśmiechu.

- Mistrz wojenny rozkazuje, abyś zmobilizował wszystkie dostępne ci środki w celu pojmania go.

- Rozkazy, doprawdy! - Kołpak Ch'Ganga Hoola zjeżył się agresywnie. - Dopóki nie przyjdzie i nie obejmie tego świata we władanie, ja jestem tu najwyższą władzą! On może sobie rozkazywać!

- No cóż, jeśli chcesz, nazwijmy to sugestią. - Nom Anor pochylił się do przodu, rozkładając dłonie... wcielony przyjazny głos rozsądku. - Jednak, jak sam mówisz, jesteś

odpowiedzialny za przemianę Yuuzhan'tar. Oficjalnie zwracam ci zatem uwagę, że na powierzchni planety pozostaje wciąż na wolności wyjątkowo niebezpieczny Jedi; Jedi, który w pojedynkę... jak to powiedziałeś?... aha, znalazł się o cież od zniszczenia nasienia-statku. - Nom Anor rozsiadł się wygodnie w żywym fotelu, rozkoszując się falowaniem mięśni, kiedy zwierzę dostosowywało swój kształt do jego nowej pozycji. Doprawdy, ci mistrzowie przemian znali swój fach... jak na jego gust, aż za dobrze. Może właśnie dlatego podkreślenie tego tutaj sprawiało mu taką przyjemność. - Jak sobie poradzisz z tym oczywistym i bezpośrednim zagrożeniem, to, oczywiście, wyłącznie twoja sprawa.

Ch'Gang Hool skrzywił się niemiłosiernie.

- Do tej pory nie udało mi się jeszcze usłyszeć rozsądnego wyjaśnienia, w jaki sposób ten niebezpieczny Jeedai znalazł się na nasieniu-statku...

- Wszystkie pytania kieruj do mistrza wojennego - lekceważąco odparł Nom Anor. - Jestem pewien, że z radością poświęci swój czas wolny od walki, aby odpowiedzieć na twoje najbliższe, najgłębsze obawy...

- Czy to błahostka, że Jeedai, który zabił waszą królową voxynów, znajduje się na wolności na naszej planecie? - Ch'Gang Hool podsunął Egzekutorowi pod nos ośmiopalczystą pięść mistrza. - Czy to głupio się niepokoić, że w nasze szeregi przedarł się ten jedyny i największy wróg całej naszej rasy?

- Mówiąc tak między tobą, mną a wideopajakiem - uprzejmie odparł Nom Anor - błahostką jest nieustanne marudzenie o wyimaginowanej obrazie twojego autorytetu. Głupie są domysły, jak Jacen Solo mógł się tam znaleźć; znacznie bardziej powinno cię martwić to, co właśnie w tej chwili robi...

Rosnące ciśnienie krwi sprawiło, że twarz mistrza załapała się ciemnym błękitem.

- Gdzie on jest? Wiesz, prawda?

- Oczywiście. - Nom Anor znów olśnił go błyskiem ostrych jak szpilki zębów. - Czekałem tylko, kiedy zapytasz.

Coś było nie w porządku z tym kraterem.

Jacen zmarszczył brwi, przyłgął do podłoża i wycofał się wzdłuż wrębu na ścianie krateru. Vergere stała o kilka kroków dalej. Zatrzymała się natychmiast, skoro tylko się zorientowała, że nie idzie za nią. Spojrzała pytająco.

- Mam złe przeczucia - wyjaśnił, kręcąc głową.

Zewnętrzne zbocze krateru było rumowiskiem pokrytym kawałkami konstrukcji czegoś, co prawdopodobnie było niegdyś biurami rządowymi; ten odcinek krawędzi stanowił niegdyś ścianę nośną o wysokości wielu kilometrów. Różnobarwne paprocie i mchy pokrywały go gęsto, rosnąc jak na zwykłej glebie, ale ich korzenie sięgały zbyt płytko, aby mocno związać gruz. Musieli poruszać się powoli. Vergere prowadziła. Jacen nie wiedział, czy przy kolejnym kroku nie trafi na luźny kawałek durabetonu, wywołując lawinę, albo czy nie spadnie wraz z deszczem kawałków płyt włókninowych do prawie nietkniętego pomieszczenia poniżej. Vergere nie wyjaśniła mu, jak znajdować najbezpieczniejszą drogę, ale Jacen przypuszczał, że ma to coś wspólnego z Mocą.

Ten uskok był kiedyś częścią podjazdu, może nawet stanowiskiem taksówek powietrznych. Tylko około trzech metrów ścian bocznych wytrzymało zniszczenie budynku. Jacen ukrył się w ich cieniu, tak aby nie widzieć wewnętrznego zbocza krateru, i przysiadł na kawałku gruzu wielkości śmigacza.

Ten krater...

Był tak wielki, że bez śladu mógłby pochłonąć gwiazdny niszczyciel. Tak wielki, że nasienie-statek mogłoby się w nim zgubić. Wydawał się opadać przez całą wieczność; jego wewnętrzne zbocze zakrzywiało się łagodnie w stronę dna, które ginęło za potężnym słupem dymu, sięgającym aż do płaskiego jak kowadło szczytu.

Chmura dymu była ciemniejsza w głębi krateru; lizała zbocza rozwidlonymi językami błyskawic. Gdzieś w dole przetaczał się grzmot, powietrze aż trzeszczało od ujemnej jonizacji.

Jacen z trudem przełknął ślinę.

- Mam złe przeczucia - powtórzył.

- I słusznie. - Vergere podbiegła do niego i usadowiła się na mchu obok. - Nie ma na tej planecie bardziej niebezpiecznego miejsca.

- Niebezpiecznego... - szepnął jak echo. - Skąd wiesz?

- Czuję to poprzez Moc. - Splotła palce i oparła na nich podbródek, uśmiechając się do niego. - Mam tylko jedno pytanie: skąd ty to wiesz?

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek, zmarszczył czoło i zwrócił twarz ku kraterowi. Fakt, skąd on wiedział? Siedział w cieniu ściany zrujnowanego podjazdu, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Długie tygodnie marszu zmieniły jego ciało w chudy, muskularny, stwardniały i spalony

słońcem kłębek mięśni. Włosy odrosły mu w nieporządnym lokach, a ostre ultrafioletowe promienie błękitnobiałego słońca rozjaśniły je na blond. Marna, swędząca bródka nastolatka stwardniała i porosła włosami ciemniejszymi niż na głowie. Z pewnością mógłby trafić na krem depilacyjny w jakiejś opuszczonej łazience albo nawet znaleźć brzytwę dość ostrą, żeby się nią ogolić, ale nie miał na to ochoty. Broda chroniła mu twarz od oparzeń słonecznych.

Gdyby chciał, mógłby też znaleźć sobie jakieś ubranie - nosił właśnie ciężkie buty, które zdobył w ten sposób - ale zwykle ubranie nie byłoby tak trwałe i tak użyteczne jak szatoskóra. W nocy ciepła, w dzień chłodna, oczyszczała się sama, nawet się zrastała, jeśli ją przypadkiem rozdarł. Pod spodem miał przepaskę biodrową, którą mu uplotła Vergere. Kiedy znalazł buty, oddał pasy szatoskóry i zrobił z nich sobie zawsze czyste i zawsze całe onuce.

Szatoskóra okazała się użyteczna również w innych przypadkach. Na grzbiecie nosił potężny plecak, również spleciony z jej pasów. Pasy zagoiły się i zrosły, tworząc żywy worek, który nigdy się nie darł i nie niszczył - podobnie jak mięśnie, zdawał się tym mocniejszy, im więcej go używał. Miał w nim tyle jedzenia, ile tylko mógł zmieścić. Zdarzyło się kiedyś, że przez trzy dni nie był w stanie sprokurować sobie żadnego posiłku; wyleczyło go to całkowicie z wiary we własne szczęście.

Żywność można było znaleźć bez trudu, jeśli się tylko ktoś postarał: głównie były to placki, konserwy z drożdży i cukru, suszone na zimno wafle proteinowe, które ludność z dolnych poziomów zawsze miała pod ręką. Może nie było to specjalnie smaczne, ale nigdy się nie psuło. W przeciwieństwie do czasów, kiedy planeta funkcjonowała jako Coruscant, teraz woda była dostępna w obfitości - nie było ani jednego dnia bez deszczu, a świeże kałuże nietrudno było znaleźć pośród gruzu i kamieni.

Nieraz wędrowali w głębokim cieniu dolnych poziomów, wspinając się po chwiejnych kładkach lub przemykając korytarzami śliskimi od śluzu granitowych ślimaków, jakby ta planeta wciąż była tą, na której się wychował. Nieraz dolne poziomy nieoczekiwanie otwierały się na ogromne, otwarte przestrzenie w miejscach, gdzie zapadły się najwyższe budynki. Tam, w głębokich wąwozach, rozkwitało nowe, obce życie, zmuszając ich do ostrożnego wyszukiwania drogi poprzez niebezpiecznie chaotyczne pola gruzu, porośnięte dziką vongoflorą.

Yuuzhanie zdołali najwyraźniej zmienić orbitę planety - słońce, niegdyś odległa, rozjarzona kuleczka, teraz miało wielkość paznokcia Jacena z odległości ramienia - lecz wydawało się, że obroty pozostawili nietknięte. Tak się przynajmniej Jacenowi zdawało; jego

własny rytm życiowy, ukształtowany w okresie, który spędził w Galaktycznym Mieście, wydawał się doskonale harmonizować z cyklem dnia i nocy Yuuzhan'Tar.

Vergere z przyjemnością pozostawiła Jacenowi troskę o tempo i kierunek podróży. Nigdy zresztą nie pytała, dokąd właściwie zmierzają. Jedli, kiedy Jacen był głodny, odpoczywali, kiedy to on poczuł się zmęczony. Jeśli nie odczuwał potrzeby ani snu, ani jedzenia, szli. Jeśli Vergere kiedykolwiek sypiała, Jacen nigdy tego nie widział. Wydawało się tylko, że od czasu do czasu zamyka się w sobie. Mogła pozostawać nieruchomo przez wiele godzin; zaledwie jednak chłopiec poruszył się lub odezwał, natychmiast reagowała, jakby nieustannie zachowywała czujność.

W plecaku miał prócz jedzenia kilka użytecznych przedmiotów, które zebrał po drodze: pręt żarowy, elektrolornetkę, garść baterii i wielki skarb: osobisty notatnik MDS. Był to antyczny model, seria 500, beznadziejnie przestarzały, a przy tym naładowany jakimiś grami edukacyjnymi, uproszczonym generatorem obrazów i innymi dziecięcymi zabawkami, ale miał jeden użyteczny program - interaktywną holomapę Coruscant.

Raz na kilka dni Jacen odszukiwał nienaruszony terminal PDD zazwyczaj zakopany głęboko na średnich poziomach na wpuł zrujnowanego budynku lub skryty pod kawałem załamanej ściany, a raz nawet zwisający na kablu nad skręconym stalowym chodnikiem, który prowadził w pustą przestrzeń, ponieważ budynek, znajdujący się po drugiej stronie, rozpadł się w pył. Terminale Publicznego Dostępu Danych zawsze były bardzo trwałe, zaprojektowane tak, aby zniosły jak najwięcej - w końcu musiały - a te, na które trafiał, najczęściej wciąż działały lub można je było łatwo uruchomić za pomocą baterii wygrzebanej z plecaka. Wtedy pobierał pozycję z PDD do funkcji JESTEŚ TUTAJ holomapy i wyznaczał trasę.

Co zrobi, kiedy dotrze na miejsce? Nie wiedział. Pewnie nie zostało tam nic, oprócz ogromnej sterty gruzu. Codziennie pokonywali kilka podobnych rumowisk. W ogóle nie wiedział, po co tam idzie. Nie miał planu, tylko cel.

Ale cel wystarczy.

Wyjął z plecaka elektrolornetkę i włączył. Coś go niepokoiło w vongoflorze porastającej krater. Nie wiedział, co się dzieje; nie mógł wiedzieć. Kilka tygodni spędzonych w Szkółce i kolejnych kilka na Yuuzhan'Tar nie zrobiło z niego eksperta.

Kiedy tylko mógł, starał się unikać kontaktu z vongoflorą. Większość jej przedstawicieli miała nieprzyjemne właściwości - na przykład pachnący herbatą płyn wyciekający z mchu, który

porastał durabeton, na trzy dni zmienił jego dłonie w masę ropnych pęcherzy. W ciągu kilku dni wędrówki stwierdził, że vongoflora ma swoje prawidłowości - rosła w dużych skupiskach, otoczonych pierścieniem nagiego gruzu. W centrum takiego skupiska najczęściej widywał ekogeneracyjne biomaszyny, które nasienie-statek rozrzuciło po całej planecie. Maszyny wyrzucały ze swojego wnętrza nasiona, przetrwalniki, a nawet żywe istoty.

Kiedyś razem z Vergere spędzili prawie cały dzień, obserwując setki nieznanymi zwierząt stadnych, powoli wynurzających się z ogromnej paszczy biomaszyny. Powolne, krowiaste sześcionogi mrugały z głupimi minami w obcym słońcu, instynktownie zbijając się w małe grupki. Dopiero po jakimś czasie, uspokojone, zaczęły szczypać roślinność. I wtedy też zaczęły rosnąć - Jacen zaobserwował, jak w ciągu jednego dnia osiągnęły pełną dojrzałość. Na każde pięćdziesiąt czy sto sześcionogów biomaszyna produkowała jednego drapieźnika - był to albo ogromny, dwunożny jaszczurowaty stwór o długich, zakończonych ostrymi szponami mackach zamiast zębów, albo grupa stadnych drapieźnych owadów, nie większych od gupina.

Czasem spotykali nawet Yuuzhan Vongów, nie tylko mistrzów przemian dbających o nową planetę, lecz również patrole wojowników, odwiedzające średnie poziomy. Uzbrojeni Yuuzhanie ze wstrętem przemykali obok maszyn, które musieli mijać. Przez jakiś czas Jacen zastanawiał się nawet, czy nie szukają właśnie jego, ale z czasem zaczął natrafiać na ślady świadczące, że nie byli jedynymi uciekinierami ukrywającymi się w ciemnych zakamarkach poniżej strefy zniszczenia: świeże ślady na kurzu, kryjówki niedawno napełnione żywnością, zręcznie ułożony gruz, ukrywający wewnątrz pomieszczenia. Trzy czy cztery razy uchwycił nawet kątem oka sylwetki ludzi, przemykających od cienia do cienia, zawsze tylko nocą, zawsze kryjąc się nawet przedświatłem Mostu. Mogli to być uchodźcy, pozostawieni i zapomniani w chaosie ewakuacji, lub mieszkańcy niższych poziomów, instynktownie unikający kontaktu z górnymi warstwami świata, albo też niewolnicy, zbiegli z nasienia-statku. Tego Jacen nie wiedział i nie zamierzał sprawdzać. Wolał ich unikać, bo ściągali na siebie uwagę Yuuzhan Vongów.

Nie wiedział, czy Yuuzhanie potrzebują niewolników na swoim nowym świecie, czy może każdego napotkanego człowieka zabijają na miejscu. Tego też nie zamierzał sprawdzać.

Vongoflora, która przylegała do wewnętrznej krzywizny krateru, wyglądała inaczej niż wszystko, co do tej pory widział. Włączył zbliżenie w lornetce, przełączając poprawiony obraz pomiędzy szerokokątnym planem a zbliżeniami poszczególnych roślin. Liście miały plamiste,

dziwnego kształtu, bardzo rzadkie. Wszędzie, gdzie kierował lornetkę, widział prześwitujące spod roślin smugi durabetonu i kawały gruzu, jak gdyby vongoflora walczyła tutaj z wrogim środowiskiem. Mchy, wszędzie tak jaskrawo zabarwione, tutaj miały nieokreślone, szare, brunatne i brudnozielone odcienie, paprocie, które w innych miejscach tworzyły ogromne baldachimy, tutaj rosły niepewnie, wyciągając w różne strony zniekształcone, pokręcone i dziwnie pokrzywione liście o przyćmionych, jakby przykurzonych barwach.

Zmniejszył powiększenie i przesunął obiektywem wzdłuż pionowej wieży chmury burzowej, która wznosiła się z czeluści krateru. Jej szaroczarna podstawa wydawała się równie płaska, jak oślepiająco biały płaskowyż, a cała kolumna kręciła się i obracała, jakby nie całkiem pewna, czy nie przekształcić się w potężną burzę Coriolisa.

Wszystko to wyglądało dość groźnie, ale nie na tyle, by wytłumaczyć straszliwy lęk, jaki miazdżył mu pierś za każdym razem, kiedy bodaj pomyślał o zejściu w dół.

- Dobrze, poddaję się. Co jest z tym miejscem? Co sprawia, że jest tak niebezpieczne?

Vergere dotknęła ramienia chłopca, kierując w ten sposób jego uwagę na skupisko roślin, które wyglądały jak ozdobne krzewy iglaste - choć z zasięgu lornetki i wskaźnika azymutu mógł odczytać, że najmniejszy z tych krzewów miał jakieś dziesięć metrów. Na zboczu wokół kępy kręciła się grupka zwinnych, kopytnych gadów, które przeskakiwały z głazu na głaz, nerwowo skubiąc rzadkie mchy. W chwilę później znalazł przyczynę ich zdenerwowania - w kępie czaił się ogromny, dwunożny drapieźnik z pyskiem pełnym macek. Porwał jednego z gadów w potężne, zwinne przednie łapy, a ostro zakończone macki błyskawicznie pocięły ofiarę na niewielkie kawałki. Drapieźnik usiadł w świetle zachodzącego słońca, aby pożreć zdobycz. Reszta stada oddaliła się w popłochu.

- Oto dlaczego tu jest tak niebezpiecznie - szepnęła Vergere z lekkim, wyzywającym uśmiechem. - To miejsce pełne tego, co ty nazywasz Ciemną Stroną. Powiedziałabym nawet, że Ciemna Strona jest tu bardzo, bardzo silna, silniejsza niż gdziekolwiek indziej na tej planecie. Może najsilniejsza w całej galaktyce.

Jacen opuścił elektrolornetkę i zamrugał.

- To nie jest Ciemna Strona - sprzeciwił się. - Drapieźnik poluje, aby nakarmić siebie i rodzinę. To zgodne z naturą.

- A Ciemna Strona nie? Myślałam, że niebezpieczeństwem Ciemnej Strony jest właśnie to, że jest zgodna z naturą. Dlatego jest o tyle łatwiejsza od jasnej, prawda?

- No cóż, tak, ale...

- A to, co widziałeś, czy nie było przykładem Ciemnej Strony? Czy to nie są uczucia, których tak się boisz: agresja, gwałtowność, pasja?

- Wiesz, jak wyglądałby prawdziwy przejaw Ciemnej Strony? Drapieżnik pozabijałby całe stado dla czystej przyjemności. Dla radości zabijania.

- Sądzisz, że drapieżca nie czerpie radości z udanego zabójstwa?

Jacen raz jeszcze spojrział przez elektrolornetkę, obserwując przez chwilę, jak drapieżnik wydaje się dygotać z rozkoszy nad swoją kolacją. Nie odpowiedział.

- Zabić jedno zwierzę to naturalne, a zabić wszystkie to Ciemna Strona? - ciągnęła Vergere. - Gdzie jest granica pomiędzy naturą a Ciemną Stroną? Czy chodzi tylko o ilość? Kiedy by się zaczęła Ciemna Strona dla tego drapieżcy? Od połowy stada? Od ćwierci?

Znów opuścił lornetkę.

- Ciemna Strona jest wtedy, jeśli zabije więcej niż potrzebuje, aby nakarmić siebie i swoją rodzinę - zawołał, wyraźnie podniecony. - Tu jest granica. Zabijanie, kiedy nie potrzebujesz zabijać.

Vergere przechyliła głowę.

- A jak zdefiniujesz potrzebę? Czy mówimy o granicy śmierci głodowej, czy tylko o niedożywieniu? Czy to Ciemna Strona, jeśli zjedzą tylko połowę zabitego zwierzęcia? Czy drapieżnik przechodzi na Ciemną Stronę, jeśli jego rodzina ma lekką nadwagę?

- Nie o to chodzi...

- No to o co? Czy może wracamy do "dlaczego"? Czy intencja zawsze uświęca działanie? Czy nie będzie to Ciemna Strona, jeśli drapieżca zabije całe stado i pozwoli mu zgnić, chociaż sądził, że będzie ich potrzebował dla zaspokojenia głodu?

- To nie jest takie proste - upierał się Jacen. - I nie zawsze łatwo to opisać...

- Ale poznasz, kiedy już ją zobaczysz, co?

Z uporem opuścił głowę.

- Tak.

Vergere wycelowała palec w kierunku unurzanego w krwi ofiary drapieżnika.

- Tym razem ci się nie udało...

Odpowiedź Jacena przerwał grzmot tak potężny, jakby całe niebo zważyło się im na głowy.

Wrzasnął i przyłgął do ściany za plecami. W kraterze nad jego głową gruz przesuwiał się i opadał; lawina kawałów durabetonu i poskręcanych belek przesyłała się ponad górną krawędzią ściany i wylądowała centymetry od kolan Jacena. Kolejny huk przetoczył się po niebie, potem jeszcze jeden. Jacen obrócił się bokiem i zakrył głowę rękami, żeby osłonić się przed strumieniem szczątków. Rozległy się następne grzmoty, ale krater przestał dygotać i Jacen zaryzykował spojrzenie w górę.

- Co to takiego?

Vergere wskazała na bezgraniczną purpurę ponad łukiem Mostu.

- Tam.

- Nic nie widzę.

- Weź to - machnęła w kierunku zapomnianej lornetki, która zwisała mu z szyi.

Poderwał ją do oczu i skierował tam, gdzie mu kazała. Samoogniskujący się obiektyw wyostrzył obraz i chłopak zmełł w ustach jedno z brzydszych koreliańskich przekleństw, które słyszał od ojca. To nie były eksplozje. Gromy też nie.

Bomby soniczne.

Stateczki z koralu yorik, wielkości "Sokoła Millenium", krążyły wokół krateru, wywijając szerokie, zachodzące na siebie pętle, kreśląc niemożliwie skomplikowane rozety. Wszystkie pluły nieprzerwanie pękatymi, przypominającymi strąki obiektami o tej samej purpurowej barwie, co niebo.

Skorupa jednego ze strąków zaczęła się rozchyłać, niczym ithoriański gwiazdnik otwierający się ku słońcu, i eksplodowała splątanymi pękami bieli przypominającymi włókna jedwabiu. Jedwab rozwijał się szybko, nasiona unosiły się w powietrze, pędząc z wiatrem i powiewając długimi, długimi ogonami białych włókien. Jacen przekręcił kółko powiększenia i zogniskował lornetkę na jednym z tych obiektów. Nie było to zwykłe nasiono, ale yuuzhański wojownik.

Wkrótce białe, jedwabiste nici z cichym trzaskiem rozpostarły się w spadochron. Wszystkie strąki zakwitły nagle, rozsiewając po okrągłym tuzinie wojowników każdy - były ich setki... nie, tysiące...

- Nieźle - Jacen opuścił elektrolornetkę. - Chyba trafiliśmy na poligon ich piechoty lotniczej. Mogło być gorzej, nie? Mogliśmy się natknąć na artylerię.

- Jacen!

W głosie Vergere zabrzmiał twardy, zimny, mroczny ton, którego nie słyszał nigdy do tej pory. Znieruchomiał i zamienił się w słuch, jak zwierzę, które nagle wyczuje większego, szybszego przeciwnika.

- To nie jest poligon - wyjaśniła. - Szukają cię.

Jacen przełknął ślinę.

- Nie wracam - odezwał się chrapliwie. - Wystarczy mi Objąć Cierpienia na mniej więcej trzy życia...

- O, tego nie musisz się obawiać - odparła niedbale, odzyskując zwykłą wesołość i pogodę ducha. Wyprostowała się i na jej ustach pojawił się całkiem ludzki uśmiech. - Twoje cierpienie to dla nich żaden interes, Jacenie Solo. To wojska głównego mistrza przemian. Jeśli cię dopadną, zabiją. Prosto i szybko. Na miejscu.

Spojrzał jeszcze raz w niebo, tym razem gołym okiem. Ledwie mógł dostrzec tysiące, dziesiątki tysięcy malutkich, purpurowych plamek.

- I to wszystko, to wszystko na mnie? - wyszeptał.

- Teraz masz pierwszą okazję, żeby się przekonać, jaki jesteś ważny.

Spokojnie popatrzył jej w oczy.

- Cóż, przynajmniej komuś się tak wydaje. Masz jakieś pomysły?

Vergere skinęła głową i jeszcze raz spojrzała w niebo.

- Wydaje się, że z krateru ciągnie się w górę. Może to ma coś wspólnego z tą dziwną burzą. Wydmuchuje wojowników w górę, w kierunku krateru i dalej.

- No to co?

- To znaczy, że jeśli chcesz im uciec, jest tylko jedna droga, którą możesz pójść.

Znów wyprostowała palec w kierunku krateru.

- W dół.

R O Z D Z I A Ł 8 W M R O K

Nad ich głowami jarzyły się błyskawice; gromy waliły w dno krateru tak mocno, że grunt dygotał pod nogami. Jacen dygocząc wcisnął się w splekany kąt, który niegdyś był wnętrzem eleganckiej łazienki. Lodowaty deszcz spływał mu po plecach, grad wbijał się w skórę.

Zacisnął szczęki, żeby nie powybijać sobie zębów.

Nadchodzili Yuuzhanie.

Gromady wojowników zaczęły przelewać się przez krawędź krateru, zanim Jacen i Vergere zdolali dotrzeć bodaj do połowy wewnętrznego zbocza. Wojownicy odważnie przeskakiwali z głazu na głaz i zsuwali się po rumowisku, szybko ich doganiając. Jacen nie mógł posuwać się z taką prędkością. W służbie Prawdziwych Bogów obrażenia lub kalectwo - czy nawet śmierć - to najpiękniejsza perspektywa wojownika.

Nie wiedział, jak długo tu siedzi, dygocząc w lodowatym deszczu. Vergere kazała mu czekać; powiedziała, że zaraz znajdzie drogę ucieczki, tylko musi poszukać, więc będzie poruszała się szybciej. Nie powiedziała ani słowa na temat zaufania, nie prosiła go o nic, a jednak Jacen jej ufał.

Czy zresztą miał wybór?

Och, jasne, pewnie. Jestem wolny, pomyślał kwaśno. Też mi wolność.

Deszcz, grad, kłuszący, lodowaty wiatr były okropne. Ale czekanie było jeszcze gorsze.

A co najgorsze, czuł, jak krąg Yuuzhan powoli się zacieśnia.

W jego piersi było puste miejsce: kawałek wolnej przestrzeni, gdzie jeszcze niedawno spoczywało ziarno niewolnika. Jeśli zmienił rytm oddechu, zamknął oczy i pomyślał o tej pustce... jeśli skierował uwagę na próżnię, którą miał w sobie... coś sprawiało, że postrzegał życie z innego punktu widzenia. Nie potrafił określić tego uczucia. Nie miał słów, aby je nazwać poprawnie. Ziarno niewolnika wśliznęło się swoimi wiciami we wszystkie zakątki jego ciała, wplotło się w system nerwowy tak dokładnie, że w jakiś sposób te wici stały się nieodłączną częścią tego, czym był... lecz jednocześnie wibrowały życiem całkiem obcym dla tej galaktyki.

Czuł, że Yuuzhanie kłębią się na zboczach krateru; czuł, jak przedzierają się przez szalejącą burzę. Wyczuwał skwierczenie obcych hormonów stresu przebiegających przez obce żyły. Rozpoznał nawet krótki oddech jednego z wojowników, który wśliznął się w ślepy zaułek w nadziei, że tam znajdzie uciekiniera Jedi. Czuł czarną wściekłość innego, który wspominał śmierć swych kamratów w Szkółce; serce Jacena rozbrzmiewało echem żądzy zemsty innego. Przeniknął go wstrząsający, mdlący ból-nie-ból, który przeszył mu łydkę, kiedy jeden z Yuuzhan pośliznął się na nieprzyjaznym gruncie i złamał nogę; współczuł frustracji wojownika, któremu kazali zostać z tyłu i opatrzeć zgruchotaną kostkę jakiegoś niezgrabnego brenzlita, zamiast pozwolić mu ruszyć naprzód, polować i zabijać. Czuł ich wszystkich, co do jednego.

Tak jakby był nimi wszystkimi, a wszyscy oni byli nim. Jednocześnie.

I jeszcze więcej: czuł miazdzenie delikatnych listków pod twardymi, rozgrzanymi buciarami. Dzielił prymitywną rozpacz mchu, kiedy pół walczącej o życie kolonii zdarto ze złamanego skrzydła drzwi, gdy potknął się o nie jakiś niezdara. Czuł ślepe przerażenie małej rodziniki podobnych do ssaków zwierząt, kurczących się w swoich norkach, kiedy tupot tyłu biegnących stóp wprawiał ziemię w drgania.

Jacen przyjmował uczucia wojowników, otwierając się na ich emocje, na ich wrażenia. Już nie było mu zimno. Metabolizm Yuuzhan był szybszy i dający więcej ciepła niż ludzki, zmieniając lodowaty deszcz w odświeżająco chłodny prysznic. Ukłucia gradu były dziwnie, boleśnie upajające, jak drapanie rozpalonej wysypki. I już się nie bał.

Nigdy nie bał się umrzeć. Strach przed śmiercią pozostawił na światostatku nad Myrkrem - ale w sercu rozszalałej burzy jego ciało dygotało, kurcząc się pod wyimaginowanymi ciosami amphistaffów, napinało się, aby przyjmować ciosy fantomów żuków udarowych i był to biologiczny odruch, który nie miał nic wspólnego z odwagą. Za to teraz...

Teraz czuł jedynie rosnącą i rozpierającą go drapieżną radość, kiedy jakiś wojownik podniósł amphistaffa i ruszył w kierunku małej, białej ubranej sylwetki ludzkiej, dygoczącej u zbiegu dwóch zburzonych ścian. Dopiero kiedy poprzez zasłonę deszczu ujrzał ogromny kształt wyłaniający się tuż przed nim, Jacen zorientował się, że ten mały człowieczek w białej szacie, który zaraz zginie, to on sam.

Błyskawica rozświetliła niebo. Jacen wykręcił się i amphistaff tylko przejechał mu po żebrach, zagłębiając się w durabetonowej ścianie za jego plecami. W głębokiej ciemności, która zapanowała po rozbłysku, zrzucił plecak z ramion i chwycił za jeden jego pasek. Zanim wojownik zdołał uwolnić broń, Jacen oburącz zakręcił plecakiem i walnął piętnastoma kilogramami puszek i sprzętu w twarz wojownika. Ten zachwiał się i cofnął, a Jacen skoczył, zamachnął się raz jeszcze i wylądował, podcinając mu nogi.

Zawinął teraz plecakiem nad głową, aby wbić wojownika w ziemię, ale ten podniósł ostrze i sparował, przecinając plecak na pół. Posypały się batony proteinowe i puszki syntmleka; ostrze przecięło gładko na pół elektrolornetkę i wypatroszyło elektroniczne wnętrza notatnika, który eksplodował pękiem błękitnych iskier. Napięcie wspięło się po mokrym amphistaffie i sparzyło dłonie napastnika.

Wojownik wykrztusił gardłowe przekleństwo i odruchowo potrząsnął dłońmi. Dymiący

amphistaff upadł na ziemię pomiędzy nimi. Jacen skrzywił się, kiedy jego dłonie przeniknął ból, paralizując na chwilę ramiona - ale to nie był jego własny ból.

Był to ból oparzeń wojownika.

Kiedy wróg spróbował zaatakować go bez broni, Jacen bez trudu odparł atak, przesuwając się lekko. Spiczasty but minął go o centymetr. Wojownik pośliznął się, złapał równowagę, okręcił się na pięcie i wycelował solidny lewy prosty w kierunku skroni Jacena. Chłopiec odchylił głowę i pięść tylko zmierzwiła mu włosy.

- Jeśli nie przestaniesz - ostrzegł Jacen - będę musiał zrobić krzywdę nam obu.

Wojownik warknął i zaczął wywijać pięściami. Jacen odbił pierwszy cios w bok, drugi odparował otwartą dłonią, po czym ruszył naprzód, unosząc zgięte ramię. Pięść wojownika z wielką siłą walnęła w jego łokieć. Yuuzhanin zawył z bólu w zgruchotanych palcach i ogień obcego cierpienia rozgorzał również w ramieniu Jacena: odłamki kości przebijające oparzenia elektryczne trzeciego stopnia.

- Mogę to robić przez cały dzień - dodał. I rzeczywiście mógł: wojownik jakby był częścią jego własnego ciała. Nie potrafił nie odeprzeć ataku, tak samo jak nie mógł nie trafić jedną ręką do drugiej w ciemności. Będzie czuł każdy zadany ból - ale co z tego? W końcu to tylko ból.

A reszta...

Rozluźnił mięśnie; poruszał się teraz lekko i szybko, kontrując każdy atak tak łatwo, czysto, bezbłędnie i przewidywalnie jak wtedy, kiedy ćwiczył tysiące razy, kiedy trenował z Jainą, a więź Mocy i szkolenie Jedi uczyniły z nich praktycznie jedną osobę. Kilku wojowników obserwowało tę walkę-taniec; pierwsze żuki zaczęły świstać w powietrzu i Jacen czuł, że właściwie powinien przeprosić, kiedy zwodem zbił wojownika z nóg, złapał go za ramię i rzucił pod nogi kolejnym napastnikom. Żuki uderzyły w niego jak młoty. Zbroja z kraba vonduun uratowała mu życie, ale przeniosła wstrząs elektrostatyczny tak silny, że zdmuchnęła jego świadomość jak wyłączony pręt żarowy.

Jacen też to poczuł: mgnienie ciemności, które nim zachwiało.

Kiedy znów przejrzał na oczy, trzech wojownicy zapędzili go w ślepy kąt.

Wiedział, że zaraz zaatakują, ale niewiele to pomogło. Żadna żywa istota nie byłaby dość szybka, by zrobić unik. Wojownicy cięli bronią w jego kierunku; amphistaffy rozwinęły się z odgłosem strzału z bicz. Żadne ostrze nawet go nie dotknęło.

A przecież ani drgnął.

Guzkom nerwowym, które wszystkim amphistaffom służyły za mózgi, Jacen nagle objawił się jako mały, niepokojąco zniekształcony, ale niewątpliwy polip amphistaffa; niezliczone tysiąclecia doboru naturalnego doskonale nauczyły amphistaffy, że polipów się nie atakuje.

No, to mi się udało, pomyślał Jacen. Ale jeśli je rzucą i skoczą na mnie z gołymi rękami, to jestem ugotowany.

Wolał sam zaatakować.

Zrobił trzy kroki, tyle tylko, żeby nabrać rozpędu w kierunku napastnika z lewej, i skoczył w powietrze. Instynktowna reakcja wojownika - podniesienie amphistaffa i nadzianie Jacena jak na rożen - wcale go nie ocaliła, ponieważ amphistaff zmiękł i opadł w jego dłoniach, a Yuuzhanin mógł tylko rozdziawić usta ze zdumienia, kiedy Jacen uderzył go stopami w pierś i rozpląszczył na ziemi, jakby go przejechał śmigacz.

Jacen wylądował w biegu i ani myślał oglądać się za siebie.

Ruszyli za nim jak głodne gundarki. Pędził na ślepo poprzez burzę, ślizgając się i potykając z głową wciśniętą w ramiona. Kierował się jedynie uczuciem w piersi - gnał tam, gdzie nie czuł Yuuzhan. Wiedziało, że już go zauważyli, czuło ich narastające wściekłość i zwierzęcy gład krwi ze wszystkich stron. Łowcy dostrzegli jego sylwetkę, białą jak duch w strumieniach deszczu i gradu. Jacen dzielił każdy przeblask czystej radości, kiedy zlokalizowali go w błękitnym świetle błyskawicy. Ściagały go chmury żuków, odbijając kawałki ścian, zrywając płaty ociekającego deszczem mchu. Ze wszystkich stron dobiegały go krzyki, chrapliwe, prawie bez samogłosek; na pół stłumione przez deszcz, zagłuszane grzmotem. Nie znał tego języka, ale rozumiał znaczenie.

Otoczyli go i właśnie zacieśniali krąg.

A to już byłby dobry moment na wejście Vergere, pomyślał.

Jakby wezwana ta myślą, niewidzialna dłoń wynurzyła się z mroku i pchnęła go w bok, zmieniając szalony pęd na osłep w skośny lot. Zanim zdołał odzyskać równowagę, niewidzialny sznur spętał mu kostki i rzucił go z hukiem o ziemię...

...która zapadła się pod nim z tępym traskiem przegniłych płyt włókninowych. Jacen spadł głową w dół z czterech metrów na mokrą kamienną podłogę i uderzył w nią jak worek. Leżał tak przez chwilę, na wpół ogłuszony, walcząc o oddech, który uderzenie wypchnęło mu z

płuc, i obserwując konstelacje, które wirowały mu wokół głowy, ale jakoś nie rozświetlały otaczającego go mroku.

Kawałek ściany odsunął się w bok, odsłaniając kolejne pomieszczenie, oświetlone oszczędnie lampami żarowymi. Jaśniejszy prostokąt zarysował w drzwiach drobną, ptasią sylwetkę.

- Jacenie Solo, wystarczy już tego chodzenia po deszczu.

Spojrzał w górę, na dziurę w suficie dokładnie na swoją miarę, pozwalając, aby lodowaty deszcz zgasił w jego głowie wirujące gwiazdy.

- Vergere?

- Tak.

Czuł dezorientację łowców na górze. Dla nich po prostu znikł.

- Eee... dzięki. Chyba...

- Proszę bardzo.

- Ale...

- Tak?

Powoli dźwignął się na nogi. Chyba nie miał nic złamanego, ale całe ciało go bolało.

- Mogłaś krzyknąć choćby: "Hej, Jacen, tutaj!"

Jej głowa przechyliła się leciutko, grzebień zdawał się świecić głębokim, przydymionym oranżem. Wyciągnęła dłoń w jego kierunku.

- Hej, Jacen - powiedziała. - Tutaj!

Jeszcze raz spojrzał w górę, na gęste, czarne, chłostane błyskawicami chmury i ruszył.

W głąb planety, w głąb ciemności.

Biegł...

Martwe kule żarowe, migające pokoje, puste i sterylne. Jedynym śladem życia były spłaszczone tapety liści, wspinające się po mozaikowych płytkach ścian; twarde stuk butów na kamieniu, ostry oddech drapiący pełne kurzu gardło, wargi i zęby pokryte piachem.

Biegł.

Pot palił oczy Jacena, zamieniając plecy Vergere w jasną plamę. Biegła jak strzała, skręcała za załomy, schylała się w niskich przejściach, zbiegała po schodach, wskakiwała do opuszczonych turbowind, żeby ześliznąć się po poręczy, a on z desperacją podążał za nią.

Coraz dalej w głąb planety. Coraz dalej w ciemność...

Biegł.

Otwarta pustka w głębi jego piersi wyparowała gdzieś po drodze... już nie wyczuwał Yuuzhan Vongów. Biegł na oślep, coraz mocniej się zataczając, dysząc, gubiąc Vergere i odnajdując ją znowu. Po chwili już tylko się zataczał, nie wiedząc, czy Yuuzhanie ich ścigają, czy ich doganiają, a może okrążają od przodu. Wyobrażenia zaludniła korytarze za jego plecami groźnymi, niezmordowanymi biegaczami, ale gdyby spojrzął za siebie, straciłby Vergere na zawsze.

Ogniste sztylety przesywały mu płuca z każdym oddechem. Postrzępione, czarne plamy tańczyły przed oczami, rosły, łączyły się, kręciły - aż wreszcie urosły i wchłonęły go całego.

Głęboko, w ciemność...

Obudził się na podłodze. Usiadł, czując, że po policzkach spływa mu ciepły deszcz. Dłoń jednej ręki była prawie odarta ze skóry. Ciepła kropla dotknęła jego warg i wtedy poczuł smak krwi.

Vergere przycupnęła opodal, na pół oświetlona bladym światłem pojedynczej kuli żarowej, palącej się gdzieś daleko w korytarzu. Obserwowała go z kocią cierpliwością.

- Dopóki twoja głowa nie stanie się tak twarda jak te płyty chodnikowe, lepiej, żebyś nie próbował ich nią rozbijać - stwierdziła.

- Ja... - Jacen przymknął oczy. Ponowne ich otwarcie kosztowało go niemało wysiłku. W głowie huczało mu, jakby spotkały się tam wszystkie gromy szalejącej nad nim burzy. Korytarz wirował naokoło, ciemność wciskała mu się w mózg.

- Nie mogę... złapać... tchu...

- Nie?

- Nie... nie mogę już dalej, Vergere... Nie mogę... czerpać z Mocy jak ty... Nie mogę... odzyskać sił.

- Dlaczego nie?

- Wiesz, dlaczego! - Czarna złość wezbrała w jego sercu, krew zawrzała w głowie, aż zerwał się na nogi. W dwóch krokach znalazł się nad nią.

- Ty mi to zrobiłaś! Mam dość twoich pytań... dość twojego szkolenia...

Poderwał ją na nogi, uniósł w powietrze i przysunął tak blisko swojej twarzy, jakby chciał jej odgryźć głowę.

- A co najważniejsze - warknął niskim, morderczym głosem mam dość ciebie!

- Jacenie... - Głos Vergere brzmiał dziwnie, jakby zdławiony. Ramiona zwisły jej bezwładnie po bokach.

Jacen zorientował się nagle, że ma dłonie zaciśnięte na gardle Vergere.

Jej głos przeszedł w zamierający syk.

- Ten... ssssskręt...

“Moja rasa ma szczególnie delikatną szyję...”

Dłonie rozwarły mu się jak sprężyny; odskoczył w tył o krok, potem następny i następny, aż oparł się plecami o wilgotną, kamienną ścianę. Zakrył twarz rękami, rozsmarował krew z dłoni na twarzy, a pot z twarzy zaczął palić odartą z ciała dłoń. Pierś mu falowała, ale nie mógł oddychać... jeszcze mu się nie udało normalnie zaczerpnąć tchu. Siły ulotniły się wraz z gniewem, kolana zmieniły się w watę, a on sam osunął się po ścianie, zaciskając powieki zakrwawionymi palcami.

- Co... - wymamrotał, ale nie potrafił dokończyć: “Co się ze mną dzieje?”

Głos Vergere był słodki jak pocałunek.

- Powiedziałaś ci już, Ciemna Strona jest tu bardzo, bardzo mocna...

- Ciemna Strona? - Jacen podniósł głowę. Ręce mu drżały, więc szybko splótł je razem i zaciśnął między kolanami. - Ja... Vergere, przepraszam!

- Za co?

- Chciałem cię zabić! Prawie mi się udało...

- Ale tego nie zrobiłeś.

Wstrząsały nim niekontrolowane drgawki. Zaśmiał się krótko.

- Trzeba było mnie zostawić. Chyba mniej powinienem się bać Yuuzhan niż Ciemnej Strony...

- Naprawdę?

- Yuuzhanie mogą mnie najwyżej zabić. Za to Ciemna Strona...

- Dlaczego boisz się jej aż tak bardzo...?

Odwrócił twarz.

- Mój dziadek był Lordem Sithów.

- Sithów?

Obejrzał się i stwierdził, że Vergere przygląda mu się z niekłamanym zdumieniem. Przechyliła głowę najpierw na jeden bok, potem na drugi, jakby się spodziewała, że pod innym

kątem będzie wyglądał inaczej.

- Myślałam - wyraziła się ostrożnie - że jesteś potomkiem krwi Skywalkerów.

- Bo jestem. - Otoczył się ramionami, aby powstrzymać drżenie. Dlaczego nie może odetchnąć normalnie? - Moim dziadkiem był Anakin Skywalker. Stał się Darthem Vaderem, ostatnim Lordem Sithów...

- Anakin... - Jakby zapadła się w sobie. Nie kryła zdumienia, zaskoczenia, szoku... i wyraźnie widocznego, choć niezrozumiałego smutku. - Mały Anakin? Lordem Sithów? Och... och... czy nie mogło być inaczej...? Co za tragedia...! Jaka szkoda...!

Jacen gapił się na nią z otwartymi ustami.

- Mówisz, jakbyś go znała...

Pokręciła głową.

- Raczej wiedziałam o nim. Taki obiecujący chłopak... Wiesz, kiedyś go spotkałam, nie dalej niż o pięćset metrów w górę od miejsca, gdzie teraz siedzimy? Nie mógł mieć więcej niż dwanaście, może trzynaście standardowych lat... Miał w sobie tyle... tyle życia. Płonął...

- Co... co Darth Va... to znaczy mój dziadek, robił na Coruscant? A co ty robiłaś na Coruscant? Pięćset metrów nad nami? Co to za miejsce?

- Nie wiesz? A więc i to przypało? - Wstała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu się podnieść. Dotknęła najbliższej ściany, przesuując palcami po zawiłych wzorach na mokrym, prostokątnym bloku, który odsunął się powoli, odsłaniając pograżony w mroku kolejny pokój.

- Tędy. - Pokój odpowiedział Vergere posępnym echem, jakby mówiła we wnętrzu bębna. Jej spojrzenie znów było spokojne i pozbawione wyrazu, jak kamień na ścianach. Bezgranicznie zdumiony Jacen wszedł za nią w ciemność.

- To była nasza strażnica, nasza forteca, z której czuwaliśmy nad mrokiem - rzekła. Wejście zwięzło się do cienkiej smugi światła, po czym znikło. - To była Świątynia Jedi.

- Tu...? - Nabozny lęk ścisnął mu serce. Zachwiał się w ciemnościach... musiał najpierw odetchnąć chrapliwie, żeby przemówić. Ty... jesteś Jedi!

- Nie. Nie jestem. Sithem też nie.

- Więc kim?

- Jestem Vergere, a ty?

W ciemności jej głos zdawał się dochodzić zewsząd jednocześnie. Odwrócił się, szukając jej na oślep.

- Dość mam gierek, Vergere.
- Nigdy z tobą nie igrałam, Jacenie Solo.
- Powiedz mi prawdę.
- Mówię ci samą prawdę.

Wydawało się, że jest bardzo blisko; Jacen sięgnął ku niej w mroku.

- A myślałem, że wszystko, co mi mówisz, to kłamstwo...
- Tak. I prawda.
- A co to za prawda?
- A czy jest więcej niż jedna? Po co w ogóle pytasz? Nie znajdziesz jej we mnie.

Tym razem jej głos dochodził z tyłu. Okręcił się i wyciągnął dłonie, ale nie znalazł nic, co mógłby chwycić.

- Koniec gry - powtórzył.
- Nie istnieje nic, co nie byłoby grą. Poważną grą, oczywiście, odwieczną grą. Śmiercionośną grą. Grą tak poważną, że można ją rozegrać jedynie w radosnym zapomnieniu.
- Ale mówiłaś...
- Tak. To nigdy nie była gra. I była nią zawsze. Albo tak, albo tak... albo i tak, i tak.

Lepiej zagraj, jeśli chcesz wygrać...

- Jak mogę grać, skoro nawet nie znam zasad.
- Nie ma zasad.

Szelest stóp po prawej - Jacen w milczeniu ruszył w tamtym kierunku.

- Ale ta gra ma nazwę - odezwała się z przeciwnej strony pokoju. - Rozgrywamy ją od dawna, od czasu Myrkra. Gramy w grę "Kim jest Jacen Solo".

Z tęsknotą przypomniał sobie o pręcie żarowym, straconym razem z plecakiem w kraterze. Myślał o pręcie żarowym, o jasnym złocistym świetle tryskającym z jego dłoni i nagle zatęsknił za swoim mieczem świetlnym; za czystym zielonym blaskiem, wypełniającym pomieszczenie... rozcinającym mrok, rozjaśniającym wszystko. Dłonie zapiekły go nagłym pragnieniem, by potrzymać go jeszcze raz. Budując ten miecz świetlny, zbudował sobie tożsamość. Zbudował sobie los.

Zbudował samego siebie.

- Jeśli to gra - powiedział - mogę ją zaraz zakończyć. Wiem, kim jestem, Vergere. Nieważne, co ze mną zrobisz. Nieważne, na jakie jeszcze mnie skążesz tortury. Mogę nigdy

więcej nie dotknąć Mocy. To nie ma znaczenia. I tak wiem.

- Wiesz?

- Tak - odrzekł stanowczo w ciemność. - Jestem Jedi.

Długie, długie milczenie. Wydało mu się, że cały pokój głęboko, powoli nabiera tchu.

- Naprawdę? - Głos Vergere brzmiał smutkiem. Rozczarowaniem. Melancholijną rezygnacją w obliczu losu. - No to gra skończona.

- Jesteś pewna? - spytał ostrożnie. - Skończona?

- Tak - westchnęła. - Przegrałeś.

Pokój rozjarzył się światłem. Po tak długim czasie spędzonym w ciemności Jacen miał wrażenie, że ktoś wbił mu w mózg promień słońca. Skulił się, osłaniając oczy podniesionym ramieniem. Powoli jednak wzrok mu wracał. Pokój był większy niż sądził - sufit wysoki co najmniej na dziesięć metrów, ściany ozdobione tymi samymi kwiatowymi mozaikami, oświetlone jaskrawym blaskiem kul żarowych wielkości kokpitu "Sokoła", zwisających na potrójnych łańcuchach z zaśniedziałego brązu i łagodnie kołyszących się nad podłogą...

I był pełen Yuuzhan.

Jacen obejrzał się na Vergere. Stała poza kręgiem wojowników, poufale blisko niewysokiego osobnika ubranego w długą, luźną czarną szataskórę.

Rozmawiali, lecz Jacen nie mógł ich słyszeć. W uszach miał szum jak od pożaru lasu. Yuuzhanin przemówił znowu, ostrzejszym głosem, ale Jacen nie zrozumiał. Nie mógł zrozumieć. I wcale nie musiał.

Widział go już kiedyś.

Widział go na Duro, z mieczem świetlnym Leii za pasem. Widział go na światostatku nad Myrkrem. Znał nawet jego imię i próbował je wymówić.

Usiłował coś powiedzieć, zanim jednak zdążył otworzyć usta...

Zalała go gorąca, czerwona fala i wraz z nim zatopiła świat.

Jacen nie próbował pływać w czerwonym morzu. Unosił się tylko na falach, dryfując, posłusznie kręcił się w wirach, spływał w dół razem z pianą. Czerwone morze cofnęło się, fale odpłynęły i udało mu się wychynąć na powierzchnię. Czerwień odpłynęła z jego głowy, pozostawiając go bez tchu na podłodze...

Bolały go dłonie.

Spojrzał na nie, ale prawie ich nie widział, albo też nie do końca potrafił zrozumieć to,

co widzi, bo wzrok jeszcze nie odzyskał ostrości. Opuścił prawą rękę na zimną jak lód mozaikę podłogi, nieco zdziwiony, że czerwony przyływ pozostawił ją tak lodowatą i suchą. W powietrzu wisiał smród spalonego mięsa, jakby ojciec znów próbował naprawić automat spożywczy. Ale tato nie mógł nic naprawiać. Bo tu przecież nie ma automatu spożywczego. I taty też tu nie mogło być... nigdy by się tu nie zjawił... a ten odór... Nic nie miało sensu. Jak się znalazł na podłodze? Co spowodowało ten kłęb dymu i pyłu? Nachylona ściana gruzu otaczała trzy czwarte komnaty... a skąd to się wzięło?

Nie umiał na nic udzielić odpowiedzi.

Podniósł lewą dłoń i zmarszczył brwi, żeby lepiej widzieć.

Kółko na środku dłoni, mniej więcej wielkości baterii - poczerniałe, popękane, spływało gęstą czarną krwią. Z pęknięć unosiły się smużki czarnego dymu.

Och, pomyślał. To chyba wyjaśnia, skąd ten smród.

- Jak... jak to jest, Jacenie Solo... - Głos był cienki, urywany i chrapliwy, przerywany napadami kaszlu. Znajomy głos. Głos Vergere. - ... jeszcze raz... dotknąć... Mocy...?

Leżała bezwładnie na podłodze o kilka metrów od niego, tuż pod wybitą w ścianie ogromną, nierówną dziurą, jakby jakieś monstrum zdeptało ją po drodze, przechodząc przez ścianę. Podłogę zaścielał gruz. Ubranie Vergere było podarte; wzdłuż rozdartych krawędzi wciąż jeszcze pełgały czerwone iskierki, spalone ciało pod nimi wciąż dymiło...

- Vergere! - Znalazł się u jej boku, nie wiedząc nawet, kiedy wstał i znowu ukląkł. - Jak... co się stało...

Przerażająca pewność skręciła mu wnętrzności.

- Czy to ja... - zawiesił głos.

Teraz pamiętał.

Jak w gorączce... krwawa mgła; przed oczy napływały mu przesiąknięte czerwienią obrazy: pokój wypełniony Yuuzhanami, Vergere u boku Noma Anora, jakby oboje dobrze się znali. Współpracownicy. Przyjaciele. Nom Anor powiedział coś do niej, a ona do niego, ale zdrada sprawiła, że przestał się nad tym zastanawiać. Przypomniawszy sobie, jak nabiera tchu, jak wdycha całą galaktykę nienawiści i gniewu...

I przypomniał sobie, jak tę galaktykę skierował wzdłuż ramion i cisną nią w Vergere.

Pamiętał, jak wiła się w elektrycznych łukach jego nienawiści, przypominał sobie skwierczenie własnych dłoni, płonących od przenikających je błyskawic... pamiętał, że ból

jedynie podsycił jego gniew.

I pamiętał, jak mu z tym było dobrze.

Czuł się czysty.

Oczyszczony.

Koniec zapasów ze złem i dobrem, z prawością i nieprawością. Wszystkie skomplikowane problemy etyki Jedi rozplynęły się w jednym rozsadzającym mózg przyplądzie nienawiści; a jak tylko dał sobie spokój z komplikacjami, stwierdził, że wszystko stało się proste. Jego nienawiść stała się jedynym prawem wszechświata. Tylko gniew się liczył, a jedyną odpowiedzią na gniew był ból. Czyjś ból.

Czykolwiek.

Nawet teraz, rozbudzony, trzeźwy, dławiąc się odrazą, wciąż jeszcze czuł słodkie echa tej czystej, oczyszczającej wściekłości. Słyszał jej nawoływanie. Zwinęła się wewnątrz jego piersi jak złośliwy pasożyt, toczący jego umysł.

“Czymże się stałem?”

Vergere leżała na podłodze jak zepsuta lalka; jej oczy były tępe, szklane, puste, a grzebień miał brudnoszarą barwę.

- Vergere... - wyszeptał. Tak łatwo było ją skrzywdzić. Tak prosto. Łzy pociekły mu po policzkach. - Ostrzegałem cię, prawda? Ostrzegałem! Ciemna Strona...

- Nie... przepraszaj... - Jej głos był coraz słabszy, coraz bardziej zmęczony, urywany...

- Nie śmiałybym - szepnęła. Nie było wytłumaczenia. Nikt nie znał niebezpieczeństw Ciemnej Strony lepiej od niego; prześladowały go przez całe życie.

A jednak tak łatwo uległ...

Upadł tak nisko...

Ściana gruzu przedzielała prawie całą komnatę: strzaskane kawały durabetonu spadły stromym zboczem z niezliczonych pięter nad jego głową. Jedynym światłem w tej nagle zmniejszonej przestrzeni był mdły blask kul żarowych na korytarzu. Sufit się zawalił, pamiętał to jeszcze... pamiętał ryk, huk, pył i fruujące odłamki kamienia. Nie, chwileczkę... on się nie zawalił...

To Jacen ściągnął go w dół.

Przypomniał sobie, jak unosząc się na czerwonych falach, stwierdził nagle, że Vergere straciła przytomność; wtedy zapragnął nowego celu, nowej ofiary i sięgnął ku Nomowi Anorowi

tą samą błyskawicą, którą powalił Vergere...

I nie mógł go znaleźć.

Widział Egzekutora Yuuzhan Vong, słyszał, jak wykrzykuje rozkazy do otaczających ich wojowników, ale nie mógł go dotknąć błyskawicą. Widocznie brakło jakiegoś obwodu, bo błyskawice nieszkodliwie spływały do ziemi, pogrążały się w ścianach lub zawracały, wprawiając w konwulsje ciało nieprzytomnej Vergere. Błyskawica gniewu mogła łączyć jedynie bieguny Mocy - ani Nom Anor, ani jego wojownicy nie przewodzili tego prądu. Frustracja zwielokrotniła furję Jacena... rzucił się naprzód, szukając sposobu, jak skrzywdzić te istoty.

A burza nad kraterem odpowiedziała na jego wezwanie.

Przypominał sobie dziką radość spełnienia, kiedy potęga żywiołu z rykiem wtargnęła do jego wnętrza i poprzez niego stała się szalonym wirem w podziemnej komnacie, unoszącym kamienie, cegły i kawały durabetonu. Wir zasypywał Yuuzhan gradem pocisków, przewracał, miażdżył kawałkami tej samej planety, która niegdyś była domem Jacena. Fala podmuchu skupiła Yuuzhan w jednym kącie komnaty - przypomniał sobie bulgoczący, złośliwy śmiech, który zmienił się w okrzyk tryumfu, kiedy wyciągnął rękę i zważył na nich cały budynek.

Zakołysał się na piętach, odruchowo sięgając dłońmi do twarzy. Czy to możliwe? Pogrzebał ich żywcem. Wszystkich. I nic go to nie obeszło.

Właśnie że obeszło. Ale to było jeszcze gorsze.

Pogrzebał ich żywcem i był z tego powodu szczęśliwy.

Ciemna Strona wabiła go, mroczny robak szeptał mu obietnice ekstazy i wżerał się w serce. Przyrzekał nieskończone spełnienie, nucąc pieśń wieczności, leżącej poza granicą zwątpienia i wyrzutów.

Otrząsnął się raptownie i zerwał na nogi.

- Muszę stąd wyjść.

- Jacen... - Wyciągnęła do niego rękę, jakby chciała go zatrzymać, jakby prosząc go o pomoc.

- Nie, Vergere. Nie. Muszę odejść... Muszę odejść i to już. Przykro mi, że cię zraniłem, tak przykro, że... - Kłamca, ironicznie odezwał się w nim robak mroku. Czekać tylko i patrz, a ona da nam pretekst, żeby to zrobić znowu.

Oczy Vergere nagle znów nabrały blasku, usta wygiął cień uśmiechu.

- Ciemna Strona...?

- Jest... jest tu dla mnie za mocna. Ostrzegałem cię... ostrzegałem, co się może zdarzyć.

Znów uniosła rękę, jakby chciała złapać go za nogę; odskoczył szybko w tył, by uniknąć jej dotknięcia, a ręka bezwładnie opadła na podłogę.

- Patrzysz - szepnęła - ale nie widzisz, Jacenie. Dlaczego Rada Jedi... miałyby budować świątynię na źródle Ciemnej Strony Mocy?

- Vergere, naprawdę... - Bezradnie potrząsnął głową. - Muszę odejść. Powinienem był zrobić to już dawno, zanim... zanim... - Zanim znowu cię skrzywdzę, dokończył w myśli. Nie potrafił powiedzieć tego na głos. Nie tutaj. - Nie mam czasu na zgadywanki.

- To nie zgadywanka - szepnęła. - Odpowiedź jest... prosta. Nie zrobiliby tego.

Znieruchomiał nagle.

- Co masz na myśli? Czuję tu Ciemną Stronę. Dotknąłem jej, a ona... a ona dotknęła mnie.

- Nie. Czujesz tylko i wyłącznie Moc. - Powoli, z bólem uniosła się na łokciach i spojrzała w jego głupio zdumione oczy. - To jest wstydlivy sekret Jedi. Nie ma Ciemnej Strony.

Jak ona może tak leżeć, z dymem wciąż jeszcze unoszącym się ze spalonego ubrania, i uważać, że powinien jej wierzyć?

- Vergere, ja wiem lepiej. Jak ci się zdaje, co się tu przed chwilą stało?

- Moc jest jedna, Jacenie Solo. Moc jest wszystkim i wszystko jest Mocą. Już ci mówiłam, że Moc nie jest stronnicza. Moc nie ma stron.

- To nieprawda! To nie... - Czerwony przypływ znów wezbrał w jego piersi, sięgając do serca. "Wszystko, co ci mówię, jest kłamstwem". A to było kolejne z jej kłamstw. Musiało być. Bo jeśli nie...

Potrząsnął głową, aż zadzwoniło mu w uszach.

- To kłamstwo.

- Nie. Zaufaj swoim uczuciom, a stwierdzisz, że to prawda. Moc jest jedna.

Ale przecież czuł Ciemną Stronę. Cały się w niej zanurzył.

- Ciemna i jasna strona to tylko kwestia określenia. - Wydawała się czerpać siłę z jego słabości; powoli zdołała usiąść. - To, co ty nazywasz Ciemną Stroną, jest jedynie surową, niepokromioną Mocą; bywa tak, kiedy oddajesz się Mocy bez reszty... Być Jedi to znaczy kontrolować swoje namiętności, lecz kontrola Jedi ogranicza twoją siłę... Wielkość... każda wielkość... wymaga zwolnienia kontroli. Namiętności sterowanej, nieograniczonej. Zapomnij o

ograniczeniach.

- Ale... ale Ciemna Strona...

Wstała. Tłąca się odzież spowiła ją w smużki dymu.

- Jeśli poddanie się oznacza rzeź, to nie znaczy, że Moc ma w sobie mrok. Ty go masz.

- Ja? - Czerwony przyływ stał się czarny, jadowity, dławiący, przepalał mu żebra od wewnątrz. - Nie... nie, nie rozumiesz... Ciemna Strona to... to, to, to... no, nie widzisz? To po prostu Ciemna Strona - upierał się desperacko i beznadziejnie. Nie mógł znaleźć słów, aby wyrazić prawdę, jaką miał w sobie... aby opisać zgrozę, która go miażdżyła... ponieważ znów czuł Moc.

Czuł, że to ona ma rację.

Ale czy to czyni ze mnie... czy to znaczy, że... Kolana się pod nim ugięły i zachwiał się, z trudem utrzymując równowagę. Wyciągnął rękę, aby się oprzeć o ścianę, o coś kamiennego, solidnego, pewnego, co nie zmieni się w smużkę dymu i mgły, pozwalając mu upaść znowu i na zawsze...

- Ciemna Strona... - wyszeptał.

Podeszła do niego - niewzruszona, niezachwiana.

- Jedyna Ciemna Strona, której się musisz obawiać, to Ciemna Strona twojego własnego serca, Jacenie Solo.

Ujrzał w jej oczach pewność, solidność, stałą, niezmienną prawdę, która od tej chwili - a przynajmniej taką miał nadzieję - zdoła utrzymać go w pozycji pionowej.

Własne odbicie.

Zniekształcone. Wykrzywione. Zdeformowane. Iluzja światła, przemykająca po lśniącej, zakrzywionej powierzchni... ponad nieskończoną ciemnością.

Mówią, że prawda jest bolesna. Wezbrał mu w gardle śmiech szaleńca. Nie mają pojęcia... Objęcia Cierpienia były niczym, drobnym zadrapaniem, ziarno niewolnika bólem zęba...

Śmiech dławił go, aż przeszedł w konwulsyjny szloch. Wyminął Vergere i rzucił się w ciemny korytarz, pędząc jak szalony.

Uciekał.

Za każdym razem, kiedy Nom Anor patrzył na ścianę gruzu, która omal nie stała się jego grobem, widmowa dłoń sięgała mu do piersi i ścisnęła mocno serce.

- Zapewniłaś mnie, że nie będzie zagrożenia! - warknął już po raz czwarty.

Mówił we wspólnym - nie wypadalo, aby ktokolwiek słyszał, jak się skarży - zgrzytając zębami. Napręzał ramiona i nogi, by wojownicy nie dostrzegli ich drżenia.

- Nomie Anorze - odparła Vergere z cierpliwością, jakiej nabywa się od ran i zmęczenia.
- Żyjesz, jesteś zdrowy, jeśli nie liczyć paru guzów i sińców. - Płakała jak chmura deszczowa, zmywając oparzenia łzami. - Na co się skarżysz?

Nom Anor znów spojrział na ścianę gruzu; wciąż jeszcze czuł dławiące palce paniki, kiedy został tak łatwo, niedbale, prawie od niechcenia odsunięty na bok - a potem huk walącego się sufitu, wycie huraganu w komnacie i kipiela kurzu, i w końcu absolutna noc, która go pochłonęła.

- Powinnaś była mnie ostrzec, jak niebezpieczna i niepewna jest moc Mrocznego Jedi - powtarzał uparcie.

- Rozejrzyj się. Tuzin wojowników i ty. I ja. Wszyscy żyjemy. Gdyby zamiast posługiwać się tą "niebezpieczną mocą", Jacen Solo był spokojny, skupiony i uzbrojony w miecz świetlny... - wykonała gest bardziej wymowny od wszelkich słów. - Sam widziałeś, co narobił w Szkółce. Może i ktoś by przeżył, ale ciebie i mnie nie byłoby wśród ocalałych.

Nom Anor tylko jęknął pod nosem.

- Nie rozumiem celu tej gadaniny Jedi na temat Ciemnej Strony. Po co rozpętywać taki kryzys? Jestem tutaj, bo nalegałaś. Okłamałem Wielkiego Mistrza Przemian, wymanewrowałem jego wojska, kryłem się w tym ohydny miejscu... że już nie wspomnę o niebezpieczeństwie, na jakie się naraziłem... po to, żeby rozpętać... Co ma wspólnego to, co się stało, ze sprowadzeniem Jacena Solo na Drogę Prawdy?

Vergere podniosła wzrok znad opatrywanych ran.

- Zanim ktoś pozna Prawdę, musi wyzbyć się kłamstw.

- Mówisz naturalnie o naszej Prawdzie. O Drodze Prawdy. - Nom Anor spojrział na nią spod przymrużonych powiek. - Mam rację?

- Nasza Prawda, Egzekutorze? - Oczy Vergere wyglądały jak jeziora nieodgadnionej ciemności; mógł w nich dostrzec jedynie swoje odbicie. - A jest jakaś inna?

R O Z D Z I A Ł 9 BRZUCH BESTII

Jeszcze głębiej, jeszcze ciemniej, dalej i dalej, aż zgaśnie nawet wspomnienie o świetle...

Jacen chwiejnie wyszedł z klatki schodowej na jednym z dolnych poziomów. Znalazł się na jakiejś zapomnianej kładce i przystanął, dysząc ciężko. Jak długo tak już biegł? Godziny? Dni? Nogi odmawiały postawienia kolejnego kroku, a on nie widział powodu, żeby je zmuszać.

Choćby biegł nie wiadomo jak szybko, nie ucieknie przed samym sobą.

Starożytna durabetonowa podłoga kładki, przeżarta czasem i zaniedbaniem, załamała się pod jego ciężarem. Gorączkowo uchwycił się zjedzonej przez rdzę poręczy i zawisł na jednej ręce nad stumetrową przepaścią. Ten szyb musiał być kiedyś składowiskiem zdezelowanych taksówek powietrznych; pokręcone i pordzewiałe, wystawiały z kłębowiska zakrzywione i ostre jak noże blachy i nierówne kolce.

Wisiał tak przez chwilę, wyobrażając sobie długi, powolny spadek, uderzenie, cięcie, przebłysk bezbarwnego ognia...

Może powinien po prostu rozprostować palce. Może to jedyna odpowiedź na kłębiącą się w nim ciemność. Może nawet nie krzyknie, spadając.

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Poluzował chwyt.

- Jacen! Hej, Jacen! Tutaj! - Znał ten głos. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go nie znał. Był mu tak znany, jak jego własny. To na pewno sztuczka... ten głos musiał być jakimś trikiem, już nieraz tak się zdarzało... ale i tak nie mógł go zignorować.

Swobodnie, choć ostrożnie, jak na doświadczonego wspinacza przystało, wyciągnął wolną dłoń i zacisnął ją na poręczy. Teraz miał dość siły, żeby się obejrzeć i nie spaść.

Anakin stał na poczerniałym od dymu balkonie, blisko końca kładki.

- Nie jesteś prawdziwy - wymamrotał Jacen.

- Chodź, Jacenie - Anakin skinął na niego. - Tędy! No, chodź! Tu będziesz bezpieczny!

Jacen przymknął oczy. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo.

- Nie jesteś prawdziwy.

Kiedy jednak znów otworzył oczy, Anakin wciąż tam był, wciąż machał do niego ręką. Ubrany był w luźną tunikę i spodnie na modłę koreliańską, miecz świetlny swobodnie zwisał mu u boku. Kiwał na Jacena, podskakując z niecierpliwości.

- Jacen, chodźże! Co się z tobą dzieje? Chodź, wielki bracie! Szybciej!

- Widziałem, jak umierasz - wymamrotał Jacen. Otworzył się na pulsowanie Mocy wokoło, czerwony przyływ wezbrał w jego piersi, ale zepchnął go w dół, koncentrując się mocno, sięgając zmysłami ku postaci...

Wujek Luke mówił mu, że czasami otrzymywał wskazówki od swojego nieżyjącego mistrza, legendarnego Obi-Wana Kenobiego. Opowiadał, że widział mistrza, słyszał jego głos, czuł go w Mocy jeszcze długo po jego śmierci...

Jacen widział Anakina. Słyszał jego głos. Kiedy jednak sięgnął ku bratu poprzez Moc, nie poczuł nic. Zupełnie nic.

- Dwa na trzy - wycedził. Czerwony przyływ huczał mu w uszach. Zacisnął zęby, żeby uwięzić głos w krtani. - Dwa z trzech czyni z ciebie Yuuzhanina...

- Jacen! Na co czekasz? Chodź!

Dużo mógł znieść. Musiał dużo znieść. Więcej, niż ktokolwiek kiedykolwiek znosił. Ale żeby jakiś Yuuzhanin przebierał się za Anakina...

Czerwony przyływ wezbrał w falę siły, która uniosła go w swobodnym, wznoszącym się salcie wysoko ponad zgruchotaną kładkę. Wylądował bezpiecznie na wąskiej jak sznur barierce - stopy nieruchome, ręce swobodnie spuszczone wzdłuż boków. Moc nie pozwoli mu spaść.

Robak mroku w jego piersi krzykiem domagał się krwi.

Dwa z trzech czyni cię martwym.

- Doskonale - wyszczał robak mroku przez usta Jacena. - Czekaj. Już idę.

Zwinnie i lekko pobiegł wzdłuż poręczy, a morderczy werbel jego serca zagłuszył wszelkie myśli o upadku; znalazł się na końcu kładki w ciągu kilku sekund, ale Anakin już skoczył przez drzwi balkonu do wnętrza budynku. Jacen rozpostarł ramiona i pozwolił, aby gniew podtrzymywał go w czasie lotu w dół. Odbił się od barierki i ześliznął ze stumetrowej wysokości na balkon.

Wylądował w kucki, pośliznął się i podparł lewą dłońią o gładką, zimną kałużę szlamu, który pokrywał balkon. Z otworu drzwiowego, wrzeszcząc i tnąc szponami, wyfrunęła chmara jastrzębionietoperzy wirujący kłęb skóry, futra i pazurów.

Jacen zwinął dłoń w pięść; natychmiast zawył wokół niego potężny wicher, rozbijając stado, strącając bezradne ptaszyska w ciemność. Rzucił się naprzód, przemierzając drogę niczym

pantera piaskowa ścigająca paralopę. Pędził przez czarny jak atrament mrok, Moc pomagała mu okrążyć i przeskakiwać przeszkody. Mignięcie obutych stóp znikających w przejściu do oświetlonego kulą korytarza prowadziło go dalej. Dotarł do drzwi jednym, wspomaganym Mocą skokiem.

Choć to niemożliwe, Anakin był już o sto metrów dalej, w drugim końcu korytarza. Obejrzał się przez ramię.

- Chodź, Jacenie! Musisz biec! Chodź za mną.

- Możesz na mnie liczyć. - Jacen ruszył sprintem. Moc przydała skrzydeł jego stopom, niosąc go z nieludzką prędkością, coraz szybciej i szybciej. Sto metrów przebiegł w jedno mgnienie oka i stwierdził, że Anakin wciąż jest daleko z przodu, wciąż się ogląda, kiwa, popędza go do dalszego biegu.

Jacen pobiegł.

Pościg zmienił się w sekwencję jak ze snu: skoki bez wysiłku, stopy ledwie muskające podłogę. Moc przetaczała się przez niego, jej szkarłatna rzeka unosiła go w dal, poza jałowe korytarze pod kraterem. Rzeka nie tylko dawała mu siłę, mówiła też o konstrukcji budynków, przez które biegł, sącząc informacje bezpośrednio w jego mózg. Czuł zwroty, zakręty i drzwi przed i za sobą, wiedział, gdzie droga może być zablokowana gruzem i która część podłogi może nie utrzymać jego ciężaru. Moc szeptała mu o stężeniach i belkach, transparistali i durabetonie pod zarastającą wszystko vongoflorą. Vongoflora rozkwitała bujnie w szaleństwie kształtów i barw; włóknista, mięsista, przylegała do ścian i sufitów, strzelała z ziemi. Vongoflorę mógł widzieć, czuć i dotknąć, ale wciąż nie była dla niego dość realna; nie mogła być realna, nie dla Jacena i nie teraz, ponieważ nie miała wpływu na bieg szkarłatnej rzeki. Nie istniała w Mocy, a zatem dla Jacena nie istniała w ogóle.

Do chwili, kiedy wbiegł na korytarz, który zatrzęsął się za jego plecami jak paszcza kosmicznego ślimaka.

Zatrzymał się. Ściany i podłoga był ciepłe, o temperaturze ciała, pozebrowane chrzęstnymi pierścieniami lśniącymi bladą, bioluminescencyjną zielenią. Końce korytarza wydawały się otwarte - w Mocy w ogóle nie było wokół niego nic, tylko otwarta przestrzeń - ale wzrok mówił mu, że korytarz jest zamknięty z obu stron festonami plamistej tkanki sprężystej niczym mięśniowe zastawki.

Anakina nigdzie nie było widać.

Jacen dyszał z bezsilnej wściekłości. Zwrócił swój umysł ku pustce w piersi, gdzie niegdyś miał ziarno niewolnika. Moc oddaliła się z jego świadomości, struktura otaczających go zrujnowanych budynków ulotniła się w ten sam niebyt, z którego wyłoniła się teraz vongoflora. Pomimo to, choć zaczął przyswajać sobie z wolną naturę korytarza, wciąż nie wyczuwał Anakina.

Może nie istniał nie tylko w Mocy, pomyślał Jacen.

Jastrzębionietoperze w popłochu zerwały się z balkonu, kiedy na niego zeskoczył... dlaczego nie zareagowały na Anakina?

A w zimnym, śliskim szlamie pokrywającym podłogę nie było odcisków stóp.

Zrobił z siebie dumnia.

Pozwolił, aby czerwony przyływ rozmył mu mózgownicę.

Dał się wyprowadzić w pole.

Pierścień najbliższy wejścia korytarza zamknął się z trzaskiem odkształcanej chrząstki, potem następny i jeszcze kolejny. Jacen zmarszczył brwi, usiłując pogodzić to, co widzi, z tym, co odczuwał poprzez szczątki nasienia niewolnika: żadnej złośliwości, żadnej żądzы krwi, w ogóle nic agresywnego, tylko przyjemne uczucie błogości, słodka radość, pulsująca wokół... wreszcie kurczenie się pierścieni dotarło i do niego, zważyło z nóg, przepchnęło przez korytarz jak kluchę vegiteiny w rurze z pastą odżywczą dla zero-g. Wtedy zrozumiał.

Kurczenie się pierścieni nie było atakiem, lecz ruchem perystaltycznym. Bo to nie był korytarz.

To było gardło.

Jacen zadygotał i ukląkł z zaciśniętymi powiekami, rozpościerając dłonie na cieplej jak ciało podłódze. Zastawka na końcu korytarza rozszerzyła się, przepuściła go i zamknęła się na powrót z mokrym, mięsistym mlaśnięciem.

Usiłował nie słuchać krzyków.

Proszę niech ktoś mi pomoże proszę proszę RATUNKU!

Krzyk to kolejna zasadzka.

Prawdopodobnie.

Proszę o PROSZĘ pomóżcie mi ja nie chcę umierać nie chcę TEGO zrobić nie możecie mi POMÓC PROOOOOOOOSZE!

To musi być zasadzka.

Anakina było jedynie efektem ubocznym: każda z ofiar instynktownie zaczynała widzieć kogoś, komu natychmiast zaufa i pozwoli odprowadzić się w bezpieczne miejsce. Pójdą na ślepo, ufnie, i zostaną zjedzeni.

Ironia była gorzka: robak mroku, który zwinął się w jego piersi, bronił go przed fałszywym zaufaniem, gniew zaś, który karmił robaka, sprawił, że Jacen na łeb, na szyję popędził do jaskini-paszczy.

To będzie wyjątkowo brzydka śmierć, pomyślał Jacen.

Nie szkodzi. Umieranie to nic złego. Nie miał o nie żalu. Lepiej umrzeć niż żyć z tym mrokiem w duszy. Przynajmniej wszystko się skończy. Uklęknij tutaj i poczeka na śmierć.

Niech już tylko będzie cicho.

Proszę pomóż mi proszę aaaaAAAAAAAAA!

Przejście od przerażenia do czystej agonii sprawiło, że Jacen otworzył oczy i poderwał się na nogi. Nie mógł tego słuchać, sztuczka czy nie.

- Zamknij się - warknął z głębi gardła. - Zamknij się zamknij się zamknij się.

Okrzyki dobiegały z wzdętego wylotu jakiejś galerii, który zionął o kilka metrów od niego. Tunel wiódł w dół, pograżając się w żółtozielonym mroku. Jacen jak pijany zataczał się po zboczu. Krzyki nie ustawały, teraz już bez słów, zwierzęce, bezsensowne, drgające rozpaczą.

Tunel prowadził głębiej i głębiej, związał się w długą, luźną spiralę, aż wreszcie rozszerzył się w kolejną jaskinię, o wiele większą od pierwszej, wilgotną, mroczną, bo bioświatło, które rozjaśniało gardło i pierwszą komorę, tutaj tylko lśniło blade przez wyloty innych tuneli w otaczających ścianach. W powietrzu unosiły się białe kłęby mgły... nie, nie mgły, raczej dymu - stwierdził Jacen, wchodząc do jaskini. Dymu palącego w oczy, dławiącego i pozostawiającego w ustach ostry smak kwasu.

Podłoga jaskini była szorstka i nierówna, pełna dziobów, jakby tylko cienka warstwa skóry pokrywała zagłębienia dość duże, aby w nich pływać. Doły były głębokie, o stromych ścianach, a na dnie pomarszczone i wydęte w wargi wielkości prysznic.

Jacen zakasłał, odganiając dym od twarzy, i ruszył dalej w kierunku krzyków, ostrożnie stąpając po krętej trasie wzdłuż cienkich, łukowatych obrębów stykających się ze sobą dołów.

Gdzieś w głębi jaskini jedna z tych gąb zamknęła się wokół dziewczyny.

Jacen przystanął nad nią, balansując na ciepłej krawędzi zagłębienia. Wydawała się równie rzeczywista jak Anakin; prawdziwe były jej splątane, skołtunione włosy i poorana łzami

warstwa brudu na twarzy. Z mocno zaciśniętych warg na dnie dołu wystawała tylko głowa i jedno ramię, ale kiedy go zobaczyła nad sobą, wyciągnęła się ku niemu, bezradnie rozcapierzając palce. Oczy miała pełne bólu i przerażenia.

Proszę, kimkolwiek jesteś PROSZĘ musisz mi pomóc proszę on mnie POŻERA, on, on, on pożera mnie ŻYWCEM.

Teraz już wiedział, czym są te wydęte wargi. Jaskinia powyżej była jedynie zbiornikiem, wolem; prawdziwe żołądki znajdowały się za tymi paszczami na dnie zagłębień. Dlatego jaskinia-zwierzę pokazywała mu tę dziewczynę.

Miała być przynętą.

- Zamknij się - szepnął. - Nie jesteś prawdziwa. Zamknij się.

Chciał tylko spokojnego kąta, aby umrzeć. Czy za dużo żądał? Czy nie zasłużył nawet na tyle? Dlaczego to wszystko musi być przez cały czas takie ohydne, ponure, po prostu zgniłe? Czy nawet umrzeć nie można spokojnie?

Czy cały wszechświat go nienawidzi?

“Jeśli cały wszechświat cię nienawidzi, jest na to tylko jedna odpowiedź - szeptał robak cienia z głębi jego czaszki. - Też go możesz znienawidzić.

Więc nienawidził.

Jakie to było proste.

Nienawidził wszechświata. Nienawidził w nim wszystkiego: bezsensownych cierpień i niepotrzebnych śmierci, i wszystkich tych bezmyślnych, mechanicznych, beżużytecznych praw; wijącego się jak robactwo, unurzanego we krwi ignoranckiego życia; nienawidził kamiennego mięsa pod stopami i powietrza, którym oddycha; nienawidził siebie; nienawidził nawet nienawiści, którą czuł. I nagle stwierdził, że już nie jest zmęczony, nie jest zdezorientowany, wszystko stało się proste i jasne, wszystko miało sens, bo nienawiść była wszystkim i wszystko było nienawiścią, a on już nie chciał umrzeć.

Chciał tylko kogoś skrzywdzić.

Spojrzał na krzyczącą dziewczynę. Nienawidził jej.

Nie była prawdziwa, jak to sen. Mógł zrobić co zechce. Wszystko. Serce mu waliło, oddech był krótki i gorący.

Wszystko.

Wrzała w nim Moc, jakby runęła jakaś zaporą w jego piersi. Uśmiechnął się, wyciągnął

dłoń i zwinął w pięść.

Moc zdławiła jej krzyki, wcisnęła z powrotem do gardła. Poprzez Moc czuł przerażenie dziewczyny, pieczenie kwasów trawiennych z wolna rozpuszczających jej skórę; w Mocy czuł potęgę, prawdziwą, rzeczywistą, zdolną strzaskać jej czaszkę niczym jajo pterozaura, potęgę, aby...

Zaczekaj, błagały ostatnie strzępy świadomości. Zaczekaj...

Czuł ją... w Mocy?

- Och... - wyszeptał. Kolana ugięły się pod nim. - Och, nie, nie, błagam, nie, błagam...

Nienawiść i siła zawiodły. Wychylił się do przodu, buty pośliznęły mu się na krawędzi i zsunął się po wewnętrznej krzywiźnie dołu. Wylądował jak szmaciana zabawka obok ust-żołądka. Mógł tak pozostać, pozwolić sobie na zemdlenie, zasnąć, dopóki paszcza nie otworzy się znowu, żeby tym razem pochłonąć jego... ale nagle dziewczęca, delikatna dłoń, prawdziwa dłoń należąca do prawdziwej dziewczyny wczepiła się desperacko w jego szataskórę, zbudziła go, a krzyk wypełnił mu uszy:

POMÓŻ MI musisz mi pomóc musisz mi pomóc!

- Przepraszam - wymamrotał, mrugając szybko, żeby zogniskować wzrok. Dźwignął się niezdarnie. - Przepraszam, przepraszam, nie wiedziałem...

Widział teraz wyraźnie i dopiero teraz się jej przyjrzał. Zobaczył, że pod pokrywą brudnego tłuszczu jej włosy musiały być kiedyś długie, puszyste i barwy złocistoblond, że jej oczy są błękitne, a twarz delikatna i owalna, zobaczył, że...

Nie jest starsza ode mnie, pomyślał.

A jeśli ZARAZ czegoś nie wymyślę, już nigdy nie będzie starsza.

Nie mógł mieć pewności, że nogi wytrzymają jego ciężar; odwrócił się, żeby zaprzeć się stopami o wargi żołądka, i ujął w obie dłonie przegub dziewczyny. Ciągnął mocno, tak mocno, że jej krzyk przemienił się w jęk bólu.

Łamiesz mi REKĘ proszę musisz wstać, musisz ciągnąć mnie w GÓRĘ.

Wstać? Nie miał siły, żeby ustać. Nie miał siły, by ją ratować. Miał dość sił tylko na to, żeby ją jeszcze bardziej skrzywdzić.

I torturować fałszywą nadzieją w ostatnich chwilach życia.

Z trudem potrafił sobie wyobrazić, przez co przeszła, jak przegapiła ewakuację Coruscant, przetrwała bombardowanie i inwazję Yuuzhan Vongów. Przetrwac wstrząsającą

transformację swojego świata w ich świat, zmazanie z orbity całej planety. Ukrywać się w nieustannym strachu przez te wszystkie tygodnie, żyć w cieniu najniższych poziomów, desperacko uciekając przez najeźdźcami... A potem dać się żywej jaskini zwabić w swoją gardziel...

Jej serce musiała przepelniać radość i ulga. Wreszcie znalazła swoje sanktuarium.

A potem stwierdziła, że jedynym prawdziwym sanktuarium jest śmierć.

Ale co to za śmierć: zjedzona żywcem, strawiona w pełni świadomości!

A kiedy podniosła wzrok i zobaczyła, jak przechyla się ku niej przez krawędź zagłębienia - jaką nadzieją musiało wezbrać jej serce...

Nie mogła przecież wiedzieć, że człowiek, który przyszedł jej z pomocą, to złamany eks-Jedi, splamiony ciemnością, na pół oszalały w samobójczej rozpacz.

Jak on mógł stać się tak bezużyteczny?

Niesprawiedliwość losu wzbudziła w nim gniew.

Dlaczego ma patrzeć na śmierć tej dziewczyny? Nigdy nie chciał być bohaterem. Nigdy nie prosił o potęgę. Od dnia, kiedy się urodził, oczy całej galaktyki zwrócone były ku niemu w oczekiwaniu na jakiś naprawdę wielki czyn, coś, co dorówna legendzie jego wspaniałych rodziców i legendarnego wuja.

A on nie potrafi dorównać nawet własnej legendzie.

Przecież tylu ludzi cieszyło się z jego słabości... co, może nie? Otaczali go brudni, złośliwi plotkarze, którzy z brudną, złośliwą satysfakcją nazywali go za plecami tchórzem, a żaden z tych paskudnych, przebiegłych, złośliwych drani nawet nie miał zielonego pojęcia, co to znaczy wisieć w Objęciach Cierpienia czy harować beznadziejnie, żeby uratować tych parę istnień ze Szkółki, albo spojrzeć w twarz obojętności o czarnym sercu, która okazała się podstawową prawdą wszechświata.

Gniew rozkwitł w jego sercu, wezbrał i uniósł go na znajomych falach czerwonego przyływu, lecz tym razem nie walczył, nie opierał się, nie miotał, żeby w końcu utonąć. Przyjął go radośnie.

A we wzbierających falach znalazł całą potrzebną mu siłę.

R O Z D Z I A Ł 10 WOLNY I W DOMU

Dom.

Apartamenty Solo, zlokalizowane opodal zrujnowanego masywu Imperialnego Senatu, pozostały właściwie nietknięte.

Od kiedy obudził się pod Mostem, Jacen nieustannie zdązał właśnie tu, do domu. Gdzie zresztą miałby się udać?

Czy jest coś lepszego, niż znaleźć wreszcie drogę do domu?

I tylko jednego pytania zapomniał sobie zadać: co zrobi, skoro już się tam znajdzie?

Przez te wszystkie tygodnie spodziewał się, że dotarcie do miejsca, gdzie dorastał, będzie miało jakieś znaczenie, że znajdzie tam choć cień otuchy. Jedną czy drugą odpowiedź. Jakby wystarczyło położyć się we własnym łóżku i zdrzemnąć, żeby stwierdzić, że cały przeżyty koszmar - utrata rodziny, młodości, wiary - to tylko senna fantazja, za którą odpowiadają młodzieńcze hormony i ciężkostrawna kolacja.

Czy jest coś gorszego, niż dotrzeć do domu i przekonać się, że wciąż błędzisz?

Od kilku godzin krążył po domu, kiedy nagle wszedł Anakin.

Jacen siedział na swoim miejscu, na krześle, na którym zwykle siadał podczas rzadkich rodzinnych okazji, kiedy wszyscy byli w domu: po lewej stronie matki, obok Jaiiny, która zajmowała miejsce po prawej ręce ojca. Po drugiej stronie stołu siadywał Anakin i Chewbacca w specjalnym, przystosowanym do rozmiarów Wookiego fotelu.

Jacen próbował przywołać wspomnienia tych szczęśliwych rodzinnych chwil - usiłował usłyszeć wyjący śmiech Chewbaccy; przypomnieć sobie wewnętrzną walkę matki, aby zachować powagę, i jej pełne nagany spojrzenie, gdy ojciec opowiadał jakąś nie całkiem cenzuralną historyjkę; poczuć znów łokieć Jaiiny pod żebrem albo usłyszeć dyskretne uderzenie pomarańczowego ziemniaka, wystrzelonego przez Anakina, kiedy rodzice nie patrzyli... ale nie mógł. Nie mógł odnaleźć w jadalni tych obrazów.

Obrzydliwie lśniaca, niebieska kolonia purchawek oblaźła krzesło Chewbaccy i pół stołu. Bladozółte pędy zapuszczały korzenie w liściaste, fioletowe roślinki porastające podłogę. Sam stół pękł pośrodku, przełamany przez krwistoczerwony korzeń rozmiarów Hutta, który przebił się przez sufit, a potem zdecydował się dotrzeć aż do podłogi i jeszcze dalej. Ściany były pokryte różnobarwnymi pnączami, które służyły za mieszkanie licznym stworzeniom wielkości dłoni, podobnym do łuskowatych, ciepłokrwistych pająków.

Jacen był pewien, że są ciepłokrwiste; przynajmniej ich siedmiopalczaste, szponiaste stopy były ciepłe, kiedy stwory przebiegały mu przez pierś czy plecy albo wspinały się na ramiona. Od czasu do czasu mrugał, kiedy któryś zapędził mu się aż na twarz, ale był to jedyny jego ruch.

Oczywiście, mógł się poruszyć, gdyby chciał. Ale nie widział sensu.

Pajęczaki pluły jakąś śluzową wydzieliną, lepкими kulkami śliny, które przylegały do wszystkiego wokół, z wyjątkiem samych arachnoidów. Dopóki ślina była mokra, rozciągały ją ruchomymi stopami, przędły i wyciągały w długie, lśniące nici, które wysychając napinały się i stawały przezroczyste, wypełniając jadalnię rodziny Solo oszronioną włóknistą siecią.

Jacen był pewien, że chciały go tą siecią przywiązać do krzesła może miały na wół rozumny plan, żeby go zjeść. Jeszcze niedawno w każdej chwili mógłby się bez trudu uwolnić, ale teraz nici wyschły i stały się mocniejsze. Nie facytował się nawet. Jeszcze teraz jednym wzruszeniem ramion mógł rozrzucić arachnoidy i spalić pajęczynę bez śladu.

Ale wciąż nie mógł wymyślić powodu, po co miałyby to robić.

Anakin przeszedł przez włókna pajęczyny, tak jakby nie istniały. Miał na sobie ciemną kamizelkę, a pod nią luźną tunikę i wąskie spodnie, w koreliańskim stylu. Zahaczył kciuki o szeroki skórzany pas, prawą rękę lokując niedaleko zacisku, gdzie powinien wisieć miecz świetlny, i obdarzył Jacena krzywym uśmiechem, tak podobnym do uśmiechu Hana, że Jacenowi łzy napłynęły do oczu.

Siemanko, braciszku.

Jeden z arachnoidów przegalopował po nitce ukośnie przez pierś Anakina, od ramienia do siódmego żebra. Żaden nie zwrócił na drugiego najmniejszej uwagi.

Jacen podniósł wzrok na brata i długo mu się przyglądał, po czym westchnął.

- Czym jesteś tym razem?

Tym razem?

Jacen przymknął oczy.

- Pamiętasz, co wujek Luke opowiadał o swoim mistrzu? Jak czasami czuł w Mocy mistrza Obi-Wana, nawet wtedy, kiedy Darth Vader... kiedy nasz dziadek zabił go na jego oczach w doku pierwszej Gwiazdy Śmierci? Jak słyszał udzielający mu rad głos mistrza Obi-Wana, a nawet widział go kilka razy?

Jasne, wszyscy znają te opowieści.

- Chyba spodziewałem się, że ty też mi tak będziesz pomagał... to znaczy wiem, że ty nie jesteś moim mistrzem, i widziałem twoje ciało... widziałem... co ci zrobili. Ale i tak... chyba wciąż miałem nadzieję, wiesz? Chciałem... chciałem jeszcze raz usłyszeć twój głos... Tylko jeden raz. Widzieć twój uśmiech. Dać ci z całego serca po łbie za to, że zrobiłeś coś tak głupiego i dałeś się zabić.

Ejże, chyba nigdy nie potrzebowałeś w tym celu jakiegoś szczególnego powodu?

Przymknięte oczy Jacena napełniły się łzami.

- Tak. Ostatni raz, wiesz?

Jasne.

- Dlatego dałem się nabrać. I za pierwszym, i za drugim razem.

I za pierwszym, i za drugim razem?

Jacen przekrzywił głowę, jakby chciał wzruszyć ramionami.

- Tam, w Szkółce, kiedy Vergere powstrzymała mnie przed zabiciem ostatniego dhuryama. Użyła Mocy, by udawać twój głos, a ja...

Skąd wiesz?

Jacen otworzył oczy i zmarszczył brwi.

- Co?

Jesteś pewien, że to była sztuczka? - Uśmiech Anakina był wesoły i nieco krzywy, jak zawsze. - Używała Mocy, prawda? Skąd wiesz, że to Moc nie używała jej?

- Chyba nie wiem - powoli przyznał Jacen. - Ale to właściwie nie robi większej różnicy.

Skoro tak twierdzisz.

- Ostatnim razem nie miałeś z Mocą nic wspólnego. Byłeś telepatyczną przynętą.

Może i byłem, ale czy tylko tym i czy jesteś tego pewien?

Jacen zmarszczył brwi, ale nie odpowiedział.

Co by się stało, gdybyś mnie nie zobaczył tam, na balkonie?

Spuścił głowę.

- Nie wiem... nie wiem. Może chciałem... - spaść, dokończył w myśli. Nie mógł tego powiedzieć głośno.

Chciał spaść i spadł. Spadł szybciej i dalej niż tylko ku śmierci.

A więc to, że mnie zobaczyłeś, uratowało ci życie, co?

- Chyba tak. Ale ty mnie poprowadziłeś do... to znaczy, ta projekcja telepatyczna

poprowadziła mnie do...

To, ja, cokolwiek... - Anakin lekceważąco machnął ręką. - Nie wdawaj się w szczegóły bez znaczenia.

- Ale tam... tam głęboko w zwierzojaskini... - gorzki kwas podszedł Jacenowi do gardła. Nie mógł mówić dalej.

Ocaliłeś dziewczynę, prawda?

- Och, jasne. Ocaliłem ją. Pewnie, że tak. - Jacen odkaszlnął, dławiąc się na samo wspomnienie. - Za to ci inni...

W brzuchu bestii byli też inni ludzie; dużo ludzi, pięćdziesięciu albo więcej. Obcych prawie nie było. Zbiegli się tłumnie z kanałów wiodących do komory gąb-żołądków w chwilę po uwolnieniu dziewczyny.

I wcale nie byli zadowoleni.

Nieokiełznana Moc przepływała przez niego czarnymi falami. Dzięki niej był w stanie telekinezą opanować własne dłonie, użyć ich jak narzędzi, żeby oderwać ciasno zaciśnięte wargi gęby-żołądka. Czuł poprzez Moc każdy skrawek dziewczyny, czuł jej przerażenie i nadzieję, i ból spalonej kwasem skóry. Dzięki Mocy uniósł ją bez wysiłku i posadził bezpiecznie na krawędzi zagłębienia. Wspomagany Mocą skokiem znalazł się obok niej, uniósł ją w fizycznych ramionach i przetransportował do kanału, którym tu przybył. Ubranie miała w strzępach; zaczerwieniona skóra łuszczyła się i jakby w dalszym ciągu gotowała na wolnym ogniu pokrywających ją kwasów. Jacen szybko zerwał z niej łachmany i otulił własną szatosem.

- Wszystko będzie dobrze. Już jest dobrze - mówił do niej. - Szatosem zajmie się tobą.

Szatosem rzeczywiście nie tylko wchłonęła i wyeliminowała resztki kwasów, ale pochłonęła także obumarłe strzępki poparzonej skóry, tym samym ratując dziewczynę od poważnej infekcji, może nawet od gangreny.

Oczywiście, nie dowiedziała się - pomimo krążącego w nim mrocznego grzmotu Mocy, nie zdobył się na tak bezmyślne okrucieństwo, żeby jej to powiedzieć po tym wszystkim, co przeszła - że ubranie, które na nią włożył, wyjada już kawałki jej ciała.

Dopiero teraz, ubrany jedynie w przepaskę biodrową, wyprostował się, rozejrzał i dostrzegł pozostałych. Zwierzojaskiniowcy. Pięćdziesięciu lub coś koło tego. Niektórzy mieli miotacze.

A niektóre miotacze były wycelowane w niego.

- To było... obrzydliwe. Nie mogłem w to uwierzyć. - Jacen pokręcił głową. - Nie chciałem w to uwierzyć.

Anakin przyglądał mu się cierpliwie.

- Gorsze niż Brygady Pokoju. Gorsze niż wszystko, co mogłem sobie wyobrazić. - Jacen zacisnął oczy na samo wspomnienie. - Oni tam mieszkali.

Zwierzojaskinia była spokojnym drapieżnikiem: jej telepatyczna przynęta ściągała więcej zwierząt niż mogła spożyć, więc schwytane ofiary mogły mieszkać w niej przez dłuższy czas. Wilgoć, spływająca nieustannie ze "stalaktytów", była w istocie wewnętrzną rezerwą żywności - coś jak ludzkie zapasy tłuszczów i glikogenów - nawadniająca i odżywiająca złowione stworzenia. Zwierzojaskinia przetwarzała wszelkie odpady wyjątkowo skutecznie, przerabiając nawet odchody ofiar na pożywkę i mocz na wodę, ciepło zaś wydzielane przez ich ciała wystarczyło, aby utrzymać i regulować jej wewnętrzną temperaturę. Jeśli potrzebowała dodatkowego pożywienia, wyciskała je z jednej z zapasowych ofiar, wpychając ją poprzez kanał do komory żołądkowej.

- Byli to z reguły uciekinierzy z dolnych poziomów, którzy nie załapali się na ewakuację, niektórzy jednak okazali się zbiegłymi niewolnikami z nasienia-statku. Yuuzhanie znają zwierzojaskinie i unikają ich starannie; nie zdziwiłbym się, gdyby stanowiły pierwotny gatunek, z którego wyhodowali swoje światostatki, takie jak ten, gdzie cię... no, ten nad Myrkrem - odkaszlnął, nieco zakłopotany.

Nie ma sprawy, Jace - uśmiech Anakina był miły, przyjazny. Nie martw się o mnie. Nie jestem aż taki wrażliwy.

Jacen kiwnął głową.

- A ja chyba jestem...

Jak zawsze; mów dalej.

Jacen westchnął smutno, ale znów poczuł we wnętrzościach cieniutki strumyczek gniewu.

- Jest więc doskonałą kryjówką przed patrolami Yuuzhan Vongów. Zwierzojaskinia ich ukrywa, daje im schronienie, wodę, jedzenie, czasem zwabia zwierzęta, które można zabić i zjeść, albo przechwytuje uchodźcę wyposażonego w worek wafli proteinowych czy czegoś tam... Jest tylko jeden problem. Raz na jakiś czas zwierz głodnieje. Czasem znajdzie się jakieś stworzenie, które można wrzucić do żołądków. - Jacen przełknął ślinę i spojrział w sufit.

Jaskrawozielone palce mchu wpełzały przez otwór wybity przez olbrzymi korzeń. A czasem... - głos zrobił mu się niski i chrapliwy od hamowanej furii. - Czasem nic się nie trafia.

Anakin skinął głową poważnie.

Dziewczyna.

- Właśnie, dziewczyna. Mają taką zasadę. Ostatni, który przybył, idzie pierwszy... no wiesz. Dziewczyna przybyła tam kilka godzin przede mną. Ale niektórzy z nich... ci, którzy jej to zrobili... - poczuł, że jego oddech staje się gorący, a wzrok zaczyna mu przesłaniać lekka czerwona mgiełka. - Niektórzy z nich byli tam od wielu tygodni. Tygodni, rozumiesz? Rozumiesz, co oni robili? Ilu... ilu ludzi... - musiał przerwać, dysząc ciężko, żeby przełknąć narastającą falę wściekłości.

Anakin obserwował go z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Wreszcie Jacen mógł mówić dalej.

- Nawet jej nie zabili, ogłuszyli tylko i wrzucili. - Zadrgały mu mięśnie szczęk, a w głosie pojawiła się odraza. - Pewnie jej nie zabili, bo nie chcieli mieć jej na sumieniu!

Anakin wzruszył ramionami.

Ludzie są w stanie do wszystkiego dopisać ideologię.

- Ale ocknęła się, zanim żołądek zdołał ją wchłonąć, i prawie zdołała uciec. Udało jej się, przynajmniej częściowo. Mogła krzyczeć. Jacen zniżył głos prawie do szeptu. - Wtedy zjawiłem się ja.

I co się stało?

- Cóż, nie miałem zamiaru pozwolić, aby wrzucili ją tam z powrotem. Nie zamierzałem zresztą pozwolić, aby wrzucili tam kogokolwiek... ale wszystkie żołądki zaczęły się nagle otwierać, a wola zaczęły wciskać do przełyków kogo popadnie... Zwierzojaskinia chciała jeść, a skoro nie umieli o to zadbać, zadbała o siebie sama...

A ostatni, który się zjawił?

- To byłem ja. Właśnie.

Próbowali tobą nakarmić zwierzojaskinię?

Jacen mruknął:

- No, do tego nie doszło.

Nie?

- Zmieniłem się, Anakinie. Ja... nie potrafię tego wyjaśnić... nawet nie próbuję, ale...

ale powinieneś wiedzieć, że...

Nieważne, Jace, nieważne, co się stało... Cokolwiek zrobiłeś, cokolwiek tobie zrobili...
Wciąż jesteś moim dużym braciszkiem, wiesz? Zawsze nim będziesz...

- Duży braciszek - bezdźwięcznym głosem powtórzył Jacen. Oczy go piekły. Oparł łokcie na kolanach i schował twarz w poparzonych dłoniach - Dziwne... przez te kilka ostatnich lat wydawało mi się, jakbyś to ty był starszy...

To chyba niemądre.

- Naprawdę? Ty... Anakinie, ty byłeś taki pewny siebie. Taki pewny wszystkiego. Taki silny... Podziwiałem cię, Anakinie. Zawsze wydawałeś się wiedzieć, co trzeba zrobić dalej. Wszystko było dla ciebie takie łatwe...

Wszystko jest łatwe, kiedy nie masz wątpliwości.

- Właśnie o tym marzyłem. O pewności. Myślałem, że na tym polega bycie Jedi. - Uniósł głowę. Oczy miał zalane łzami, ale śmiał się gorzko. - Nie rozumiesz? Jesteś tym wszystkim, czym zawsze chciałem być, kiedy dorosnę!

Niby czym, trupem?

- Wiesz, o czym mówię.

Nigdy niczego nie kwestionowałem, bo nie byłem do tego zdolny. Nigdy nie byłem myślicielem, jak ty. Raczej, jak wujek Luke, byłem czymś w rodzaju ludzkiej broni: pokaż mi, kto jest niedobry, i poszczuj mnie, a ja ich pozabijam i wszyscy będą się cieszyć. Teraz jest nieco inaczej, jeśli działasz tak, jak ja... jak wujek Luke, tylko ludzie od tego giną. Popatrz na mnie, popatrz, co się stało z nami wszystkimi.

- Wolę to, niż patrzeć, co się stało ze mną - szepnął Jacen. - Już wolę umrzeć.

Tak ci się zdaje?

Żal wzbierał w nim, rozpierało go poczucie winy i wstrętu do samego siebie, nie mógł ich dłużej tłumić. Spojrzał na swoje dłonie, na popękana od oparzeń skórę, spaloną błyskawicą jego gniewu.

- Anakinie, wszedłem w mrok.

Naprawdę?

- Pod starą Świątynią Jedi, kiedy Vergere wydała mnie w ręce Noma Anora... to, co zrobiłem, było niedobre, ale nie całkiem złe... Panika, zmęczenie... nagle odnalazłem z powrotem Moc, choć sądziłem, że straciłem ją na zawsze. Uratowanie dziewczyny... nie, tego

nie żałuję. Pozostał mi tylko gniew. Zresztą nie skrzywdziłem nikogo.

Tylko siebie.

- Ale to chyba nie szkodzi, prawda? Czy to nie sens bycia Jedi, poświęcić własne dobro dla ratowania innych?

Anakin uniósł jedną rękę do góry.

Ty mi powiedz.

Jacen odwrócił wzrok. Pamięć sprawiała ból. Mówienie sprawiało ból jeszcze większy. Ale nie mówić... nie przyznać się, co uczynił, usprawiedliwiać się, filozofować... o, nie, tego nie zrobi.

Aż tak nisko nie upadłem, pomyślał.

A jednak.

Wykorzystywał ciemność dla dodania sobie sił, pozwolił jej płynąć w żyłach jak krwi, aby móc działać i funkcjonować, kiedy pojawili się ludzie ze zwierzojaskini. Kiedy się dowiedział, kim są i co zrobili, aby przeżyć, może jeszcze zdołałby pohamować gniew, gdyby to było wszystko. Brzydził się tym, co robili i kim się stali, ale nie był ich sędzią. Był Jedi. Wciąż jeszcze mógł znaleźć sposób, żeby im pomóc. Nawet otoczony rozdziawionymi gębami-żołądkami, nawet w kłębiących się wyziewach kwasów trawiennych, wciąż jeszcze mógłby oprzeć się mrocznej żądzy skrzywdzenia ich. Ludzie z jaskini otoczyli go jednak z wycelowanymi miotaczami, z zimnym mordem w oczach i słowami przewrotnego żalu na ustach, a dziewczyna swoim zachowaniem dopełniła czary gorczy.

On był ostatni! On był ostatni! - krzyczała. - Weźcie jego... jego! On był ostatni!

- Zwróciła się przeciwko mnie - szepnął Jacen.

A winisz ją za to?

Pokręcił głową.

- Jak mógłbym ją winić? To tylko dziewczyna. Dziewczyna, która wie, co to znaczy być żywcem trawionym. Dziewczyna, która wiedziała, że jeśli nie ja, to ona. Znowu.

Chyba chciałem zapytać, czy wtedy ją za to winiłeś?

- To co innego. - Twarz Jacena była bez wyrazu, pusta, jak piaskowcowy klif na Kirdo Trzy. - Wtedy winiłem wszystkich. Nienawidziłem ich. Chciałem ich skrzywdzić.

Naprawdę?

- Wiedziałem, co robię. Wiedziałem dokładnie, co chcę zrobić. Sięgnąłem w ciemność.

Chciałem jej. Rozkoszowałem się nią. Pamiętam, jak się śmiałem. Pamiętam, jak im powiedziałem, że narobili sobie kłopotów. Pamiętam, że czułem poprzez Moc, jak ich fałszywy żal zmienił się w prawdziwy strach. Pamiętam, że mi się to spodobało.

Zaczęli do niego strzelać; promienie laserów kreśliły czerwone smugi w zielonkawych oparach kwasu. Śmiejąc się, chwycił te promienie prawą dłonią, bez wysiłku odchylając niszczycielską energię, zanim zdołała go skrzywdzić. Jednym gestem ściągnął ku sobie miotacze i niedbale odrzucił je na bok.

Ilu z nich zabiłeś?

- Wszystkich. - Jacen spojrział na swoje drżące dłonie. Zacisnął je, aż z oparzeń pociekła krew. - Żadnego. Co za różnica?

Moc huczała mu w głowie, a on sięgnął głęboko, ku pustce w piersi, w miejsce, gdzie kiedyś znajdowało się ziarno niewolnika, i znalazł tam mglistą półświadomość zwierzojaskini. Wspomagając się Mocą, stworzył wrażenie: proste przekonanie, tak głęboko zakorzenione w tępych umyśle tego stwora, że żaden dowód na coś wręcz przeciwnego nie mógłby nim zachwiać.

Ludzie są trujący.

Podobnie jak wszystkie inteligentne gatunki Nowej Republiki.

Zwierzojaskinia nie miała systemów obronnych przed tego rodzaju atakami, brakowało jej nawet podstawowej zdolności, żeby sobie powiedzieć: "Żaden z tych, których już zjadłam, nie zaszkodził mi". Miała tylko odruch obronny.

Zwymiotowała.

Potężna fala odwrotnej perystaltyki porwała ludzi, dziewczynę, Jacena i wszystkie inne obce ciała w całym obszernym wnętrzu zwierzojaskini i splukała je przez świetliste, chrzęstne gardło tą samą drogą, którą Jacen wszedł. Pamiętał gniew tamtych i rosnącą panikę, kiedy wylądowali jako kłębowisko pod paszczą stwora, rozplątali się w pojedyncze osoby i stwierdzili, że zęby ich sanktuarium na zawsze się przed nimi zamknęły. Już nigdy nie zapłacą życiem innych za swoje bezpieczeństwo przed Yuuzhanami.

Zabiłeś nas - krzyknął któryś. - Zabiłeś nas wszystkich.

Jacen popatrzył na nich spojrzeniem zimnym od Mocy.

- Jeszcze nie.

Cóż za miękkie, słabe, zdradzieckie i godne wzgardy stworzenia nie mógłby sobie wyobrazić nikogo równie odrażającego. Odwrócił się do nich plecami i odszedł.

Pozostawił ich na pastwę Yuuzhan Vongów... i samych siebie. Ale przecież im pomogłeś. Lepsza śmierć niż życie okupione krwią niewinnych.

- Czy to ma sprawić, że czuję się lepiej? Nie próbowałem im pomóc, chciałem, żeby cierpieli. Nie mogę nawet zwalić tego na Ciemną Stronę... teraz to wiem. Ciemna Strona do niczego mnie nie zmuszała.

Wiem, ona po prostu działa trochę inaczej.

- To byłem tylko ja, Anakinie. Ustąpiłem przed moją własną Ciemną Stroną. Pozwoliłem jej działać...

Mogłeś zabić ich wszystkich, miałeś tę możliwość. Mogłeś zabić zwierzojaskinię, na to też miałeś dość mocy. Jestem pewien. Tak samo, jak mogłeś zabić Vergere i Noma Anora, a nie zabiłeś nikogo. Użyłeś Mocy, którą posiadasz, aby służyć życiu. Twoja Ciemna Strona nie jest aż taka ciemna, starszy braciszku.

- To nie ma znaczenia. Nie można zwalczać ciemności ciemnością.

To słowa wujka Luke'a. Walka z ciemnością to jego działka. Yuuzhanie nie są ciemnością, są po prostu obcy.

- Zdaje się, że nie mogę się zmusić do walki z nimi.

Kto powiedział, że musisz?

Jacen poderwał głowę.

- Ty. Wszyscy tak twierdzą. A jaka jest inna możliwość?

Dlaczego mnie pytasz?

Anakin stracił nagle swój wesoły, krzywy uśmiezek i podszedł tak blisko, że Jacen mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć go...

Gdyby mógł się zmusić do podniesienia ręki.

Gdyby było tam czego dotknąć.

Rozpacz, która przyszpiliła go do krzesła, rozděła się w ogromną czarną dziurę beznadziei, która wyssała mu oddech z piersi.

- A kogo mogę zapytać? Co mogę zrobić? Co mam teraz robić? Pochylił się do przodu. Dygotał na całym ciele. - Wszystko straciłem, prawda? I teraz siedzę tutaj, klóćąc się ze zjawą! Przecież ciebie nawet nie ma!

A czy to ma znaczenie? Nie tak łatwo do ciebie dotrzeć, braciszku. Muszę korzystać z wszystkich dostępnych mi środków.

- Jak coś takiego może nie mieć znaczenia? - krzyknął Jacen. Muszę... potrzebuję... nie wiem, w co wierzyć! Nie wiem, co jest rzeczywiste!

Na nasieniu-statku byłem projekcją Mocy, potem telepatyczną przynętą, a teraz jestem zjawą i to wcale nie oznacza, że nie jestem sobą. Dlaczego wszystko musi być albo jednym, albo drugim?

- Bo musi! Ponieważ rzeczy są albo jednym, albo drugim! Tak to już jest! Nie możesz być jednocześnie prawdziwy i fałszywy!

A dlaczego nie?

- Ponieważ... nie możesz i tyle!

Moc jest jedna, Jacenie, obejmuje wszystkie przeciwieństwa: prawdę i kłamstwo, życie i śmierć, Nową Republikę i Yuuzhan Vongów, światło i mrok, dobro i zło. Wszystko jest sobą i tym drugim, ponieważ każda z tych rzeczy i wszystkie razem są tym samym. Moc jest jedna.

- To kłamstwo!

Tak, i prawda też.

- Ty nie jesteś Anakinem! - krzyknął Jacen. - Nie jesteś! Anakin nigdy by czegoś takiego nie powiedział! Anakin nigdy by w to nie uwierzył. Jesteś tylko zjawą!

No dobrze, jestem zjawą, a to znaczy, że gadasz sam ze sobą. A to z kolei znaczy, że mówię to, w co ty wierzysz.

Jacen miał ochotę zawyć, wyskoczyć zza stołu i walczyć - zrobić cokolwiek. Cokolwiek. Ale czarna dziura pochłonęła jego oddech, siłę, gniew... połknęła nawet wszechświat nienawiści i stała się jeszcze bardziej pusta niż przedtem. Tam, gdzie kiedyś była cała jego nadzieja, cała miłość, cała pewność, teraz ziała zimna pustka, wypełniona jedynie nieożywionym głodem próżni - i Jacen zapadł się w nią.

Nie miał nawet siły krzyczeć.

Wpadł w czarną dziurę.

Minęły eony albo nanosekundy.

Gwiazdy wynurzyły się z galaktycznego wodoru, zapłonęły, paląc ciężkie metale, skurczyły do białych karłów, które stały się brązowe, a wszystko na przestrzeni dwóch oddechów.

Wieczność w ciemności.

Przez horyzont zdarzeń przedarła się informacja: głos.

Znał ten głos, wiedział, że nie powinien go słuchać - ale nie tylko był w czarnej dziurze, sam był czarną dziurą i ściągał ku sobie wszystko, przechowując to na wieczność.

- Co jest prawdą? Co jest iluzją? Gdzie jest granica pomiędzy prawdą a kłamstwem? Pomiedzy dobrem a złem? Próżnia niewiedzy to zimne i samotne miejsce, Jacenie Solo.

Nie odpowiedział. Czarna dziura nie odpowiada. Horyzont zdarzeń jest ostatecznym zamknięciem: wszystko może przejść w jednym kierunku, nic w drugim.

Ale nadchodzący głos spowodował rozpad kwantowy czarnej dziury. Osobisty horyzont zdarzeń Jacena w jednej chwili skurczył się do punktu pośrodku piersi...

Jacen otworzył oczy.

- Vergere - odezwał się głucho. - Jak mnie znalazłaś?

Siedziała jak kot na stole rodziny Solo, z podwiniętymi pod siebie ramionami i nogami. Przyglądała mu się międzygwiazdnymi oczami.

- Nie podzielałam uprzedzeń naszych mistrzów do technologii. Części planetarnej bazy danych wciąż przetrwały w rdzeniach pamięci. Odnalezienie domowego adresu dawnej pani prezydent wcale nie było trudne.

- Ale skąd wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, że wrócę do domu?

- To instynkt wszystkich zwierząt stadnych: śmiertelnie zranione wracają do własnej nory i umierają.

- Zranione?

- Najcięższą raną, jaką może odnieść Jedi: wolnością.

Kolejna zagadka. A on nie miał sił na zagadki.

- Nie rozumiem.

- Jeśli zawsze wiesz, co jest dobre, to gdzie jest wolność? Nikt nie wybiera zła, Jacenie Solo. To niepewność czyni cię wolnym.

Jacen rozważał te słowa przez długą chwilę.

- Umrzeć w domu - mruknął. - Też mi dom. Widziałaś, co tu się dzieje? Pokój Jainy pełen jest jakichś chwastów, które próbowały mnie zjeść. Kuchnia wygląda jak rafa koralowa. Moja kolekcja... - Pokręcił głową. - To już nie jest mój dom.

- I nie umrzesz tutaj - odparła wesolutko. - Zapomniałeś? Już jesteś martwy. Byłeś martwy przez te wszystkie miesiące, prawie ukończyłeś swoją podróż przez krainy umarłych. Najwyższy czas na nowe życie, dość już śmierci. Zostałeś uzdrowiony, Jacenie Solo. Wstań i idź!

Jacen skulił się na krześle, niewidzącym wzrokiem spoglądając poprzez plątaninę kabli uplecionych przez arachnoidy.

- A po co?

- Bo możesz, oczywiście. Inaczej po co byliby wstawać?

- Nie wiem. - Przymknął powieki. - Czy to ważne, czy siedzę tu, czy gdzie indziej, dopóki nie jestem głodny? Nic nie ma znaczenia. Nic nie ma sensu.

- Nawet śmierć twojego brata?

Wzruszył obojętnie ramionami. Życie, śmierć - wszystko jedno. Jedność z Mocą.

- Mocy to nie obchodzi - odparł.

- A ciebie?

Otworzył oczy. Wzrok Vergere miał tę szczególną, prawie radosną intensywność, którą widział już w komorze Objęć, w Szkółce i w kraterze. Był jednak zbyt załamany, zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się, co teraz mu chce podsunąć.

- To, czy mnie obchodzi, też nie ma znaczenia - odparł.

Kąciki jej ust zadrgały lekko.

- Dla ciebie samego też nie?

Wbił wzrok w swoje ręce.

Po długim, długim milczeniu westchnął.

- Tak. Tak, dla mnie ma znaczenie. - Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją okłamać. - Ale co z tego? Pewnie, obchodzi mnie to... ale kim ja jestem?

Wzruszyła ramionami tak delikatnie, że przypominało to dreszcz.

- To pytanie jakoś zawsze wraca, prawda?

- Ale nigdy nie udzieliłaś na nie odpowiedzi, prawda?

- Mam odpowiedź - odparła łagodnie. - Ale to moja odpowiedź, a nie twoja. We mnie prawdy nie znajdziesz.

- Wciąż mi to powtarzasz. - Gardło mu krwawiło. - I chyba w nikim jej nie znajdę.

- Właśnie - odparła.

W uszach rozbrzmiewał mu wysoki, brzęczący dźwięk; tukał się pod czaszką jak wściekła, uwięziona iskropszczoła.

- No to gdzie ma być ta prawda? - zapytał niewyraźnie. - Gdzie? Powiedz mi, proszę.

Zaledwie słyszał własny głos. Brzęk w uszach narastał do ryku.

Pochyliła się ku niemu z uśmiechem, lecz jej słowa utonęły w tym hałasie. Wciąż jednak mógł je odczytać z jej ust.

- Spytaj siebie samego, gdzie indziej można szukać.

- Co? - jęknął słabo. - Co?

Ryk przemienił się w rozszalałą burzę, zdławił wszystkie słowa, wszelką nadzieję na sens. Vergere złożyła cztery przeciwstawne palce razem i leciutko postukała go w pierś - dokładnie pośrodku, tam, gdzie znajdowała się pustka pozostawiona przez ziarno niewolnika, dokładnie w punkt masy jego osobistego horyzontu zdarzeń - tak jakby stukała w drzwi.

W pustce panował spokój. Cisza. Oko cyklonu. Zanurzył umysł w tej spokojnej, łagodnej pustce, pozwolił, aby ten łagodny spokój otoczył go całego.

Burza ucichła.

Czarna dziura pożarła sama siebie.

Nie był sam w tym spokoju. Była z nim Moc: żywa więź, łącząca go ze wszystkim, co jest, co kiedykolwiek było i kiedykolwiek będzie. Była tu też vongoflora: od mglistej satysfakcji niebieskiej purchawki, skąpanej w ciepłe wydzielanym przez ciała jego i Vergere, po pracowite skupienie arachnoidów, które przemykały po coraz gęstszej pajęczynie... aż po wyważoną gotowość do natychmiastowej reakcji dwunastu wojowników Yuuzhan Vongów, którzy znajdowali się wraz z nimi w pokoju...

I zapierająca dech radość oczekiwania na triumf, emanująca z Noma Anora, który właśnie wszedł w ślad za nimi.

Wojownicy Yuuzhan Vongów. Dwunastu. Uzbrojonych.

I Nom Anor.

Wojownicy rozstawili się w półokrąg.

Jacen przyglądał im się spokojnie, bez zdenerwowania. Tu, w łagodnym spokojnym punkcie jego osobowości, nie było czegoś takiego jak niebezpieczeństwo czy zaskoczenie. Był tylko on, oni i cały wszechświat, którego wszyscy byli współelementami.

Ze zdumieniem spjrzał na Vergere. Teraz rozumiał wszystko to, czego nie mógł pojąć do tej pory. Nie powiedziała: "Spytaj siebie samego, gdzie indziej można szukać", lecz: "Spytaj siebie samego. Gdzie indziej można szukać?"

Nom Anor ruszył naprzód, splatając dłonie w obszernych rękawach szataskóry tak czarnej, że wydawała się emanować własnym blaskiem. Jacen widział w jej lśniącej powierzchni

własne zniekształcone odbicie.

Nom Anor stoi w naszej jadalni, pomyślał.

- Rozpacz i brak zrozumienia, które odczuwasz - jedwabistym głosem odezwał się Nom Anor - to nieunikniony wynik waszej zbankrutowanej religii. Ta wasza Moc nie ma najmniejszego sensu. Jest tym, czym jest: zgnilizną, która zatruwa całą galaktykę. Pełna kłamstw i złudzeń, drobnych zazdrostek i zdrad. A jednak wszechświat ma cel. Jest powód, żeby wstać, i znajdziesz go. Ja się nim z tobą podzielę.

Podśluchiwał, pomyślał Jacen. Oczywiście. Vergere go tu sprowadziła.

- Nadszedł czas - ciągnął Nom Anor - żebyś pożegnał się z tą bezużyteczną Mocą. Już pora pozostawić za sobą żywot w mroku i urojeniach. Teraz musisz zająć swoje miejsce w czystym świetle Prawdy.

Głos Jacena wydawał się rozbrzmiewać echem, jakby ta łagodna, spokojna pustka, z której przemawiał, była głęboką jaskinią.

- Czyjej prawdy?

- Twojej prawdy, Jacenie Solo - odparł Nom Anor z pokłonem. Prawdy boga, którym jesteś!

- Boga, którym jestem...?

Z jednego z obszernych rękawów Nom Anor wyjął miecz świetlny. Wszystkich dwunastu wojowników napięło mięśnie, ich twarze zmieniły się w maski odraży, kiedy Egzekutor włączył ostrze i postąpił krok naprzód. Jaskrawa, fioletowa smuga energii przecięła sieci arachnoidów. Jacen przyglądał się obojętnie, jak Nom Anor zręcznie i skutecznie rozcina nici, które przykuwały go do krzesła.

Egzekutor zwolnił przycisk i przyklęknął u stóp Jacena. Pokłonił głowę w hołdzie posłuszeństwa i na wyciągniętych dłoniach wręczył chłopcu wyłączony miecz świetlny.

Jacen rozpoznał kształt rękojeści.

Miecz Anakina.

Spojrzał na Vergere.

Obojętnie wytrzymała jego wzrok.

- Wybieraj i działaj.

Jacen z nadnaturalną jasnością ujrzał wybór, który właśnie został mu ofiarowany. Okazja jedyna w swoim rodzaju.

Miecz Anakina. Anakin go stworzył. Anakin go używał. Miecz zmienił Anakina, a Anakin - miecz. Jego kryształ nie był taki jak w innych mieczach; był żywym kryształem vongoflory.

Częściowo Jedi, częściowo yuuzhański, pomyślał. Prawie jak ja.

Ofiarowali mu życie Anakina: jego ducha, zręczność, jego odwagę.

Jego gwałtowność.

Jacen po raz pierwszy użył miecza w walce, kiedy miał trzy lata. Był urodzonym szermierzem.

A teraz był w stanie wyczuwać Yuuzhan. I Moc była z nim.

Może podążać ścieżką Anakina. Może po prostu zostać wojownikiem. Może być nawet większym wojownikiem niż jego brat; dzięki ciemnej Mocy, którą władał, mógł pokonać każdego z żyjących Jedi, nawet wujka Luke'a. Nawet starodawnych Rycerzy Jedi.

Mógł być największym mieczem Mocy, jakiego znała historia.

Więcej: mógł pomścić swojego brata bronią, wykutą jego własnymi dłońmi.

Mogę go wziąć i zabić ich wszystkich, pomyślał.

Czy tym właśnie jestem?

Czy tym właśnie chcę być?

Spojrzał na Noma Anora.

- Weź tę bluźnierczą broń i zabijaj... lub wybierz życie - przemówił Egzekutor. - Wybierz poznanie Prawdy. Wybierz nauczanie Prawdy; podziel się Prawdą ze swoim ludem. Pozwól, abym cię nauczył Prawdy, którą możesz się dzielić: Prawdy o Bogu, którym jesteś!

Jacen sięgnął po miecz, ale nie ręką.

Rękojeść wydawała się lewitować, unosić nad dłońmi Noma Anora - po czym skręciła gwałtownie i pomknęła w kierunku Vergere. Złapała ją zgrabnie i położyła obok siebie na stole.

Spojrzał na nią i nie na nią... na swoje odbicie w lśniących czarnych lustrach jej niezgłębionych oczu. Patrzył w milczeniu, bez wyrazu, aż poczuł, że sam odbija to odbicie, że staje się czystą powierzchnią, lśniąca ponad nieskończoną studnią ciemności.

Zwierciadłem wszystkich obrazów nocy.

Wypełnił się spokojem, a kiedy był już tak spokojny, że czuł, jak wszechświat krąży wokół osi, którą się stał, podniósł się z krzesła.

Nom Anor syknął triumfalnie:

- Staniesz się gwiazdą, słońcem... i wypełnisz galaktykę Światłem Drogi Prawdy.
- W porządku - odparł Jacen. Zimna, nieruchoma powierzchnia, nieskażona, niezmacona słabością, sumieniem, ludzkością. - Dlaczego nie?

III B R A M Y Ś M I E R C I

R O Z D Z I A Ł 11 Z D R A J C A

Przyjmijmy teoretycznie, że podbój Coruscant spowodował niewyobrażalną liczbę ofiar.

Przypuśćmy, że w bombardowaniu prowadzonym przez Yuuzhan zginęło dziesięć miliardów ludzi.

Przypuśćmy, że wskutek trzęsień ziemi towarzyszących zmianie orbity planety zginęło jeszcze dwadzieścia miliardów.

Przypuśćmy, że od tego czasu dalsze trzydzieści miliardów zginęło z głodu lub padło ofiarą grup poszukiwawczo-niszczycielskich, zostało otrutych, zjedzonych lub też zginęło w inny sposób wskutek kontaktów z vongizowanym życiem.

Przypuśćmy, że kolejne czterdzieści miliardów znalazło się w niewoli, zostało internowanych lub w inny sposób uwięzionych przez Yuuzhan Vongów.

Te przypuszczalne liczby nie są niczym innym, tylko właśnie przypuszczeniem. Produktem wyobraźni. Nawet kiedy planetarna baza danych Coruscant była jeszcze cała, globalna liczba mieszkańców pozostawała w sferze domysłów. W okresie podboju nie istniał żaden praktyczny sposób pozwalający na policzenie zaginionych i zabitych. Sto miliardów to szaleńcza liczba, prawdopodobnie ogromnie przesadzona - ale i tak...

Spróbujmy teraz odjąć te ofiary od liczby ludności Coruscant w okresie poprzedzającym podbój.

I tak pozostaje dziewięćset miliardów ludzi.

Dziewięć

setek

miliardów.

Ci, którzy przeżyli, również mogą stać się bronią.

Statki obozowe już od wielu miesięcy wyskakiwały z hiperprzestrzeni i nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy ani w jakim systemie gwiazdnym pojawi się kolejny. Statki obozowe były wysokimi na wiele kilometrów skupiskami wielkich sześciokątnych komór różnej wielkości - niektóre jak mała szafka, inne jak ładownia dużego statku ułożonych w prawie kulisty kształt. Statki te mogłyby być planetami, szczególnym gatunkiem roślin wyhodowanym przez Yuuzhan Vongów lub też zlepkiem egzozskieleatów, opuszczonych przez gigantyczne międzyplanetarne istoty.

Analiza danych czujników wykazywała wyraźne oznaki pól grawitacyjnych podobnych do dovin basali, otaczających punkty wyjścia z nadprzestrzeni. W kilka sekund po pojawieniu się każdego statku następował nowy wybuch, powodujący skręcenie grawitacji. Niektórzy analitycy Nowej Republiki uważali, że te wtórne wybuchy były spowodowane przez dovin basale, zapadające się w wygenerowane przez siebie masy punktowe. Inni uważali, że jest to robota istot podobnych do dovin basali, a służących jako napęd statków obozowych, które wracają do nadprzestrzeni, a później do punktu wylotu.

Jedno przynajmniej było pewne: statki pojawiały się w sposób przypadkowy, przelatując przez zamieszkane systemy gwiazdne. Nie miały one zapasów żywności, aparatury wspomaganie życia ani silników, które nadawałyby się do użytku. Na tych statkach byli wyłącznie ludzie.

Miliony ludzi.

Setki milionów ocalałych z podboju Coruscant.

Każdy zamieszkały system, który przypadkiem dostał pod opiekę statek obozowy, miał brutalny wybór: albo bardziej jeszcze nadwerężyć i tak wyczerpane wojną zasoby, przyjmując uchodźców, zapewniając im mieszkanie i utrzymanie, albo pozwolić im umrzeć: zagłodzić się, skonać z pragnienia, zimna lub odwrotnie - ugotować się we własnym ciepłe odpadowym. Statki można było po prostu zignorować - zostawić, aby dryfowały pomiędzy planetami, jak zamrożone mau zolea, niemi świadkowie śmiercionośnej, okrutnej obojętności wobec stu milionów żywych istot.

Takiego ciężaru zbiorowej winy nie przyjąłby na siebie żaden świat Nowej Republiki: gdyby było inaczej, nigdy nie stałby się jej członkiem.

Nikt nie wiedział, czy statki obozowe nie wykonały skoków do niezamieszkanym systemów. Nikt też nie chciał o tym myśleć. Kilkoro Jedi próbowało to sprawdzić, sięgając Mocą poprzez ogromne, omiatane kurzem gwiazdnym przestrzenie; ale Jedi nigdy nie byli liczni, tym

kilkorgu zaś, którzy pozostali, wojna pozostawiała niewiele wolnego czasu. Rządy planet i systemów nie organizowały poszukiwań. Nie miały na to środków. Nie miały zasobów nawet na wspieranie tych uchodźców, którzy już się znaleźli pod ich opieką. Poszukiwanie kolejnych byłoby nie tylko bezsensowne, lecz i szalone.

Pomimo bolesnego braku surowców i umiejętności technicznych, systemy Nowej Republiki robiły co mogły.

Budowanie miast dość wielkich, by dać schronienie setkom milionów ludzi, było oczywiście niemożliwe w warunkach gospodarki wojennej, ale istniała inna opcja. Statki były duże, mogły utrzymywać atmosferę nawet w próżni. Dlatego też uchodźcy pozostawali tam, gdzie byli, za to systemy robiły co mogły, aby zapewnić przeludnionym statkom recykling odpadów i wody, oczyszczanie i uzupełnianie atmosfery, światło i żywność.

Stały się one orbitalnymi obozami dla uchodźców - stąd ich nazwa.

Życie w takim obozie było ciężkie.

Nawet w najbogatszych systemach żywność na statkach obozowych racjonowano w głodowych porcjach; najlepsze układy oczyszczania nie były w stanie usunąć z wody coraz silniejszego smaku wielokrotnego użycia i zużycia.

Ciasne, zatłoczone, cuchnące; urządzenia do produkcji atmosfery przeładowane wydychanym powietrzem, potem i wydzielinami tysiąca gatunków o różnym stopniu szkodliwości, atmosfera przesycona taką ilością węgla, żeby wszystkich mieszkańców przyprawić o ból głowy - przynajmniej tych, którzy głowy posiadali. Ucierpiała nawet fotosynteza, gdyż pomimo obfitości dwutlenku węgla urządzenia musiały pracować w ciemnym i nie zawsze działającym sztucznym świetle.

Wszyscy cierpieli, ale tylko niewielu pozwolono odejść.

Nikt nie wspominał o prawdziwych powodach, dla których uchodźcy pozostawali na statkach obozowych.

A prawda była taka: przestrzeń międzyplanetarna stanowiła doskonały kordon sanitarny. Wiele światów, dzięki uprzejmości Yuuzhan Vongów, otrzymało niemiłe niespodzianki, które często opuszczały je wraz z mieszkańcami. W tłumy uchodźców wmieszane były niezliczone rzesze szpiegów, sabotażystów, członków Brygady Pokoju, kolaborantów wszelkiej maści...

A czasem jeszcze gorzej.

Ganner Rhysode spędził już kilka tygodni na pogoni za plotką. Usłyszał ją w knajpie na Teyr od najemnego nawigatora, który z kolei podsłuchiwał ją w doku stoczni kosmicznej na Rothanie, kiedy steward rozmawiał z pilotem myśliwca ze szlaku Sisara; ten z kolei wyciągnął tę przypadkową i niedbałą wzmiankę od inspektora celnego w systemie Sevarcors... a może to była Mantooine albo Almanian; inspektor zaś usłyszał ją od przyjaciela z floty, którego kuzyn był cywilnym ochotnikiem na statku obozowym nad Bothawui.

Ganner cierpliwie podążał za każdą informacją, ścigając je poprzez obszary, które pozostały jeszcze z Nowej Republiki. Spędził wiele tygodni w nadprzestrzeni i dzień za dniem powtarzał niezmiennie tę samą śpiewkę: "Widziałeś może...?"

Zanim dotarł do opatrzonej numerami zasłony udającej drzwi apartamentu w liczącym miliony komórek plastrze miodu, jakim stał się statek obozowy, był tak zmęczony, że nawet nie pamiętał, w jakim systemie się znajduje.

Numer na zasłonie składał się z trzech części określających położenie pomieszczenia w nierównej kuli statku, który nie posiadał nic, co można by nazwać pokładami. Z braku linii prostych trójwymiarowe współrzędne były jedynym logicznym sposobem numeracji, jaką dało się przyporządkować pomieszczeniom.

Pokój, do którego zmierzał, ulokowany był bardzo daleko, prawie przy powłoce, po stronie przeciwnej niż powierzchnia, którą statek był zwrócony do planety.

To znaczy, jak z niewesołym uśmiechem mawiał Ganner, po Ciemnej Stronie.

Ganner ostatnio przestał przypominać samego siebie: odrzucił jaskrawe bluzy i obcisłe skórzane spodnie, lśniące szamerowania, wysokie, nieskazitelnie wypolerowane obuwie. Teraz nosił bezkształtną tunikę z nieokreślonej brązowej tkaniny, a pod nią workowate szare spodnie wyłożone na buty, mocno znoszone i pokryte kurzem z dziesiątków światów. Znikł także zabójczy uśmiech i śmiały błysk w jasnoniebieskich oczach; Ganner dopuścił nawet, by niechlujna kędzierzawa broda pokryła ostry, wyrazisty zarys klasycznego podbródka.

Nie było to przebranie, a przynajmniej nie do końca. Tak naprawdę nie krył swojej tożsamości, ale posługiwał się nią jak bronią, aby rozcinać splątane sznurki biurokracji, które utrudniłyby mu dostęp do statków obozowych. Jednak mocno różnił się od dawnego Gannera.

Stary wizerunek przysporzył mu zbyt wiele cierpień.

Choćby tutaj, przed wejściem do pokoju: dawny Ganner szerokim gestem odsunąłby na

bok zasłonę i upozował się w drzwiach, dramatycznie podświetlony od tyłu. Przedstawiłby się chłodnym tonem i zadał swoje pytanie, licząc na wrażenie, jakie wywrze imponującym wzrostem i onieśmielającym spojrzeniem, reputacją i tupetem. Jedno spojrzenie powinno wystarczyć, aby otrzymać żadaną odpowiedź.

Teraz oparł się o chropowatą ścianę obok drzwi i osunął po niej w dół. Przycupnął skulony, niczym pierwszy lepszy uchodźca, który postanowił uciąć sobie drzemkę w korytarzu.

Opuścił głowę i przymknął oczy, a potem sięgając poprzez Moc, zbadał ostrożnie uczucia panujące w pomieszczeniu. Mogła to być pułapka, a on już miał dość rzucania się głową naprzód i na osłep. Ostrożność była teraz jego dewizą, a dyskrecja najlepszą obroną.

Wyczuł, że w pomieszczeniu istotnie znajdują się ludzie. Ich obecność w Mocy była na tyle wyraźna, że mogłoby ich być aż pięciu zresztą tyłu właśnie miało być według przerażonego urzędnika, który przez dłuższą chwilę szukał w starym, tymczasowym i mocno przeciążonym centralnym serwerze, w którym przechowywano skąpe zapisy zebrane przez ochotniczą administrację statku. Ganner miał pewne kłopoty, aby rozdzielić wrażenie w Mocy na pojedyncze osoby.

Zmarszczył brwi, zacisnął powieki i skoncentrował się mocniej.

Odnosił wrażenie, jakby w tym pomieszczeniu znajdowała się jedna osoba o pięciu różnych osobowościach... lub jakby cała piątka uczestniczyła w jakiejś formie świadomości zbiorowej. Rzadkie zjawisko wśród ludzi, ale to nie znaczy, że niemożliwe. Galaktyka spłodziła tuziny, jeśli nie setki rozmaitych wariacji na temat człowieka i Ganner wiedział, że nie zna jeszcze wszystkich.

A nieznane, jak się przekonał po wielu doświadczeniach, często oznacza również niebezpieczne. Nieraz śmiertelnie niebezpieczne. Żarcik dotyczący lokalizacji tego pomieszczenia po Ciemnej Stronie nagle przestał być taki zabawny.

Miał wrażenie, że zaraz da się zabić.

Westchnął i wstał.

Od chwili, kiedy zaczął gonić za tą plotką, podświadomie podejrzewał, że skończy właśnie tak: samotny i bez wsparcia. Nikt nawet nie będzie wiedział, skąd zacząć poszukiwania, kiedy nie wróci. Dotarcie tak głęboko do wnętrza statku obozowego zajęło mu aż dwa dni.

Nikt się nigdy nie dowie, co się z nim stało. Cóż, może jedna osoba mogłaby się domyślić, ale czy ją to będzie obchodzić?

Przypomnił sobie mroczny płomień w oczach Jainy, kiedy opowiedział jej o plotce.

- Kolejne głupie kłamstwo - odparła. - A ty jesteś idiotą, że w nie wierzysz.

Próbował jej wyjaśnić, że nie tyle wierzy w tę bajkę, co uważa, że należy ją sprawdzić.

Usiłował jej wyjaśnić, jak bardzo podbudowałyby to morale całej Nowej Republiki.

- Nie rozumiesz? On jest bohaterem. Byłoby tak, jakby... jakby zmartwychwstał, Jaino!

To byłoby magiczne... po prostu cud! Dałby nam nową nadzieję...

- Nie potrzebujemy nadziei - odparła Jaina. Posępny cień przesłaniał od czasów Myrkra jej miękkie przedtem rysy. - Potrzebujemy więcej statków. Potrzebujemy lepszej broni. Potrzebujemy Jedi. Musimy dalej walczyć. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie czasu i ludzi na czyjeś fantazje.

Ganner nalegał:

- A jeśli to nie fantazja? Wasza matka też twierdzi, że on żyje.

- Moja matka - odparła Jaina z dziwnym naciskiem, jak osoba, która nosi ciężar ponad siły nastolatki - straciła obu synów tego samego dnia. Jeszcze się z tym nie pogodziła i pewnie nigdy się nie pogodzi.

- Ma prawo wiedzieć...

- Ganner, ja się z tobą nie kłócę, tylko cię uprzejmie informuję, że masz trzymać swoją wielką gębę na kłódkę. Nie życzę sobie, aby cokolwiek z tych bzdur przeciekło do mamy. Gdyby jej dać nadzieję, a później znów odebrać, to by ją zupełnie zniszczyło. A jeśli się okaże, że to twoja sprawka, wtedy ja zniszczę ciebie.

- Ależ, Jaino...

Zbliżyła twarz do jego twarzy; mroczne płomienie, które gorzały jej w oczach, płonęły tak mocno, że Ganner cofnął się o krok.

- Nie miej nadziei, że cię to ominie, Ganner. I nie licz na to, że nie dałabym rady.

Nie odpowiedział. Uwierzył jej na słowo.

- Yuuzhanie utrzymywali Jacena przy życiu przez bardzo długi czas po jego schwytaniu - wyjaśniła. - Trzymali go przy życiu i torturowali. Czułam to. Nigdy nie powiedziałam rodzicom, co oni mu robili. Już lepsze było to, co przydarzyło się Anakinowi... Przynajmniej czysto.

W oczach zabłysły jej łzy, ale głos miała tak twardy, że mogłaby nim ciąć transparistal.

- Czułam śmierć Jacena. W jednej chwili był, w drugiej już nie. Znikł, jakby nigdy nie

istniał. Poczułam to. Gdyby żył, nie potrzebowałabym ciebie, żeby wiedzieć! Wiedziałabym bez twojego gadania!

Zacisnęła ręce w pięści, aż zbielały jej kostki, i wcisnęła je pod pachy, odsłaniając zęby w niemiłym grymasie.

- Już nigdy nie mów mi o tych... tych bzdurach. I nikomu innemu. Nikomu. Jeśli dowiem się, że choćby spojrzalesz w lustro i powiedziałeś swojemu odbiciu, skrzywdzę cię. Nauczę cię na temat bólu takich rzeczy, które nikomu do tej pory się nie przydawały.

Ganner stał z rozdziawionymi ustami, oszołomiony i zdruzgotany bólem i czystą wściekłością, jaką wyczuwał poprzez Moc. Co się z nią działo? Krążyły pewne plotki...

- Hej, Jaino, nie ma sprawy - powiedział szybko. - Nie powiem nikomu, obiecuję. Nie wściekaj się...

- Nie wściekam się. Jeszcze mnie wścieklej nie widziałeś i miej nadzieję, że nigdy nie zobaczysz. - Skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła się do niego plecami. - Zejdź mi z oczu.

Ganner, wstrząśnięty, oddalił się chwiejnym krokiem. Jaina nigdy nie była zbyt wylewna, ale zawsze sprawiała wrażenie takiej kompetentnej i opanowanej, że łatwo było zapomnieć, iż jednego dnia straciła dwóch braci.

Później - o wiele później - pomyślał sobie: „akt, obiecałem, że nie będę o tym rozmawiał. Ale w końcu nikomu nie obiecywałem, że się tym nie zajmę...”

Dlatego właśnie wyruszył. Samotnie.

Stary Ganner pewnie zrobiłby to samo, pomyślał sobie z pełną melancholii rezygnacją. Piękna byłaby z tego opowieść - historia Jedi, którym Ganner zawsze chciał się stać: samotnym bohaterem, przeszukującym rozległe obszary galaktyki w misji, którą musiał wypełnić sam, stawiając czoło niewyobrażalnym niebezpieczeństwom i niesłuchanej przewadze wroga.

Takim właśnie sobie siebie wyobrażał: chłodny, spokojny, niebezpieczny bohater, o jakim ludzie opowiadają historie głosem ściszym z podziwu i lęku... takie tam bzdury małowata.

Próżność i tyle. Czysta próżność. Próżność zawsze była największą słabością Gannera. Nie ma nic złego w byciu bohaterem - spójrzcie choćby na Hana Solo czy Corrana Horna. Nie ma nic złego w tym, że się chce być bohaterem: Luke Skywalker często opowiadał o swoich młodzieńczych snach o przygodzie, no i patrzcie, jak to się skończyło...

Kiedy jednak usiłujesz stać się bohaterem, od razu ładujesz się w całą galaktykę

kłopotów. Żądza chwały potrafi być jak choroba, jak zaraza, której bacta nie wyleczy. W ostatnim stadium możesz myśleć tylko o tym jednym. A pod koniec przestaje ci nawet zależeć na tym, żeby rzeczywiście być bohaterem.

Ważne, żeby ludzie tak o tobie myśleli.

Stary Ganner Rhysode ucierpiał od tej choroby przerostu formy nad treścią. Był tak ciężkim przypadkiem, jak to tylko możliwe - i omal go to nie zabiło.

Co gorsza, omal nie pogrążyło go w mroku.

W chwilach, kiedy się nie pilnował, wciąż jeszcze wracał do tych niebezpiecznych snów. Na samą myśl przebiegał go dreszcz. Ciężko pracował, aby zdławić w sobie żądzę podziwu ze strony innych i pewnego dnia miał nadzieję zlikwidować ją na zawsze.

Dlatego spokojnie podszedł do tej wyprawy. Dyskretnie. Anonimowo. Pilnując, aby wieść się nie rozeszła. Musiał być pewien, że robi to z właściwych powodów. Musiał się upewnić, że nie cierpi na nawrót choroby megalomanii. Musiał mieć pewność, że goni za tą plotką wyłącznie dlatego, że to właściwe i słuszne. Dlatego, że Republika desperacko potrzebuje jakiegokolwiek przebłysku nadziei.

Podobnie jak Jaina.

Za każdym razem, kiedy przypominał sobie mroczny płomień w tych niegdyś tak ciepłych brązowych oczach, czuł, że ból przeszywa mu pierś. Flirt z ciemnością - jasne. Każdy z Jedi musiał się z tym zmierzyć od początku wojny. Niektórzy nawet twierdzili, że to jedyna nadzieja galaktyki. Na światostatku nad Myrkrem grupa desantowa rozważała ją poważnie jako jedną z opcji.

Jednak inaczej to wygląda, kiedy o Ciemnej Stronie mówi Kyp Durronek, ta chodząca mieszanka wrogości do świata i nienawiści do samego siebie. Zawsze był taki - niewiarygodnie trudne dzieciństwo i niewyobrażalne zbrodnie, do jakich wówczas zmuszały go okoliczności, skrzywiły go tak, że utrzymanie się na jasnej stronie stanowiło dla niego codzienną walkę. Jeśli młodzi Jedi w obliczu desperackiej sytuacji dyskutowali o użyciu Ciemnej Strony - to też całkiem inna kwestia.

Jednak Jaina Solo, patrząca na niego z mrocznym ogniem w oczach i grożąca mu śmiercią, nie mieściła się w żadnej z tych kategorii.

Zabolało go to. Zabolało bardziej niż mógłby się spodziewać.

Dzieci Solo miały być niewrażliwe. Były nową generacją galaktyki: czystą, nieskalaną

złem nadzieją Jedi. Właściwe postępowanie przychodziło im jakby mimochodem. Jak zawsze. Byli, a przynajmniej mieli być Szczęśliwymi Wojownikami Mocy. Całą trójkę, choć nawet się o to nie starali, uznawano już za takich bohaterów, jakim Ganner chciał się stać, choćby go to miało zabić.

Urodzeni bohaterowie.

A teraz Anakin i Jacen nie żyją, a Jaina...

Jaina w przerażająco wyraźny sposób przypomniała Gannerowi, że jest wnuczką Dartha Vadera.

Najbardziej jednak bolała go świadomość, że nie potrafi nic na to poradzić.

Nie, to nie całkiem tak, pomyślał Ganner, podnosząc się na nogi i opierając o ścianę korytarza. Jeszcze jest coś, co mogę zrobić...

Może jednak - choć to prawie nie do wiary - może straciła tylko jednego brata. Może Jacen żyje, a Ganner zdoła to udowodnić. Może go nawet odnajdzie? Z pewnością jej to nie uleczy, ale przywróci nadzieję. A jeśli nie... no cóż, gorzej nie będzie.

Nie miała już nadziei, którą mógłby jej odebrać.

Ganner pokiwał głową i oparł się o kotarę, która służyła za drzwi kabiny.

- Przepraszam - zawołał półgłosem. - Czy ktoś tu mówi we wspólnym?

- Odejdź. - Głos, który odpowiedział zza zasłony, wydawał mu się dziwnie, niezrozumiale znajomy - Nic tu dla ciebie nie ma.

Jeśli do tej pory prześladowało go niejasne wrażenie, że czeka go śmierć, teraz urosło ono do przytłaczających rozmiarów. Kolana mu zmiękły, a większa część jego osobowości miała ogromną ochotę prysnąć korytarzem i zwiać; po chwili doszedł jednak do wniosku, że choć nigdy nie był bohaterem, to akurat odwagi raczej mu nie brakowało.

Jeszcze raz zaczerpnął tchu. Dłoń, którą uniósł zasłonę, drżała tylko odrobinę. Spojrzał na nią groźnie, aż znieruchomiała. Dopiero wtedy łagodnie odsunął zasłonę na bok.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekł. - Nie zajmę wiele czasu. Mam tylko do ciebie jedno pytanie. Jedno pytanie, nic więcej, a potem sobie pójdę.

Niewysoki, krępy mężczyzna w średnim wieku patrzył na niego obojętnie z głębi pomieszczenia.

- Odejdź.

- Za chwilę sobie pójdę - przepraszająco zapewnił Ganner. - O ile wiem, ktoś, kto tu

mieszka, twierdzi, że już po inwazji widział żywego Jacena Solo na Coruscant. Czy mogę porozmawiać z tą osobą?

Zza zasłony nie widział wiele, ale wydawało się, że za nią znajduje się tylko jeden lub dwa małe pokoje, pozbawione praktycznie wszelkich przedmiotów osobistych. Człowiek, który stał mu na drodze, miał na sobie długą, bezkształtną tunikę. Pozostali - również mężczyźni ubrani byli identycznie. Jacyś kapłani, czy co? - zastanawiał się Ganner; wszyscy oni mieli coś wspólnego, jakąś aurę, podobną postawę, może gesty - jakąś więź, jaką nieraz się widuje u członków rozmaitych fanatycznych kultów. A może to tylko bieda i desperacja?

- Zapłacę - zaproponował.

- Nie ma tu nic dla ciebie - powtórzył mężczyzna.

Jeden z pozostałych wysunął się zza jego lewego ramienia i wskazał palcem na miecz świetlny, który zwisał u pasa Gannera. Warknął coś w gardłowym języku, którego Ganner nie rozumiał.

- Nie każdy, kto nosi tę broń, jest Jedi - odezwał się mężczyzna, nie spuszczać tępego i wrogiego wzroku z twarzy Gannera. - Zamilcz.

Ganner znów drgnął na dźwięk dziwnie znanego akcentu w głosie, choć wiedział, że nigdy przedtem nie widział tego człowieka. Wydawało mu się jednak, że ten znajomy głos powinien brzmieć wyżej, bardziej świeżo i wesoło. Pokręcił głową. Później się tym będzie martwił. Może nie jest najlepszym graczem w sabaka w całej galaktyce, ale wie, kiedy wyłożyć karty.

- Nazywam się Ganner Rhysode - rzekł łagodnie. - Jestem Jedi. Przybyłem, aby zapytać o Jacena Solo. Który z was widział go żywego?

- Mylisz się. Nikt tu niczego nie widział. Lepiej już idź.

Jeden z pozostałych wystąpił w przód i powiedział coś, co brzmiało jak "Shinn'l fekk Jeedai trizmek".

- Spokój - rzucił mężczyzna przez ramię.

Gannerowi włosy powstały na karku, ale wyraz jego twarzy pozostał grzeczny i uprzejmy.

- Proszę - odezwał się znów. - Powiedz mi, co wiesz.

Sięgnął poprzez Moc, aby delikatnie zachęcić mężczyznę do współpracy...

...i ocknął się, stwierdzając, że biegnie byle dalej od korytarza, choć za nic nie mógł

sobie przypomnieć, żeby się odwrócił, ani nie miał pojęcia, skąd się tu wziął.

Co jest? - pomyślał tępo. - Co się dzieje?

Jak przez mgłę, jak w gorączce, dodał sobie dwa do dwóch - ten facet potrafił używać Mocy, i to równie dobrze jak najpotężniejszy spośród Jedi. Ten przeciętnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku odsunął na bok sondę Gannera i odpowiedział kompulsją Mocy tak silną, że chociaż Ganner wiedział już teraz, co to takiego, wciąż nie mógł się zatrzymać i chwiejnym krokiem nadal szedł w głąb korytarza.

Zmusił się, żeby się zatrzymać, dysząc ciężko. Oparł się o szorstką ścianę. Strach, który czuł, znikł nagle. Musiała to być również projekcja Mocy - subtelna, niewykrywalna. Teraz, poniewczasie, żałował, że nie złamał przyrzeczenia danego Jainie i nie sprowadził ze sobą tuzina Jedi jako wsparcia. Wiedział teraz, że w pomieszczeniu za jego plecami znajduje się tylko jedna obecność w Mocy.

Jedna jedyna.

Pozostalej czwórki nie wyczuwał w ogóle.

Miecz świetlny sam jakoś znalazł się w jego dłoni. Ostrze ożyło. Nie ty jeden potrafisz bawić się Mocą, pomyślał z uśmiechem, czując znów ten sam, znajomy dreszczyk radosnego oczekiwania, z jakim zawsze stawiał czoło nagłym zagrożeniom.

Dawno temu.

Zostaw w spokoju tamtego Gannera, powiedział sobie. Zwolnił płytkę i wyłączył ostrze. Nie jestem taki. Jestem ostrożny. Ostrożny i niepozorny.

Powoli, stopniowo zaczął wycofywać się z Mocy, budując mur wokół swojej obecności, tak jakby wciąż się oddalał. Pozostał dzięki temu ślepy na Moc - lecz również w niej niewidzialny.

Potężny użytkownik Mocy na statku obozowym - prawdopodobnie w towarzystwie zamaskowanych Yuuzhan. I ten użytkownik Mocy świadomie odkrył karty, nakładając na Gannera tę kompulsję: w ciągu kilku minut może zniknąć na zawsze w anonimowym tłumie zamieszkującym ogromny statek. Ganner słyszał opowieści z Yavina Cztery: wiedział, że Yuuzhanie próbują skłonić Jedi do współpracy. Jeśli im się wreszcie udało, konsekwencje mogą być dosłownie niewyobrażalne.

Wpadł po czubek głowy. Nie, o wiele głębiej.

Ale co innego może zrobić?

Ten gość jest silniejszy ode mnie, uznał. Czuł, jak po plecach przechodzi mu zimny dreszcz, ale tym razem nie miało to nic wspólnego z projekcjami Mocy. Tym razem był to prawdziwy strach. I w dodatku jest ich pięciu, przypomniał sobie.

Chyba naprawdę życie mi niemiłe.

Szedł jednak dalej, sunąc wzdłuż ściany; milczący miecz trzymał luźno w swędzącej z emocji dłoni. Jak mógłby tego nie zrobić? Już sobie wyobrażał, jak usiłuje się tłumaczyć Skywalkerowi: “No wiesz, właściwie... nic nie zrobiłem z tym zdrajcą Jedi i szpiegami Yuuzhan Vongów, bo wiesz, to znaczy, to dlatego, że... och, dobrze... byłbym naprawdę zakłopotany, gdyby ludzie sobie pomyśleli, że znowu grałem bohatera i dlatego dałem się zabić...”

Zdławił w sobie tę myśl - był już u drzwi kabiny i wiedział, że sztuczki Mocy nie zmylą tamtego gościa na dłużej niż minutę czy dwie. Nie ma nawet dość czasu na działanie.

Bez zabijania, upomniał się. Przynajmniej dopóki się nie upewnię, że to Yuuzhanie.

Z westchnieniem rozluźnił myślowe napięcie, które utrzymywało go poza Mocą. Bodźce zalały go falą, a w ich przyplýwie czuł tamtego niczym rozjarzoną boję naprowadzającą w pasie asteroidów.

Ganner ruszył do akcji bez namysłu. Rzucił się do przodu, a ostrze jego miecza ożyło z sykiem, rozcinając mocowania zasłony. Zebrał spadającą tkaninę i narzucił ją na głowę najbliższej stojącej białej szaty. Drugiego kopnięciem odesłał pod ścianę. Sfingował kolejne niskie uderzenie i wyskoczył w górę. Zamachnął się prawą ręką i grzmotnął rękojeścią miecza świetlnego w głowę trzeciego z taką siłą, że ten upadł na kolana. Ganner odbił się od niego jak od ćwiczebnego konia, wysoko wyrzucając nogi, i rozpląszczył czwartego jak taranem. Obrócił się znów ku pierwszemu w tej samej chwili, kiedy ten zdołał wyplątać się z tkaniny i poczęstował go łokciem w szczękę.

Wyczuł za sobą ruch i wykręcił wspomaganę Mocą salto w tył, wylatując wysoko w górę i w dal, po czym wylądował o długość ramienia od starszego mężczyzny, podsuwając mu ostrze miecza na pół centymetra od szyi.

- Nikt nie zginął, nikt nie został ranny - oznajmił chłodno, głosem monotonnym jak pomruk miecza świetlnego. - Ale to się może zmienić. W każdej chwili. Twoja decyzja.

Cztery niewidoczne w Mocy białe szaty, rozrzucone po całym pomieszczeniu w różnych stadiach zdolności do ruchu, zawahały się. Mężczyzna stał nieruchomo.

Ganner nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Nie tylko jestem w tym dobry, ale

jeszcze robię to z klasą, pomyślał. Zdławił w sobie tę myśl, zaledwie się pojawiła, wściekły na siebie. A już mi się zdawało, że robię postępy...

Otoczył się warstwami ostrożności jak zbroją.

- W porządku - rzekł spokojnie, cicho i powoli. Wytrzymał spojrzenie starszego mężczyzny i lekko poruszył mieczem. W czerwonym obramowaniu cieni rzucanych przez żółtą klingę twarz tamtego wydawała się zupełnie spokojna.

- Wycofuj się. W kierunku drzwi.

Spojrzenie mężczyzny zmiękło, pojawiło się w nim coś w rodzaju rezygnacji. Smutno pokręcił głową na znak, że odmawia.

- Nie blefuję - odparł Ganner. - Idziemy sobie pogadać na korytarz. Dopóki nikt nie zrobi nic głupiego, nie ma powodu, żebyśmy wszyscy nie uszli stąd z życiem. Rusz się.

Jeszcze jeden ruch mieczem świetlnym, wystarczający, aby ściąć milimetr skóry z obojczyka tamtego - ale mężczyzna westchnął tylko.

- Ganner, ty wariacie...

Ganner oblizał usta. Mówi do mnie, jakby mnie znał, zdumiał się.

- Zdaje się, że mnie nie rozumiesz...

- To ty nie rozumiesz - odparł tamten zmęczonym głosem. - Obserwują nas. Przez cały czas. Jeśli bodaj wysunę nogę poza ten pokój, obserwujący nas pilot Yuuzhan Vong uruchomi dovin basala ukrytego niedaleko stąd. Wszystko potrwa najwyżej dziesięć sekund. Statek zapadnie się w czarną dziurę. Sto milionów ludzi zginie.

Gannerowi opadła szczęka.

- Co...? Jak? To znaczy... dlaczego, dlaczego miał...

- Dlatego, że jeszcze mi nie ufają - odparł ze smutkiem. - Nie powinieneś być wracać, Gannerze. Teraz nie możesz opuścić tego pokoju żywy...

- Wszedłem całkiem łatwo.

- Z wyjściem będzie gorzej. A nawet jeśli uda ci się wyjść, wiedząc tylko to, co już wiesz...

- Jeśli? Zaraz, kto tu trzyma miecz świetlny?

- Gannerze, to nie blef. Chciałbym, żeby tak było.

Ganner słyszał przekonanie w jego głosie, a poprzez Moc czuł prawdę w tych słowach. Już wiem przecież, że jest silniejszy ode mnie, stwierdził. Potrafi udąć prawdę, którą wydaje mi

się, że słyszę, a ja się nawet nie zorientuję. Nawet gdyby to była prawda, i tak nie mógł wydobyć z tej sytuacji ani odrobiny sensu.

Nie domyślał się, co się tak naprawdę dzieje, ani też co właściwie powinien z tym zrobić.

- Mówię ci o tym, ponieważ to samo się stanie, jeśli zginę - odparł mężczyzna. - To na wypadek, gdyby sumienie pchnęło mnie do samobójstwa. Jak mówiłem, jeszcze mi nie ufają.

- Ale... ale... - prychnął Ganner. Wrażenie, że wpadł powyżej głowy, jeszcze się pogłębiło. Tonął. Ujął miecz obu rękami, aby ostrze nie drżało, i starał się odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Ja chcę tylko dowiedzieć się, co wiesz na temat Jacena Solo rzekł niemal żałośnie. - Zacznij gadać albo będę musiał zaryzykować w nadziei, że jednak blefujesz.

Mężczyzna spojrział na Gannera tak, jakby go znał. Jakby go znał od lat. Jakby przejrzał go na wylot. W jego spojrzeniu była melancholijna zaduma rozczerowanego rodzica. Westchnął raz jeszcze.

- Nic ci nie pomoże, jeśli powiem.

- Nie masz wyboru.

- Zawsze jest wybór.

Powoli, spokojnie i bez niepotrzebnych gestów uniósł dłoń. Przycisnął punkt na bocznej części nosa i jego twarz pękła na pół.

Ganner mimowolnie odskoczył.

Twarc mężczyzny zwijała się niczym skórka ithoriańskiego krwawnika; grube, mięsiste płaty odpadały od siebie, zabierając ze sobą rzednące cienkie włosy, smutne worki pod oczami, obwisłe policzki, psujące linię szczęki. Sieć cienkich jak włosy włókien powoli wycofywała się z porów ukazującej się spod spodu twarzy, pozostawiając po sobie krwawe smugi.

Spod cofającego się maskera oczom Gannera ukazała się szczupła, mocno rzeźbiona twarz, okolona nierówną, zaniedbaną brodą i zlepionymi krwią włosami, które mogły być brązowe. Ganner rozpoznał tę twarz, nawet poprzez strużki krwi i zniekształcenia spowodowane przez wycofywanie się wici ssących maskera. Była jednak za stara, zanadto poorana wyrzeczeniami i bólem, zbyt wiele smutnego doświadczenia kryło się w jej oczach, aby naprawdę pasowała do jego wspomnień.

Ganner otworzył usta. Palce mu zdrętwiały, dłonie opadły po bokach, ostrze miecza

światelnego znikło, a rękojeść z brzękiem upadła na podłogę.

Kiedy wreszcie mógł przemówić, jedynym słowem, jakie przeszło mu przez gardło, było:

- Jacen...

- Cześć, Ganner - odparł Jacen znużonym głosem. Sięgnął do rękawa i wyjął mały woreczek. Poglądził go, zachęcając do wywrócenia się na lewą stronę, i nałożył na dłoń jak rękawicę. Wyciągnął z niego mały kłębek materiału. Rzucił go Gannerowi

- Łap.

Ganner był zbyt zdumiony, żeby zrobić cokolwiek innego. Złapał go instynktownie. Kłębek był wilgotny w dotyku i ciepły od kontaktu z ciałem Jacena.

W zagłębieniu jego dłoni pojawiło się nagle odrętwienie i zaczęło pełznąć w kierunku nadgarstka. Ganner spojrzał na szmatkę ze zmarszczonymi brwiami.

- Co to jest?

- Łzy mojej przyjaciółki - odparł Jacen. - To trucizna kontaktowa.

- Co? - wytrzeszczył oczy Ganner. - Żartujesz sobie, prawda?

- Poczucie humoru nie dopisuje mi ostatnimi czasy. - Jacen zsunął woreczek z dłoni i odrzucił na bok. - W ciągu piętnastu sekund stracisz przytomność.

Ręka Gannera już była martwa, prawe ramię zwisało bezwładnie. Odrętwienie spłynęło mu na pierś, a kiedy dotarło do serca, błyskawicznie objęło całe ciało. Runął do przodu; nie był w stanie nawet unieść ręki, żeby zamortyzować upadek. Jacen jednak złapał go i łagodnie położył na ziemi.

- Zbudź villipa - rzekł Jacen do jednego z pozostałych; teraz Ganner wiedział już, że to wojownicy Yuuzhan Vong. - Powiedz Nomowi Anorowi, że pułapka zawiodła. Za tym Jedi przyjdą następni. Musimy wracać do domu.

Nom Anor? Wracać do domu? - myślał gorączkowo Ganner, zanim mrok ogarnął jego umysł. - Zrobili to. Mają Jacena.

Przekabacili go.

Jeden z wojowników odezwał się w szorstkim, chrapliwym języku.

Jacen pokręcił głową.

- Nie. Zabieramy go ze sobą.

Rozległo się coś jak warknięcie skrzyżowane z napadem kaszlu.

- Bo ja tak mówię - odparł Jacen. - Śmiesz dyskutować?

Ostatnim konwulsyjnym wysiłkiem woli Ganner sięgnął poprzez Moc i chwycił miecz świetlny; uniósł go myślą i przycisnął płytkę aktywacyjną, aby ostrze ożyło. Jeden z wojowników warknął ostrzegawczo w tym samym gardłowym języku.

Jacen skinął dłonią i Ganner poczuł, jak silniejszy od niego umysł przejmuje miecz świetlny i wrywa go z jego kontroli. Ostrze znikło.

Rękojeść podskakiwała łagodnie w powietrzu pomiędzy Jacenem a wojownikami.

- Nie kalajcie się dotknięciem bluźnierczej broni - rzekł Jacen.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Ganner, zanim ciemność pochłonęła go zupełnie, był amphistaff wypełzający z rękawa Jacena. Stworzenie gładko przecięło na pół rękojeść miecza.

- Zabierzcie tę żalostną karykaturę Jedi na Yuuzhan'tar - polecił Jacen. - Dopiero tam go zabijemy.

Pomieszczenie wewnątrz statku obozowego poruszyło się. Kajuta została specjalnie wyhodowana i wprowadzona na ten statek obozowy w określonym celu. Wydawało się, że to zwykła kabina - taka jak milion innych w plastrze miodu - teraz jednak odłączyła się i ześliznęła pod powłoką statku, jak pasożyt prześlizgujący się pod skórą zwierzęcia.

Ta szczególna kabina otaczała stateczek z koralu yorik, zaopatrzonego w swojego własnego dovin basala. Dovin basal mógł być użyty rozmaicie: po wydaniu jednego rozkazu mógł wygenerować pole grawitacyjne dość intensywne, aby zmiażdżyć cały statek w punktową masę mniejszą od ziarnka piasku, ale teraz otrzymał inny rozkaz i dlatego po prostu uniósł kabinę i jej mieszkańców na drugą stronę galaktyki.

Skóra statku obozowego napięła się z lekka. Bąbel pojawił się po ciemnej stronie statku, a kiedy pękł, wypluł kabinę daleko w przestrzeń. Kabina natychmiast wyruszyła pełnym pędem, gorączkowo przyspieszając weszła w nadprzestrzeń i skierowała się na Yuuzhan'tar.

W kabinie znajdowało się czterech wojowników Yuuzhan Vong, jeden pilot skoczka koralowego oraz dwóch ludzi. Jeden z nich siedział w milczeniu i medytował. Drugi leżał sparaliżowany, nieprzytomny, ale nawet w czarnej pustce, w której zdawał się unosić, wciąż czepiał się jednej myśli. Nie wiedział, gdzie go zabierają, nie wiedział, co się z nim stanie, nie wiedział nawet tak do końca, kim jest. Wiedział tylko jedno.

Była to myśl, której poświęcił całe swoje siły, aby na zawsze zachować ją wyrytą w pamięci.

Jacen Solo jest zdrajcą.

R O Z D Z I A Ł 12 ŚWIATŁO DROGI PRAWDY

Na powierzchni obcej planety rycerz Jedi leży i śni.

Organizmy, które tak naprawdę są urządzeniami, współpracują z innymi żywymi urządzeniami, by zadbać o potrzeby jego ciała: glukoza i sól fizjologiczna krążą w jego krwiobiegu, zmieszane z potężnymi alkaloidami, które pogrążają jego świadomość głęboko pod powierzchnią snu. Planeta, która go więzi, jest usiana plamami dzikiej dżungli pokrywającymi szkielet zrujnowanego miasta, a jej niebo spina Most upleciony z tęczy.

Rycerz Jedi śni o obcych i o Yuuzhanach. Śni o zdrajcach, którzy są Jedi, i o Jedi, którzy są zdrajcami. A nieraz w tym śnie zdrajca zwraca się ku niemu, mówiąc: “Jeśli nie jestem Jedi, czy wciąż jeszcze jestem zdrajcą? A jeśli nie jestem zdrajcą, czy jestem wciąż Jedi?”

I oto jeszcze jedna postać ze snu: podobny do szkieletu Yuuzhanin. Jedi w jakiś sposób pojmuje, że to Nom Anor, prorok z Rhommamool. Nom Anor z Duro.

Z Myrkra.

We śnie widzi jeszcze jedną istotę: drobną, smukłą i zwinną. Obca nieznanego pochodzenia w koronie z piór, biała fontanna Mocy.

Rycerz Jedi śni także o sobie: widzi, jak leży nieruchomo niczym trup, opleciony siecią pnączy i zdrewniałych konarów, stanowiących na wpół hamak, a na wpół pajęczą sieć. Widzi się jakby z zewnątrz, unosząc się wysoko, wysoko na jakiejś astralnej orbicie, zbyt odległej, aby rozpoznać twarze, choć w jakiś sposób wie, jak wyglądają.

I w jakiś sposób wie, że rozmawiają o pozbawieniu go życia.

Nie zwraca już na to większej uwagi, bo śnił ten sen wiele, wiele razy. Teraz powtarza go jak uszkodzona pętla danych.

Sen zawsze zaczyna się tak:

Nie wątpię w szczerą twoją nawrócenia - szepcze postać imieniem Nom Anor do zdrajcy - ale musisz zrozumieć, jak to będzie wyglądać na przykład w oczach mistrza wojennego Tsavonga Laha. Może odnieść wrażenie, że gdybyś był istotnie piewą Drogi Prawdy, zniszczyłbyś tego żalostnego Jedi bez litości jeszcze na statku obozowym, zamiast wlec go tutaj”.

Zdrajca ripostuje beznamiętnie:

“I pozbawiłbym Prawdziwych Bogów pełnej, formalnej ofiary?”

Obca w koronie z piór przytakuje z ciepłą aprobatą i wkrótce prorok musi się z nią zgodzić. “Każdy Jedi jest cennym jeńcem - przyznaje. - Możemy go złożyć w ofierze jeszcze tego samego dnia. Właściwie - bezwargie usta rozchylają się, odsłaniając uśmiech najeżony zębami ostrymi jak szpilki - sam możesz go złożyć w ofierze. Zarżnięcie jednego z twych dawnych braci z pewnością w znacznym stopniu złagodzi... hmm... wątpliwości mistrza wojennego”.

“Oczywiście”. - Zdrajca przytakuje skinieniem głowy, a w tym momencie sen rycerza Jedi nagle staje się koszmarem: uwięziony we wnętrzu nieruchomego, bezradnego, milczącego ciała, jakby już był trupem, pogrążony w przerażeniu, próbuje sięgnąć poprzez Moc, dotknąć zimnego, podłego serca zdrajcy. I ku swemu zdumieniu napotyka wyraźne wrażenie ciepła i dobrego humoru, jakby zdrajca mrugnął do niego okiem i przyjaźnie poklepał go po ramieniu. - “Ale możemy zrobić coś więcej. To może być pierwsza przymiarka, próba, a on będzie zastępował moją siostrę”.

Jak to zwykle we śnie bywa, rycerz Jedi rozumie już, że wpadł w pułapkę zastawioną na Jainę. Coś w tym jednak nie pasuje, coś, czego nie może sobie przypomnieć. Gdyby naprawdę chcieli złapać Jainę, musieliby skorzystać z lepszej opcji... ale na razie nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, z jakiej.

Jak zawsze, prorok sprzeciwia się planom zdrajcy: nawet istnienie tego zdrajcy jest ścisłą tajemnicą. W takiej próbie będzie uczestniczyć zbyt wielu Yuuzhan Vongów i niewolników, a sekret nieuchronnie wyjdzie na jaw.

“Tajemnica przestała być użyteczna - poważnie sprzeciwia się zdrajca. - Moje nawrócenie na Drogę Prawdy niczemu nie służy, jeśli ma pozostać sekretem. W dniu, kiedy schwytamy moją siostrę, będę głosił Słowo Prawdziwych Bogów całej galaktyce... ale musimy się do tego przygotować. Jeśli ceremonia ma przebiegać bezbłędnie, musimy ją przećwiczyć”.

“Co przećwiczyć? - pyta prorok. - Ofiara nie jest skomplikowanym rytuałem”.

Obca mówi:

“Wielka Ofiara, kiedy nadejdzie, będzie poświęceniem dobrowolnym; Drugi Bliźniak pójdzie na śmierć chętnie, z podniesioną głową i radością w sercu, wierząc, że przynosi Prawdę galaktyce”.

“On też - stwierdza zdrajca. - Dlatego uczyniliście mnie tym, kim jestem. Muszę doprowadzić go do Prawdy. Do Światła. Usłyszy Prawdę dźwięczącą w moich ustach i ujrzy Światło Boga, którym jestem, w moich oczach”.

Prorok wydaje się sceptyczny, ale stwierdza: - “Przygotowania zajmą trochę czasu”.

“Masz tyle czasu, ile ci potrzeba - mówi zdrajca. - Kiedy wszystko będzie przygotowane, przemówię do tego Jedi”.

I zawsze w tym momencie rycerz Jedi sięga w Moc, aby uderzyć w mózg zdrajcy młotem protestu, ale w zamian dostaje kolejne łobuzerskie mrugnięcie poprzez Moc. Zdrajca nie daje innego znaku, że uświadamia sobie obecność rycerza Jedi i zwraca się znów do proroka:

“Tego dnia Ganner Rhysode pójdzie dumnie u mojego boku, a ja doprowadzę go do Studni Mózgu Świata, gdzie wspólnie ofiarujemy jego śmierć na chwałę Prawdziwych Bogów”.

W tym fragmencie snu znajomy ucisk zgrozy zwykle zmusza go do powrotu w ciemność na jakiś czas, po czym znów wypływa na powierzchnię i sen zaczyna się od początku. I tak powtarza się wciąż od nowa, wytrawiony kwasem myśli w jego mózgu.

Od nowa, od nowa, od nowa, aż wreszcie...

Ganner Rhysode gwałtownie nabiera powietrza, wzdryga się i budzi.

To boli.

Ktoś wsadził Gannerowi rękę do gardła aż po łokieć, wpijając się palcami w oskrzela. Teraz ręka - palce, dłoń, nadgarstek i ramię powoli wycofuje się z jego wnętrza, sucha, twarda i szorstka jak kamień, drapiąc wnętrze gardła Gannera, dławiąc, pobudzając do torsji i kaszlu. W tym samym czasie rurki, przewody i igły wysuwają się z jego żył, nerwów i naciągniętej skóry...

“Gannerze Rhysode, zbudź się! Zbudź się i powstań! Rozkazuję ci!”

Wiedział, że śni, i wiedział, że się budzi, ale nie mógł strząsnąć z siebie tego snu. Sen spowijał go, otaczał, kleisty, lepki, błony rozciągały się w cienkie nitki i zwisające liny, łączące go z niezwykłym światem: dzikie sny o tym, jak został schwytyany przez tuzin Yuuzhan Vongów, wszyscy z twarzą Jacena Solo, szalone obrazy rytuału ofiary, obcych, Jainy i tego dziwaka Noma Anora...

Powieki uchyliły się z trudem, niczym przerdzewiałe kłapy włazów.

Ramię, które wysunęło się z jego tchawicy, okazało się nie grubsze od gałęzi, której kora pokryta była śluzem ze śladami krwi. Rurki, które wypełzły z jego żył poprzez skórę, wyglądały jak pokładelka ogromnych, rozdętych os, które wyrosły niczym galasy na pniach drzew po obu

jego stronach. Leżał w hamaku, który również wydawał się upleciony z pnączy - lecz pnącza te wiły się pod nim jak mięśnie, gnąc się i zaciskając jak sieć spleciona z węży.

Z sufitu zwisały inne pnącza, długie, poskręcane jak liny i zwinięte w kłębki - w istocie nie były to pnącza, raczej macki, bo przecież żadne pnącze nie jest w stanie zwijać się i rozwijać znowu... i nie były to również macki, ponieważ macki nie kończą się ogromnymi, rozjarzonymi czerwonymi ślepiami, które pomimo tych wszystkich skrętów i zwojów wydawały się nie mrugać i nie spuszczać z niego skupionego wzroku.

Narkotyki, pomyślał sennie. Naćpali mnie. Mam halucynacje.

- Zbudź się, Gannerze Rhysode! Zbudź się w imię Prawdy!

To musiała być halucynacja... musiała, ponieważ kiedy skręcił głowę na bok, by sprawdzić, kto wydaje mu te pompatyczne, choć dość głupio brzmiące rozkazy, facet do złudzenia przypominał mu Jacena Solo.

Ganner zamrugał i podniósł rękę, żeby zetrzeć z powiek resztki snu - dopiero wtedy stwierdził, że już nie jest sparaliżowany ani skrępowany. Nie miało to wielkiego znaczenia - alkaloidy krążące w jego żyłach sprawiały, że ręka wydała mu się niewiele lżejsza od Pogromcy Słońc.

Kiedy spojrzał znowu, wzrok mu się już nieco poprawił, a mimo to wciąż widział Jacena.

Lecz nie był to ten sam chłopiec, którego Ganner pamiętał.

Jacen był teraz wyższy i szerszy w ramionach. Słońce rozjaśniło jego brązowe loki w złociste blond pasma, a podbródek okalała ostra, ciemna broda. Twarz mu zeszcupiała, wyostrzyła się, nabrała delikatności, straciła chochlikowatą miękkość, radośnie łobuzerski wyraz, który sprawiał, że był podobny do ojca. Zastąpiła ją twardość kutej na zimno durastali. Ganner pamiętał taki sam wyraz na twarzy Leii, składającej z podium prezydenta w Wielkiej Rotundzie doniesienie na temat skorumpowanego senatora.

Nosił długą, powiewną szatę barwy czarnej, tak bardzo czarnej, że jej fałdy ginęły w bezkształtnej plamie ciemności. Wzdłuż rękawów wił się skomplikowany wzór, świecący własnym światłem, mieniący się jadowitą zielenią i szkarłatem jak sieć zewnętrznych arterii pulsujących jasnością zamiast krwi. Na ramiona narzucił coś w rodzaju białej komży, na której wiły się dziwne, niezrozumiałe, złociste znaki.

Ganner otworzył usta, by spytać Jacena, na jakim idiotycznym balu maskowym zamierza

zabłysnąć tym bezsensownym kostiumem, lecz zanim odrętwiały od narkotyku wargi zdołały uformować słowa, przypomniał sobie.

Jacen Solo jest zdrajcą.

- Nie lękaj się, Gannerze Rhysode - rzekł mrocznym, niskim głosem, niczym ktoś udający hipnotyzera. - Raduj się raczej! Nadszedł dzień Błogosławionego Uwolnienia!

- Czy... - Ganner musiał odchrząknąć, żeby usunąć z gardła chrypkę, która nawarstwiła się przez wiele dni milczenia. - Czy to znaczy... że mnie wypuścicie?

- Trojaki są Dary Prawdziwych Bogów. - Słowa padały jak głązy do głębokiej studni. - Dają nam życie, abyśmy mogli służyć Ich Chwale: to najpośledniejszy z Trzech Darów. Dają nam ból, abyśmy się nauczyli, że wartość Życia zawiera się jedynie w Ich Służbie: to większy Dar. Lecz Największym Darem Bogów jest Śmierć: to Ich Uwolnienie od Brzemienia Bólu i Przekleństwa Życia. To Ich Nagroda, łaska, litość, hojnie rozdawana nawet niesprawiedliwym i niewiernym.

Uwięziony. Odurzony. Bezradny. Zaraz zostanie zamordowany. Jak to dobrze, że byłem taki ostrożny i niepozorny, pomyślał Ganner jak we śnie. Inaczej mógłbym sobie narobić niezłych kłopotów.

- No taaak, wiesz co... - odezwał się ze słabym śmiechem. - Ci twoi bogowie... ja wiem, że oni chcą dobrze, ale chyba nie za bardzo wiedzą, kiedy sobie dać spokój. Są o wiele za hojni. Mnie tam jest całkiem dobrze z ich pierwszym Darem. Pozostałe dwa, no wiesz, mogą sobie poczekać...

- Milcz! - rozkazał Jacen, wyciągając wysoko ramiona z dłońmi skierowanymi do przodu, jakby mówił do tłumów ze szczytu góry. Nie trwoń oddechu na czcze słowa! Usłyszysz teraz naukę Drogi Prawdy!

Ganner wytrzeszczył oczy, niezdolny wykrztusić słowa, ale Jacen, zamiast mówić dalej, przymknął nagle oczy i zachwiał się, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Jacen?

Jedna dłoń zwinęła się w pięść z wyprostowanym palcem wskazującym. "Czekaj".

- Jacen, co oni ci zrobili? Cokolwiek się stało, możemy to naprawić. Musisz ze mną wrócić, Jacenie. Nie wiesz, co się dzieje. Jaina... wszyscy cię potrzebują. Nie wiem, co oni ci zrobili, ale to nie ma znaczenia. Cokolwiek to było, nie twoja wina. Możemy ci pomóc...

Jacen otworzył oczy i nagle opuścił lewą powiekę w długim, powolnym mrugnieniu.

Ganner zatrzasnął usta z lekkim kłapnięciem.

Jacen znów zamknął oczy.

I wszystkie gałki oczne na końcach macek-pnączy zwisających z sufitu po kolei poszły w jego ślady. Czerwony żar w każdej z nich przygasał powoli, skrywając się za parą pionowych powiek, a macki-pnącza rozluźniły się i opadły, zwisając bezwładnie.

Jacen opuścił ramiona i otworzył oczy. Wydawał się zmęczony znużeniem zbyt wielkim dla każdej ludzkiej istoty.

- Jak się czujesz? Czy siły już ci wracają? Będziesz mógł iść? Znów mówił jak chłopiec, lecz chłopiec, który postarzał się przedwcześnie.

Właśnie... zachowywał się jak starzec, dlatego wydawał się taki dziwny. Miał coś w oczach - jakąś odwieczną, zimną wiedzę, bolesne przyznanie się do gorzkiej prawdy, które zniszczyły w nim całe podobieństwo do rodziny Solo.

- Co ty tu... co się dzieje, Jacenie?

- Możemy teraz porozmawiać, ale niezbyt długo. Przekonałem monitorujące nas istoty, że przydałaby im się drzemka.

- Istoty? Monitorujące? Nie...

- Obserwują nas. O to właśnie chodziło w tym żalonym pokazie dla nerfów i Wookich, który ci przed chwilą zafundowałem. Yuuzhanie stwierdzili, że jestem wcieleniem jednego z ich Bliźniaczych Bogów.

Ganner wybałuszył oczy w przyływie niebotycznego zdumienia.

- Miałem sen... sen o ofierze... miałeś mnie zabić, a potem odnaleźć Jainę i ją także zabić... To był tylko sen, prawda? - Przełknął ślinę. - Prawda?

Jacen sięgnął do rękawa i wyjął woreczek, podobny do tego, w którym na statku obozowym trzymał truciznę. Ten woreczek również zawierał kłębuszek wilgotnej tkaniny; Jacen zaczął natychmiast przykładać go do otworów w skórze Gannera, jakie pozostały po wycofujących się pnączach.

- Teraz nie mogą nas widzieć ani słyszeć. Wkrótce ktoś się tu zjawi, żeby sprawdzić, dlaczego. Musimy być gotowi do wyjścia, kiedy tu przyjdą.

- Do wyjścia? Gdzie? Do jakiego wyjścia? Gdzie my jesteśmy, Jacenie? Co... hej, co ty mi robisz? Co to za paskudztwo? - Tam, gdzie skóra wchodziła w kontakt z wilgocią ze szmatki, Ganner przestawał krwawić. Do obezwładnionych narkotykiem mięśni wracały siły.

- Jesteśmy na Yuuzhan'tar. - Jacen nie przestawał wycierać go szmatką. - Rodzinnej planecie Yuuzhan Vongów.

Ganner słyszał już tę nazwę od uchodźców na statku obozowym.

- Chciałeś powiedzieć, na Coruscant.

- Nie. Nie chciałem.

- Sama zmiana nazwy nie czyni jej...

- Yuuzhanie zmieniają wszystko, czegokolwiek dotkną. - Dłoń Jacena opadła, oczy błąkały się gdzieś w mrocznej dali, daleko poza ścianami niewielkiego pomieszczenia. - Nie chodzi tu o nazwy. Wciąż nazywam się Jacen Solo.

Ganner zmarszczył brwi.

W chwilę później Jacen jakby nagle sobie przypomniał, gdzie jest. Rzucił szmatkę na podłogę i zdjął z siebie długą, powiewną białą szatę.

- Włóż to.

Ku swemu zdumieniu Ganner stwierdził, że może się poruszać bez problemu. Usiadł i opuścił nogi poza krawędź hamaka. Yuuzhanie pozostawili mu buty i spodnie, ale był wdzięczny Jacenowi za tę szatę. Nagi do pasa czuł się nieco skrępowany i bezbronny. Wstał i włożył ją, zdumiony, jak dobrze się czuje. Był ubrany. Mógł stać. Nigdy nie przypuszczał, że z prostych czynności można czerpać taką radość.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch i spojrzał w dół. Szata, którą miał na sobie, była podobna do ubrania Jacena. Długie, splecione sieci żyłek wzdłuż ramion i przodu pulsowały barwami. Różniły się jedynie kolorami: wzory na szacie Gannera były czarne i zielone na białym tle.

Zmarszczył brwi.

- Co to takiego?

- To twoja szata ofiarna. Na procesję do Studni Mózgu Świata.

Ganner wytrzeszczył oczy. Powróciło wspomnienie snu:

“Tego dnia Ganner Rhysode pójdzie dumnie u mojego boku, a ja doprowadzę go do Studni Mózgu Świata, gdzie wspólnie złożymy w ofierze jego śmierć na chwałę Prawdziwych Bogów”.

- O nie, nie zrobisz tego - rzekł i zaczął ściągać szatę.

- O tak, zrobię to.

- To jakaś sztuczka... - Czy przypadkiem jeden z Bliźniaczych Bogów Yuuzhan Vongów nie był zwykłym dowcipnikiem? Ile prawdy jest w tym, co mówi Jacen? - To wszystko jest jakąś sztuczką. Kłamiesz.

- No cóż, masz rację... Kłamię.

Ganner przystanął i wybałuszył oczy z otworu szaty, którą zdążył już prawie przełożyć przez głowę. Usta Jacena drgnęły w specyficznym uśmiechu Solo.

- Wszystko, co ci mówię, jest kłamstwem.

- Co?

- Słuchaj, prawda jest taka: wszystko, co ci mówią, jest kłamstwem. Prawda jest zawsze większa niż słowa, których używamy, by ją opisać.

- Wiedziałem! To rzeczywiście jakiś kawał!

- Tak. Ale nie dotyczy ciebie.

Ganner bez słowa pokręcił głową. Nie mógł skojarzyć tego Jacena z wesołym, ciemnowłosym dzieciakiem, którego znał. Przez chwilę ogarnęła go szalona nadzieja, że Jacen nie jest Jacenem - może ten zdrajca, który obiecał go zamordować, jest jakimś oszustem, klonem albo czymś, co wyrosło w niecce mistrzów przemian?...

- Eee... Jacenie? Ty to naprawdę ty, prawda? - Ganner skrzywił się lekko. Sam słyszę, jak głupio gadam, pomyślał.

- Nie - odparł mężczyzna, który wyglądał jak smutny, dorosły Jacen Solo. - Nie jestem Jacenem. Ale byłem.

- Nie rozumiem.

Westchnął.

- Jeśli zaczniesz myśleć o mnie jako o Jacenie Solo, tylko będzie ci to przeszkadzać. Byłem chłopcem, którego znałeś, Gannerze, ale nie jestem tym chłopcem, który znał ciebie.

- Ale żyjesz. - Ganner wciągnął do końca szatę i wygładził ją lekko. - I tylko to się liczy. Znalazłem cię. Po tak długim czasie. To najważniejsze. Żyjesz.

- Nie.

- Ależ tak, to najważniejsze - upierał się Ganner. - Nie masz pojęcia, co to znaczy dla Nowej Republiki, że żyjesz! Co to będzie znaczyło dla Jainy...

- Ale ja nie żyję.

Ganner zamrugał oczami.

Jacen miał smutną minę.

- Nie rozumiem - odparł Ganner.

- Nic na to nie poradzę.

- Ale... ale... Jacenie, daj spokój, nie bądź śmieszny...

Mroczna dał całkowicie wypełnić spojrzenie Jacena.

- Umarłem wiele miesięcy temu, Gannerze. Umarłem wkrótce po Myrkrze. Jeszcze po prostu nie zdążyłem się położyć.

Po plecach Gannera przeszedł lodowaty dreszcz.

- Jesteś... martwy?

- Właśnie - odparł Jacen. - I ty też.

Część udzielonych w pośpiechu wyjaśnień Jacena miała swój sens. Umiejętnie rozsiewane plotki wiodły do "pułapki" na statku obozowym, ale w gruncie rzeczy nikt nie miał się w nią złapać. Jacen grał tylko na czas. Miał nadzieję, że jeśli upłynie parę tygodni i nic się nie zdarzy, Nom Anor zabierze go stamtąd. Gdyby rzeczywiście chciał złapać Jainę, wystarczyło tylko odtworzyć więź Mocy, która ich łączyła od urodzenia. Nic w całej galaktyce nie powstrzymałoby jej wtedy przed odszukaniem brata.

- Nic w całej galaktyce nie powstrzyma Jainy przed zrobieniem tego, co sobie zamierzy. Dlatego musiałem zamknąć tę część siebie. Gdyby odkryła, że żyję, przyszłaby do mnie... a to by zabiło i ją. Jak Anakina. Jak mnie. - Na jego twarzy znów pojawił się ten dziwny smutek. - I ciebie.

Ganner udał, że nie słyszy. Jacen całkiem wyraźnie miał nierówno pod sufitem. Po tym, co przeszedł, Ganner nie mógł go nawet winić.

- A gdyby rzeczywiście to ona pojawiła się w obozie?

Jacen przymknął oczy i zaraz znów je otworzył. Był to zbyt powolny ruch, by go nazwać mrugnięciem.

- Wtedy prowadziłbym tę rozmowę z nią. A ty dożyłbyś sędziwego wieku.

Jacen wyczuł zamiary Gannera na długo przed jego przybyciem i zrobił wszystko, co było możliwe w tych okolicznościach, aby go zniechęcić. Mrozący krew w żyłach lęk, przekonanie, że idzie na śmierć, a nawet bezpośredni odruch, żeby odwrócić się na pięcie i wiać wszystko to było dzieło Jacena, sięgającego poprzez Moc, aby zniechęcić Gannera.

- I nic nie pomogło - westchnął Jacen i pokręcił głową. - Gdybyś nie był tak cholernie

dzielny, mógłbyś przeżyć...

- Uhm... chyba masz rację - z wahaniem odparł Ganner. - Ale... Jacenie, ty chyba rozumiesz, że ja tak naprawdę nie umarłem, prawda?

- Gannerze, to ty musisz zrozumieć. Jesteś martwy. Od chwili, kiedy wróciłeś do kabiny na statku obozowym. Właśnie to cię zabiło. - Jacen ze znużeniem oparł się o ścianę i potarł zaczerwienione oczy. - Wojownicy, którzy byli ze mną, chcieli cię zarżnąć na miejscu. Był tylko jeden sposób, żebyś mógł uciec; musiałbym ci pomóc, a wtedy pokazałbym im, że w głębi serca wciąż jestem Jedi. Pilot uruchomiłby dovin basala i zniszczył cały statek.

- I siebie razem z całą resztą?

- Samobójcze misje to honor dla Yuuzhan. Wiesz, że ta historia z Błogosławionym Uwolnieniem nie jest jedynie dogmatem? Oni w to rzeczywiście wierzą.

Smutek w spojrzeniu chłopca sprawił, że Ganner zaczął się zastanawiać, czy i Jacen sam w to trochę nie wierzy.

- Obaj jesteśmy martwi już od bardzo dawna, Gannerze. A dzisiaj... - Jacen skądś zaczerpnął nowych sił, odepchnął się od ściany i stanął prosto jak człowiek, który zmęczenie zna wyłącznie z opowieści. - Dziś nadszedł dzień, kiedy przestaniemy oddychać.

Ganner potarł twarz, jakby próbował sobie wetrzeć zrozumienie przez skórę.

- Dlaczego więc nie pozwoliłeś im po prostu mnie zabić?

- Ponieważ cię potrzebuję. Ponieważ mogę cię wykorzystać. Ponieważ obaj mamy szansę, aby nasza śmierć przyniosła komuś pożytek.

Jacen wyjaśnił, że "ofiara" to mistyfikacja. To po prostu jedyny sposób, aby przedostać się do Studni Mózgu Świata. Ganner rozumiał ten "mózg świata" jako coś w rodzaju organicznego planetarnego superkomputera, wyprodukowanego przez Yuuzhan Vongów, aby zarządzał ekologią na odtworzonej rodzinnej planecie. Jacen przez całe tygodnie zachodził w głowę, jak się dostać do Studni, która była czymś w rodzaju wzmocnionego bunkra, nieprzebytej czaszki, zaprojektowanej dla ochrony Mózgu Świata przed każdym uszkodzeniem. Yuuzhanie - w szczególności zaś Nom Anor, który był opiekunem Jacena - nie dopuszczali go do tego miejsca. Jeszcze nie wierzyli, że jego nawrócenie było prawdziwe.

Ganner rozumiał. On z kolei nie dowierzał, że nie było prawdziwe.

- Długo czekałem na szansę, aby skraść dziesięć samotnych minut w Studni Mózgu Świata. Ty, Gannerze, twoja "ofiara", jesteś moim kluczem do drzwi Studni. A ja muszę się tam

dostać.

- A co jest takiego ważnego w tym Mózgu Świata? Co zrobisz, kiedy już się tam znajdziesz?

Jacen nagle znieruchomiał, a jego twarz przybrała wyraz niezłomnej determinacji, typowej dla Skywalkerów.

- Zamierzam - rzekł spokojnie i z pełnym przekonaniem - nauczyć Yuuzhan, jak w istocie działa wszechświat.

Ganner poczuł, że ogarnia go fala przesywającego chłodu, jakby w Moc wsączył się zimny cień.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz. Powtarzaj za mną: "Ujrzałem Światło Drogi Prawdy i idę do Bogów z radością w sercu, pełen wdzięczności za Ich Trzeci Dar".

- Chyba ci odbiło.

Jacen w zadumie skinął głową, jakby sam brał pod uwagę taką możliwość i doszedł do wniosku, że właściwie nie da się temu zaprzeczyć

- Dlaczego sądzisz, że na to pójde?

Twarde spojrzenie Jacena spoczęło na Gannerze.

- Ja cię nie proszę, Gannerze. Ja proponuję. Nie potrzebuję twojej współpracy. W dziesięć minut po przejściu przez bramę Studni obaj będziemy martwi, czy zechcesz współpracować, czy nie.

- No to właściwie po co mam się męczyć?

Jacen wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie?

- Skąd mam wiedzieć, czy ci wierzyć? Skąd mam wiedzieć, czy nie powinienem cię od razu załatwić? - Ganner przesunął ciężar ciała na pięty, uzyskując stan równowagi, z którego mógł skoczyć w dowolnym kierunku. - Wiem, że jesteś teraz silniejszy, Jacenie... silniejszy niż ja kiedykolwiek będę. Wyczułem to już na statku i wiem, że jeśli zechcesz, możesz mnie zabić. Ale mogę sprawić, że zabijesz mnie tutaj.

Jacen rozłożył ręce. Jego twarz wyrażała spokojne wyczekiwanie.

- Wybierz i działaj.

- Wybrać? Co to znaczy, że mam wybrać?

- Możesz wybrać śmierć za nic lub śmierć w Studni Mózgu Świata, dzięki czemu może zmienisz losy galaktyki.

Ganner oblizał wargi.

- Jak mam zdecydować? Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać? - Nie możesz. - Rysy Jacena znowu zmiękły, a cień uśmiechu Solo bez śladu wesołości pojawił się na jego ustach. - Zaufanie, Gannerze, zawsze jest aktem wiary.

- Łatwo ci mówić!

- Chyba tak. Chcesz wiedzieć, do jakiego stopnia ci ufam? - Sięgnął w fałdy szaty, wyjął coś i podsunął Gannerowi pod nos. - Proszę.

Na otwartej dłoni spoczywała rękojeść miecza świetlnego.

Ganner zamrugał i szybko przetarł oczy.

Kiedy spojrzał znów, miecz wciąż tam był.

- Weź go - rzekł Jacen. - Użyj, jeśli musisz. Nawet jeśli zechcesz użyć go na mnie.

- Oddajesz mi swój miecz świetlny.

Jacen pokręcił głową.

- Nie jest mój. No, już. Weź go.

- Co to jest? Jeszcze jedna sztuczka? Wybuchnie mi w ręce?

- Nie jest atrapą - odrzekł Jacen ze smutkiem tak głębokim, że mógł go wyrazić tylko taką spokojną, suchą precyzją. - To nie sztuczka.

Po raz trzeci wyciągnął dłoń z mieczem w kierunku Gannera.

- Należał do Anakina.

- Anakina! - Przez ciało Gannera przeszedł ostry, gorący dreszcz, jakby piorun musnął go w locie. - Skąd masz miecz Anakina?

- Przyjaciel przechował go dla mnie. - Jacen skrzywił się lekko, jakby sam się zdumiał, że wypowiedział te słowa. - Tak. Przyjaciel.

Ganner mógł tylko patrzeć z otwartymi ustami. Był oszołomiony. Zdumiony.

- A ty chcesz dać go mnie?

- Może ci się przydać. W końcu zniszczyłem twój.

Dłoń Gannera dygotała, kiedy sięgał po miecz. Czuł w dłoni jego ciepło, ciepło gładkiego, lśniącego metalu ogrzanego przez ciało Jacena. Wyczuwał jego strukturę poprzez Moc, czuł dopasowanie wszystkich elementów, indywidualność konstrukcji, która sprawiała, że

należał do Anakina. Czuł Anakina w kształcie rękojeści.

Czuł też coś innego: tam, gdzie jego własny miecz miał klejnot Corusca, ten miał pustkę, pustą przestrzeń w Mocy - lecz w uchwycie tkwił lśniący ametyst, który wydawał się lśnić własnym, wewnętrznym światłem.

Uruchomił wyłącznik i ostrze wystrzeliło z sykiem na całą długość, lśniące, rażące oczy i brzęczące szumem, który czuł nawet w zębach.

Miecz rozświetlił pomieszczenie ostrym, nienaturalnym, purpurowym blaskiem.

- A co z tobą? Gdzie twój miecz?

Jacen pokręcił głową.

- Nie widziałem mojego miecza świetlnego od Myrkra. Jeśli chodzi o to, co mam do zrobienia... broń nie ma tu znaczenia.

- Ale... ale...

Jedna ze ścian zatrzęsała się od głuchego dudnienia. Na tej ścianie widniała duża guzowata wypukłość, przypominająca ściągnięte wargi wyrzeźbione w drewnie. Z zewnątrz dochodziły stłumione głosy, wykrzykujące coś w gardłowym, przypominającym torsje języku Yuuzhan Vongów.

- Są tu - odezwał się Jacen. Skinął głową w kierunku miecza w dłoni Gannera. - Lepiej to schowaj. Jeśli go znajdą przy tobie, zabiją nas obu. - Łagodnie ironiczny uśmiech wygiął mu wargi. - Chciałem powiedzieć, że zabiją nas obu zbyt wcześnie.

Ganner tonął w poczuciu nierealności, dławił się nim. Jego sen nabrał nagle znacznie więcej sensu niż jawa. Machnął mieczem Anakina, jakby zapomniał, co to jest.

- Musisz pomóc mi zrozumieć.

- Pamiętaj tylko tyle: "Ujrzałem Światło Drogi Prawdy" - mocno, znacząco powtórzył Jacen. - I jeszcze: "Idę do Bogów z radością w sercu, pełen wdzięczności za Ich Trzeci Dar".

Ganner stał z bezradnie otwartymi ustami, patrząc, jak ściągnięte wargi w ścianie nagle rozchylają się w przejście, za którym znajdował się ogromny, sklepiony hol. Poderwał się, w pośpiechu omal nie upuszczając miecza świetlnego Anakina. Ledwo zdążył go wyłączyć i upchnąć w obszernym rękawie szaty.

Hol pełen był poranych bliznami wojowników Yuuzhan Vong, sztywno stojących na baczność i prezentujących broń.

Tuż za wejściem stała para nerwowych, spoconych Yuuzhan, należących do kasty, której

Ganner nie rozpoznawał. Obaj trzymali na smyczach podobne do gadów stworzenia wielkości banth. Stwory siedziały na zadach i przednimi, szponiastymi łapami przytrzymały membranę, by się nie zamknęła. Nieco dalej, w głębi, zauważył około tuzina przepysznie ubranych Yuuzhan, w identycznych, fantastycznych strojach, lśniących i wijących się niespokojnie. Otaczali półkolem dwie postacie.

Jedna z nich miała na głowie ogromny, najeżony kolcami kołpak. - Ganner wiedział, że ten rodzaj nakrycia głowy jest ulubiony przez mistrzów przemian. Drugi Yuuzhanin nosił długą czarną szatę i w uśmiechu pokazywał ostre jak igły zęby. Ganner rozpoznał tę twarz ze swego snu.

Nom Anor.

Jacen wyszedł im naprzeciw bez śladu lęku.

- Co oznacza to wtargnięcie? - zaintonował, przechodząc znów w grzmiące tony głosu Wcielenia Boga. - Jak śmiecie mi przeszkadzać w dzieleniu się Światłem?

Nom Anor zrobił krok do przodu, zbliżył swoją twarz do twarzy Jacena i szepnął niespodziewanie:

- Doskonale, Jacenie Solo. Znakomicie nosisz tę szatę. - Odsunął się i powiedział głośniej, tak aby wszyscy stojący w pobliżu mogli słyszeć: - Istoty monitorujące was nagle straciły świadomość. Niepokoiłiśmy się. Czy wszystko w porządku?

- Twój niepokój jest dla mnie obrazą - odparł Jacen z imponującą arogancją.

Brwi Noma Anora powędrowały w górę, jakby próbował stłumić uśmiech, ale mistrz przemian oraz pierścień wystrojonych Yuuzhan Ganner domyślił się, że to kapłani - wydawali się traktować go znacznie poważniej. Kilku z nich wyraźnie drgnęło.

- Nie może się zdarzyć nic, co nie jest zgodne z moją wolą. Jeśli te stworzenia usnęły, to dlatego, że im kazałem!

Ganner zamrugał. Ciekawe, pomyślał. Jak on potrafi mówić prawdę tak, żeby się wydawało, że kłamie.

Jacen dumnie zwrócił się do Gannera.

- Powiedz tym słabym, pozbawionym wiary istotom, co się zdarzyło w tym pomieszczeniu.

Ganner zamrugał.

- Ja... hm... eee... to znaczy...

- Mów! Rozkazuję ci przemówić! - Po tej stronie twarzy Jacena, która była odwrócona od sklepionego korytarza, powieka znów mrugnęła lekko.

Ganner doznał prawdziwego olśnienia.

Nie musi wiedzieć,

Musi tylko zdecydować.

Nieważne, co się stanie, i tak czeka go śmierć. Nie chodzi więc o to, czy umrze.

Chodzi o to, jak umrze.

- Ujrzałem Światło Drogi Prawdy. - Jego głos zabrzmiał zaskakująco spokojnie, jeśli brać pod uwagę trzepotanie, jakie czuł w piersi, i uczucie, że wnętrzości nagle zmieniły mu się w wodę. Z dłońmi w rękawach ścisnął rękojeść miecza Anakina, jakby to był talizman, który obdarzy go siłą. - I jeszcze... eee... pójdę do Bogów z radością w sercu i... z wdzięcznością za Ich Trzeci Dar!

- Doprawdy? - wyszeptał bezgłośnie Nom Anor ze złośliwym błyskiem w oku, jakby nie dał się ani na moment oszukać, lecz jeden z kapłanów zawołał głosem dźwięcznym jak klakson taksówki powietrznej:

- Tchurokk sen khattazz al'Yun! Tchurokk'tiz!

Zebrani wojownicy odpowiedzieli rykiem lawiny:

- TCHUROKK!

Entuzjastyczni mali kibice, no nie? - pomyślał niepewnie Ganner. Zachowywali się jak na meczu.

- Co oni mówią? - zapytał szeptem Jacena.

- Okazują mi należny szacunek - odparł Jacen z królewską pewnością siebie. - Słowa oznaczają: "Spójrzcie, oto wcielenie Boga".

- Tchurokk sen Jeedai Ganner! Tchurokk'tiz!

- TCHUROKK!

- O, i mnie też... hm... lubią?

- Nie lubią cię - wtrącił Nom Anor, przepełniony złośliwą radością jak nażarty Hutt. - Nikt cię nie lubi; wyrażają jedynie szacunek dla twojej dobrowolnej ofiary Prawdziwym Bogom.

- Jasne... Mojej... eee... dobrowolnej ofiary. Prawdziwi Bogowie. Racja. No to... na co czekamy?

- Na nic - odparł Nom Anor. - Zaczynamy przedstawienie.

R O Z D Z I A Ł 13 CHORY NA CHWAŁĘ

Ganner trzymał się krok za lewym ramieniem Jacena, starając się wyglądać poważnie i godnie, i nie pokazać po sobie panicznego lęku. Było mu tak niedobrze, że oczy mu łzawiły.

Starął się skupić uwagę na czymś innym. Na czymkolwiek. Jeśli będzie myślał o tym, jak bardzo go mdli, zaraz padnie na kolana tam, gdzie stoi, i zwymiotuje.

Szeroki pierścień Yuuzhan, którzy wiedli prym w sklepionej sali Ganner domyślił się, że to kasta kapłanów - otaczał ich w odległości dziesięciu metrów. Przed nimi, w asyście pełnej szacunku gwardii honorowej, szedł Nom Anor i ten sam mistrz przemian, którego widzieli już w sali: wielki, brzydki osobnik z kępą czułeków wyrastającą z kącika ust.

Pochód otwierał klin dziwacznie okaleczonych wojowników, niosących przeróżne mniejsze i większe stworzenia, które w miarę potrzeby ściskali, szturchali i wykręcali w rytm marszu, a kakofonia krzyków i jęków bólu tworzyła swego rodzaju rytmiczną muzykę. Za kapłanami otaczającymi Gannera i Jacena szła parada wojowników. Długie rzędy maszerowały równo jak pod sznurek. Nad nimi powiewały proporce - rodzaj młodych drzewek, które na końcu wypuszczały pęki wijących się wężowato kolorowych wyrostków. Każde drzewko było inne, przystrojone w różne barwy i każde wykonywało odmienne ruchy. Na ich widok nieprzyjemne uczucie w żołądku Gannera jeszcze się wzmogło.

Nie tylko o to jednak chodziło. Cała ta impreza przyprawiała go o coraz wyraźniejsze mdłości.

Nienawidził tego.

Przez całą procesję Jacen mówił do niego spokojnym głosem, opisując fragmenty swoich doświadczeń z kulturą i biotechnologią Yuuzhan Vongów. Zniżał głos do szeptu, ledwie poruszając ustami, aby nikt z eskorty nie zorientował się, że mówi. Ganner rozumiał może z połowę tego, co usłyszał, i był pewien, że nie zapamięta nawet połowy z tego, co zrozumiał. Nie był w stanie skoncentrować się na słowach Jacena, ponieważ większą uwagę musiał poświęcić własnej koncentracji i trzęsącym się nogom, które w każdej chwili groziły ugięciem. I tak nie przeżyje dość długo, by o tym komukolwiek opowiedzieć.

Było mu mdło, ale nie ze strachu. Oczywiście, bał się śmierci, ale już nieraz zdarzało mu

się zaglądać jej w twarz - i nigdy nie miał galaretowatych kolan ani mdłości.

Trzymał ukryty w rękawie uchwyt miecza świetlnego Anakina. Tylko jego twardy, gładki kształt pozwalał mu zachować opanowanie i nie obrzygać sobie szaty.

Może zresztą cała reszta świata też przyprawiała go o mdłości.

Myślał, że jest gotów, żeby pierwszy raz spojrzeć na Coruscant; w końcu podczas swojego śledztwa słyszał na ten temat dziesiątki opowieści, krążących pośród uchodźców na statku obozowym. Wiedział o niewyobrażalnie płodnej dżungli pokrywającej zrujnowane planetarne miasto. Opowiadano mu o olśniewających pierścieniach orbitalnych, które niektórzy z uchodźców nazywali Mostem. Wiedział, że Yuuzhanie zmienili orbitę Coruscant, aby sprowadzić planetę bliżej ku jej gwiazdzie.

Ale wiedzieć o tych rzeczach to nie to samo, co z chłodnego cienia wyjść na żar błękitnobiałego południa, wykluwającego mu oczy ostrymi promieniami słońca, wyciskającego z czoła pot, który strużkami spływa do ust, za uszy, jak rzeka płynie po plecach, i klei do nóg sztywny materiał spodni. Powietrze było wilgotne jak oddech Priapulina, cuchnęło tak, jakby cała planeta była jaskinią małpojaszczura, którą ktoś zasypał gnijącymi miodunkami.

Procesja wędrowała spiralną ścieżką poprzez ogromny labirynt żywopłotu. Rośliny wciąż rosły, splatały się za ich plecami; ogromne, wijące się ściany gałęzi były najeżone kolcami, od małych, półcentymetrowych do długich jak ramię Gannera. Tysiące Yuuzhan Vongów nieznannej kasty wędrowało w górę i w dół po tych ścianach. Ozdabiali je festonami jaskrawo ubarwionych epifitów i kwitnących pnączy, wieszali też żywe klatki zamieszkałe przez rozmaite stworzenia, tak dziwne, że Ganner wołał im się nie przyglądać, bo identyfikował je jako owady lub gady, gryzonie czy kotowate, a więc takie, jakie znał, podczas gdy były one zupełnie niepodobne do wszystkiego, co zdarzyło mu się oglądać.

Dotarła do niego część wyjaśnień Jacena - że żywopłot ten ma służyć dwojakiemu celowi: nie tylko będzie stanowił ceremonialną aleję, lecz również chronił główny skarb planety - Studnię Mózgu Świata na wypadek, gdyby Yuuzhan'tar została napadnięta. Wyrośnięte ciernie żywopłotu spotkają się nad ich głowami, tworząc tunel wysoki na dwadzieścia metrów, a szeroki na trzydzieści, twardy jak durastal, ognioodporny i dość trwałe, aby zminimalizować skutki materiałów wybuchowych - same ciernie zaś zawierają neurotoksynę tak potężną, że nawet najdrobniejsze ukłucie zniszczy cały centralny system nerwowy nieszczęśnika, który będzie miał pecha i dotknie ich. Naziemne siły wroga będą zmuszone iść tą samą drogą, którą poruszała się

teraz procesja, napotykając na swojej drodze dziesiątki pułapek.

Od czasu do czasu, poprzez szczeliny w niekompletnym labiryncie, Ganner mógł dostrzec na mgnienie oka ich cel.

Studnię Mózgu Świata otaczała góra koralu yorik. Wysoko na pół kilometra, rozciągała się w płaską kopułę o średnicy prawie dwóch kilometrów. Nawet pogrzebany pod koralową górą, kształt ten nie mógł zmylić nikogo, kto kiedykolwiek był na Coruscant.

Ganner dokładnie wiedział, czym kiedyś była ta budowla. Może także ten widok miał swój udział w jego mdłościach.

Studnia Mózgu Świata była kiedyś Galaktycznym Senatem.

Budynek senatu przetrwał planetarny nalot praktycznie bez uszkodzeń. Jego pierwszy architekt tysiąc lat temu stwierdził, że każda broń zdolna do zniszczenia Galaktycznego Senatu wystarczy, aby roztrzaskać całą planetę. Oczywiście, była to przesada, ale i tak bez wątpienia senat był jednym z najtrwalszych budynków, jakie kiedykolwiek zaprojektowano. Nawet całkowite zniszczenie sali obrad senatu dziesięć lat temu prawie nie uszkodziło konstrukcji nośnej. Wielka sala zebrań Nowej Republiki została zbudowana bezpośrednio na prochach starej. Konstrukcja plastra miodu dawała senatowi niewiarygodną wytrzymałość konstrukcyjną, pod wieloma względami podobną do koralu yorik. Jedynie bezpośrednie strzały były w stanie wyrządzić prawdziwe szkody, wewnątrz zaś zaprojektowano jako system grodzi, co powodowało, że szkody były lokalne, a także minimalizowało przenoszenie drgań.

Koral yorik, wyjaśniał Jacen, trawił za pomocą enzymów durabeton i transparistal senatu, a na koniec wykorzystywał przetrawione substancje do budowy własnego szkieletu. Yuuzhanie przyjęli dawno zapomnianą przechwałkę architekta i uczynili z niej prococtwo: każda broń, która będzie w stanie zniszczyć Mózg Świata, będzie dość potężna, by zniszczyć również całą planetę.

Yuuzhanie nie zadowolili się samą tylko wytrzymałością konstrukcyjną; zainstalowali w kopule obronną sieć dovin basali. Nawet jeśli Nowa Republika w jakiś sposób weszłaby w posiadanie broni niszczącej całą planetę, Studnia mogła przeżyć rozpad globu jako samodzielny statek, chroniąc Mózg wraz z jego niezastąpioną genetyką i nieocenionymi umiejętnościami.

Przekształcenie koralu nie było jednak kompletne. Pozostawało jeszcze kilka słabych punktów konstrukcji - na przykład te miejsca, które uszkodziła bomba protonowa zdetonowana w biurach Borska Fey'lyi.

- Ktoś zbombardował biuro Fey'lyi? - wymamrotał Ganner w stronę potylicy Jacena. -
Przed czy po inwazji?

Jacen odpowiedział cichym chichotem, suchym jak lato na Tatooine. Skinął głową w kierunku pospinanej korzeniami dżungli ruiny Pałacu Imperialnego, gdzie wciąż widać było jeszcze półkilometrową dziurę, którą bomba wyrwała w jednym z narożników.

- Mówią, że Fey'lya sam odpalił bombę. Twierdzą też, że zabrał ze sobą około dwudziestu pięciu tysięcy piechoty i grupkę wysokiej rangi oficerów Yuuzhan Vongów... włącznie z dowódcą desantu.

- Oni, to znaczy kto? Kto tak mówi?

- Sami Yuuzhanie. Podziwiają takie czyny. Czczą Fey'lyę jako kogoś w rodzaju pomniejszego bohatera wojennego.

- Hmm. Widocznie nie znali go tak dobrze jak my.

Plecy Jacena drgnęły, choć nie było to wyraźne wzruszenie ramion.

- A może my nie znaleźliśmy go tak dobrze, jak powinniśmy byli.

Ganner pokręcił głową. Ta rozmowa wcale nie poprawiła mu samopoczucia, wręcz przeciwnie.

- Skąd wiesz, że to nie jakaś próba? - zapytał. - Skąd wiesz, że w Studni nie czeka kompania wojowników, aby zabić cię na pierwszy znak, że nie zamierzasz im się poddać?

- Nie wiem. Ale powiedziano mi, że Yuuzhanie potraktowaliby taką "próbę" jak świętokradztwo. Nikt nigdy nie pozwoliłby wojownikom zastawić pułapki w Studni.

- Powiedziano ci? Kto ci powiedział?

- Moja... przyjaciółka. Nazywa się Vergere.

Ganner skrzywił się lekko, przypominając sobie obcą istotę ze swojego snu.

- Czy to ta Vergere? Ta sama, która była zwierzątkiem morderczynie Yuuzhan Vongów?

- Ta sama, która uleczyła Marę swoimi łzami. Ta sama, której łzy uleczyły także ciebie.

- I ta sama, która cię wydała Yuuzhanom. - Gannerowi wcale się to nie spodobało. -
Jesteś pewien, że ona jest po naszej stronie?

- Naszej stronie? - zamyślił się Jacen. - To znaczy po stronie Nowej Republiki? Wątpię.

Nagle Gannera ogarnęło dziwne, przemożne pragnienie, aby spojrzeć w twarz Jacena. Coś niezwykłego było w pozycji jego głowy...

- Nie jestem pewien, po jakiej stronie się opowiada - ciągnął Jacen. - Nie wiem, czy po

jakiegokolwiek. Nie wiem też, czy ona w ogóle wierzy w jakieś “strony”.

- Ale powiedziałaś jej, co planujesz? Jak możesz jej ufać?

- Zdecydowałem się wierzyć, że ona mnie nie zdradzi.

Ganner usłyszał w głowie echo słów: “Zaufanie jest zawsze aktem wiary”. Ta pęczniąca kula mdłości w żołądku z każdą chwilą jest coraz cięższa... Świat zawirował wokół niego jak powolny wir galarety.

Labirynt cierni skończył się nagle i otworzył na ogromny most w kształcie klina, zbudowany z białych żeber, które wydawały się gładko przeplecionymi poziomymi pniami żywych drzew. Liściaste gałęzie wznosiły się ku słońcu po obu jego stronach. Podnóże mostu pomiędzy ścianami z gałęzi liczyło co najmniej sto metrów, ale wznosząc się, most zwężał się jednocześnie, tworząc rampę, której koniec dotykał wielkich wrót Senatu Galaktycznego: podwójne odrzwia z durastali, wielowarstwowe jak zbrojona powłoka niszczyciela gwiazdowego, miały intarsjowany wzór Wielkiej Galaktycznej Pieczęci otoczonej pieczęciami Tysiąca Światów.

Tu koral yorik został ukształtowany tak, by zostawić przejście. Wokół obwodu drzwi rozrastała się już niedojrzała przepona przejściowa niewiarygodnych - choć przecież jeszcze niepełnych - rozmiarów, pozostawiając odsłoniętą jedynie centralną część Wrót.

Straż przednia zaczęła wspinać się na rampę, a krzykliwa muzyka zwolniła tempo, pogłębiła się i rozlała w ozdobnej frazie, przechodząc z marsza wojskowego w poważną i pompatyczną muzykę religijną. Zmiana rytmu wyssała ostatnie siły z kolan Gannera. Nogi ugięły się pod nim, a on sam padł na twarz u stóp mostku, zwinięty w embrionalną kulę, z kolczastą pięścią mdłości zaciśniętą wokół swoich wnętrzności. W ustach miał pełno śliny, z trudem chwycił oddech. Zaciśnął z całych sił powieki, usiłując nie zwymiotować.

- Ganner? Ganner, co się z tobą dzieje? - Niski, zatroskany głos Jacena dochodził z bliska, znad jego głowy. - No, Ganner, musisz wstać!

Ganner nie był w stanie. Nie mógł też mówić. Nie mógł nawet otworzyć oczu. Gładkie, twarde pnie stanowiące żebrowanie mostu chłodziły go przyjemnie, były o wiele chłodniejsze niż słońce, które paliło mu plecy, a on chciał już tylko umrzeć. Tu i teraz. Gdyby tylko mógł...

Z pewnego oddalenia dobiegł go chrząkająco-warczący dźwięk języka Yuuzhan. Dwa głosy, jeden rozkazujący i wzgardliwy, drugi przymilny i łagodny.

W chwilę później usłyszał, jak Nom Anor syczy we wspólnym:

- Wielki Mistrz Przemian pyta, czemu Jedi leży jak brenzlit. Skłamałem mu, Jacenie Solo. Powiedziałem, że ludzie w taki sposób okazują szacunek Prawdziwym Bogom. Zmusz go, żeby wstał. Zmusz tę żalosną, słabą imitację Jedi, żeby dokończył ofiary, zanim Wielki Mistrz Przemian się zorientuje, że kłamałem.

- Jest tylko człowiekiem - usłyszał Ganner odpowiedź Jacena. Nie możecie trzymać kogoś pod wpływem narkotyków przez kilka tygodni, a potem kazać mu chodzić. Jest słaby, ponieważ jest chory.

Ganner płonął wstydem. Nawet Jacen kłamał dla niego. Słabość, która tak bezlitośnie przygniatała go do mostku, nie była fizyczna. A tłumaczenia i troska Jacena tylko pogarszały sprawę.

Wszyscy muszą dla mnie kłamać, pomyślał. Wszyscy muszą udawać, że nie jestem tak żalosny, beużyteczny i słaby, jak naprawdę jestem. Ale ja już nie mogę udawać. Nie mogę.

W gardle Gannera wezbrała fala wstrętu do samego siebie. Paliła niczym wymiociny, wyciskała z oczu kłujące łzy. Ganner natrafił kciukiem na płytkę uruchamiającą miecz Anakina. Przycisnął kryształ miecza świetlnego do żeber, nie zdając sobie nawet do końca sprawy, co robi. Jedno naciśnięcie, a purpurowa klinga czystej energii przetnie ciało, kość i słabe, wodniste wnętrzości, napęliając serce tchórza zapomnieniem...

- Daj spokój, Ganner, prawie jesteśmy na miejscu - szepnął Jacen. - Nie spieprz teraz wszystkiego.

- ...przepraszam... nie mogę... - to było wszystko, co Ganner był w stanie wykrztusić w cichym, pełnym rozpaczny jęku. Objął się ramionami, wbijając palce w żebra, przyciskając buntowniczy żołądek. - ...nie mogę... Jacenie... przepraszam... zawiodłem...

Palce zacisnęły mu się na wyłączniku miecza.

Niewidzialne dłonie chwyciły go pod pachy i postawiły na nogi. Zwiślał bezwładnie, lecz mimo to procesja podjęła marsz, wspinając się na most w kierunku Wielkich Wrót. Nogi Gannera dyndały bezwładnie, bo nie miał siły nimi poruszać, ale udawał, że idzie o własnych siłach. Ciało wibrowało mu od dotknięcia Mocy.

Jacen go podtrzymywał.

- Widzisz, wszystko w porządku - odezwał się teraz do Noma Anora. - Nic mu nie jest. Wróć na swoje miejsce i uspokój Wielkiego Mistrza Przemian.

Ganner zwiślał w niewidzialnym uchwycie Mocy Jacena, pograżony w upokorzeniu.

Nom Anor odszedł szybko. Gdybyż mógł teraz umrzeć - gdyby ten most z pni pod jego stopami rozwarł się jak paszcza i wchłonął go na wieki...

Przez całe życie podążał za jednym marzeniem: chciał być bohaterem. To wszystko. Nawet niekoniecznie bohaterem. Chciał tylko pewnego dnia wejść do pokoju pełnego obcych i usłyszeć, jak ktoś mówi: "To ten Ganner Rhysode. On wie, jak się załatwia sprawy".

Tak, wiem, jak załatwiać sprawy, myślał gorzko. Siebie też załatwiłem. Ale bohater. Dziewica w opałach.

Właśnie to sprawiało, że było mu coraz bardziej mdło.

Miał dość bycia Gannerem Rhysode. Bohaterskich prób bycia bohaterem. Bohaterskich prób niebycia bohaterem. Byle jaki Jedi, kiepski pilot, cholernie marny dowódca. Dość miał bycia żartem natury.

Miał dość i już.

Przednia straż, dochodząc do Wielkich Wrót, rozdzieliła się na dwa skrzydła, ustawiając się po obu stronach mostu. Muzyka wrzasków wzniosła się w tryumfalnym crescendo. Wojownicy towarzyszący Nomowi Anorowi i Wielkiemu Mistrzowi Przemian uformowali drugi szereg wewnątrz pierwszego. Kapłani otaczający Jacena i Gannera przyklękli, dotykając mostu czołami.

Jacen szedł naprzód powoli, spokojnie, nie okazując napięcia i nie zdradzając wysiłku, aby tysiące zebranych Yuuzhan nigdy się nie domyśliły, że niesie Gannera jak dziecko w niewidzialnych ramionach Mocy.

Zatrzymał się przed Wielkimi Wrotami i ustawił Gannera obok siebie. Z tej perspektywy żywe miasto Yuuzhan Vongów rozpościerało się u ich stóp jak ogromna, splątana dżungla o wszystkich możliwych barwach, oplatająca szkielety z durabetonu i transparistali.

- Ganner, możesz już stać? - zapytał cicho. - Nie musisz iść. Tylko stój. Muszę teraz coś zrobić.

Ganner zmobilizował każdą uncję woli, aby zdławić i przełknąć narastającą falę wstydu i wstrętu do samego siebie. Zaczerpnął z Mocy, aby utrzymać się w pozycji pionowej i dodać swojemu głosowi siły.

- Tak. Tak, idź, rób swoje. Nic mi nie będzie, Jacenie - skłamał i zmusił się, aby dodać: -
Dzięki.

Jacen posłał mu cień dawnego uśmiechu Solo.

- Kiedyś mi się zrewanżujesz.

Jak gdybym mógł liczyć na taką okazję, pomyślał Ganner, ale ugryzł się w język.

Jacen przybrał znów na twarz wyraz powagi niczym maskę. Zwrócił się ku zebranym tłumom i podniósł ramiona.

- Jestem Jacen Solo! Jestem człowiekiem! Byłem Jedi!

Jego głos huczał jak artyleryjska kanonada, echo powtarzało te same słowa po yuuzhańsku.

Nikk pryozz Jacen Solo! Nikk pryozz człowiekiem! Nikk pr'zzyo Jeedai!

Teraz jestem sługą Prawdy!

Ganner skrzywił się, słysząc ton głosu Jacena. Jak na kogoś, kto tylko odgrywa rolę, Jacen wydawał się niepokojąco szczery...

Ganner poczuł powiew Mocy, jak powiew wiatru nad lasem. Przeszedł obok, nie dotykając go. Wielkie Wrota otwarły się do wewnątrz, odsłaniając skryte za nimi cieniste Atrium i po obu stronach ciemne jak jaskinie wloty Wielkiego Pasażu.

Jacen uniósł ręce dłońmi do góry, jakby sięgając ku splatającym się barwom Mostu nad ich głowami.

- DAJCIE ŚWIADECTWO! - zagrzemiał. Echo odpowiedziało:

- Tchurokk!

- DAJCIE ŚWIADECTWO WOLI BOGÓW!

Zanim echo skończyło wykrzykiwać "Tchurokk Yun'tchilat", Jacen już się odwrócił i dziarsko przeszedł przez Wielkie Wrota. Zawieranie Mocy pociągnęło za nim Gannera. Nom Anor i Wielki Mistrz Przemian wykonali gest, jakby chcieli iść za nim, razem z całą grupą kapłanów i straży, ale zaledwie Ganner minął próg, Jacen odwrócił się i zrobił niewielki gest, który Ganner odczuł jako kolejny szybki i niewiarygodnie potężny powiew Mocy.

Wielkie Wrota zatrasnęły się z hukiem.

Echa ucichły. Powoli.

Atrium stało się jaskinią z żywego koralu yorik.

Ogromne pomniki, które kiedyś przedstawiały rozmaite gatunki i rasy Nowej Republiki, teraz stały się nierozpoznawalnymi, bezkształtnymi słupami, podobnymi do sopli starej lawy. Wielkie czarne cienie kryły załomy koralu, a otwory Wielkiego Pasażu po obu stronach zionęły bezdenną głębią nocy. Jedyne światło - pulsujący, siarczany blask żółci i czerwieni - przesączał

się do Atrium z arkadowego przejścia naprzeciwko Wielkich Wrót.

- Skąd się bierze to światło? Zaraz, zaraz, czekaj... - tępo wymamrotał Ganner. - Nie pamiętam, żeby tu były jakieś drzwi... To były kiedyś... biura służb wywiadowczych, prawda?

- Może nie zauważyłeś, ale trochę się tu zmieniło. - Jacen już szedł w kierunku arkady. - Chodź. Nie mamy wiele czasu.

Ganner potykając się podążył za nim.

Za łukiem był półkilometrowy korytarz z koralu yorik. Dach i boki tworzyły nierówne półkole, nieco mniej niż pięciometrowej szerokości i takiej samej wysokości. Pulsujące, czerwonopomarańczowe światło wypełniało przeciwległy jego koniec, od czasu do czasu rozbłyskując palącą żółcią.

- Jak leci? - rzucił Jacen, krocząc rytmicznie. Ganner włókł się obok. - Radzisz sobie? Potrzebujesz jeszcze pomocy?

- Ja... ja... - Na pewno tym razem nie dam plamy, poprzysiągł sobie Ganner. - Nie, wszystko dobrze. Jestem tuż za tobą.

Dach tunelu otworzył się nagle nad ich głowami na wielką, czerwono oświetloną przestrzeń. Wkrótce ściany też opadły na boki. Podłoga tunelu zmieniła się w zwodzony most wiodący na okrągłą platformę, o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów, wiszącą swobodnie w ogromnych kłębach siarczanej mgły, która przyprawiała Gannera o kaszel i łzawienie.

- Co to za miejsce?

- Rozejrzyj się - posępnie odparł Jacen. Jeśli palący żar lub opary siarki mu przeszkadzały, to nie okazywał tego. Wydawał się nasłuchiwać. - Daj mi minutę. Muszę się skoncentrować.

Ganner ledwie go słyszał. Wytrzeszczał oczy i powoli kręcił się w kółko.

Kiedyś była tu Wielka Sala Posiedzeń Senatu.

Sto metrów niżej, gdzie kiedyś stała kolumna podium prezydenta, teraz kipiał ogromny dół pełen rozjarzonego śluzu. Ogromne bąble wypływały na powierzchnię, pękając w fontanny szkarłatu i gwiazdnej żółci - to właśnie z tego dołu pochodziło całe światło.

Wokół wznosiła się gigantyczna misa z koralu yorik. Wspinała się po kolejnych rzędach senackich platform, powoli, lecz nieuchronnie sięgając ku mrocznej, pograżonej w cieniu kopule sufitu.

W dole, w bajorze świecącego śluzu poruszała się ogromna, mięsista masa. Wynurzała

się na moment na powierzchnię śliską czarną falą, by po chwili znów się pogrążyć.

Ganner odskoczył od krawędzi.

- Fuj! Jacenie, tam coś pływa!

- Tak. - Jacen podszedł do przedniej krawędzi platformy. - Nie bój się, to mój przyjaciel.

- Przyjaciel? - Ganner spojrzał w dół, a stworzenie znów wychynęło na powierzchnię: czarne, wzdęte, jak paskudny wycieraczki żołądek, nabrzmiały złością. Jedno oko wielkości X-winga łypnęło na nich i zamrugało potrójnym kompletem przezroczystych powiek, które przetańczyły ze śluzu jego powierzchnię pod różnymi kątami, jak wycieraczki.

Teraz pojawiło się i drugie oko, mrugnęło i spojrzało na nich. Ze śluzu wyskoczył pęk olbrzymich macek.

Ganner rzucił się w tył, gdy macki świsnęły mu we mgle tuż przed nosem. Niezwykle giętkie mięsiste liny cięły powietrze tak szybko, że nawet nie był w stanie ich policzyć. Macki z młasknięciem uderzyły w platformę, prawie zbijając Gannera z nóg i odłupując wielkie jak głowa kawały koralu.

Jacen ani drgnął.

- Ten... ten twój niby przyjaciel... - odezwał się, dygocząc, Ganner. - Jakoś się nie wydaje uszczęśliwiony twoim widokiem...

- No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to dziwiło. Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, próbowałem go zabić.

- Zabić... eee... przyjaciela? - Oszołomiony i półżywy z obrzydzenia Ganner spojrzał w dół i próbował parsknąć śmiechem, ale ten zdławiony dźwięk, który z siebie wydobył, bardziej przypominał histeryczny chichot.

- Ciekawe, jak traktujesz swoich wrogów.

Jacen przekrzywił głowę, w jego brązowych oczach nagle pojawiła się zaduma.

- Nie mam wrogów.

- Co?

Jacen wskazał palcem na drugą stronę Studni, nieco pod kątem w stosunku do nich.

- Widzisz tę platformę... tę, która wystaje spod fałdy koralu? To dawna platforma dla delegatów z Kashyyyk. Wolą ręczne drzwi. Wiem, że nie jesteś tak silny jak Wookie, ale używając Mocy, powinieneś dać radę je otworzyć.

- Tam? W dole? - Ganner poczuł, że żołądek znów mu się ściska. - Chcesz, żebym tam

poszedł?

- Posłuchaj, po prawej stronie znajdziesz prywatne biuro senatora Kashyyyk. Jest tam szyb turbowindy, ukryty za tajnym przejściem niedaleko biurka. Wystarczy, żebyś zsunął się w głąb szybu i znajdziesz się w tunelach.

Tunele? Tajemna winda? Kiedy ten Jacen zacznie wreszcie gadać z sensem?

- A po co Wookiem tajna turbowinda?

- Sądzę, że wszystkie biura delegatów były w nie wyposażone. Prowadzą one do ukrytych tuneli, pełnych ekranowanych sal konferencyjnych, gdzie można by odbywać tajemne spotkania i różne takie. Łączą się nawet z biurem Fey'lyi w Pałacu Imperialnym.

- A skąd ty to wszystko wiesz?

- Gannerze - oschle odparł Jacen - te biura należały kiedyś do mojej matki.

- Och, racja.

- Jeśli dotrzesz do tuneli, powinieneś przynajmniej znaleźć kryjówkę na jakiś czas. Może uda ci się przeżyć kilka dni. Może nawet uciekniesz.

Ganner zdrętwiał.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że musisz spróbować, Gannerze. Daj sobie szansę.

- Och, nie, nie, nie! - Ganner cofnął się o krok i pokręcił głową. O nie, nic z tego...!

- Mamy tylko minutę lub dwie, zanim Nom Anor zdecyduje, że nie może dłużej udawać, iż nic się nie stało. Po dwóch minutach rozwałą Wielkie Wrota. W trzydzieści sekund później mnie zabiją.

- Co tu jest takiego, że chcesz za to poświęcić życie?

- Nie mam czasu wyjaśniać. Nie jestem nawet pewien, czy potrafię.

- Oczekujesz, że wezmę nogi za pas i pozwolę ci umrzeć? Za coś, czego nawet nie umiesz wyjaśnić? Idziesz ze mną albo nigdzie się nie wybieram!

- Wciąż się bawisz w bohatera, Gannerze?

Ganner skrzywił się lekko - ten strzał był zbyt bliski celu - ale wytrzymał.

- Nie, jestem tutaj tylko pomocnikiem. To ty jesteś bohaterem, Jacenie. Potrzebujemy takich jak ty. Dlatego przybyłem, żeby cię odszukać. Nowa Republika cię potrzebuje. - Zniżył głos. - Jaina cię potrzebuje. Jeśli jest choćby najbłedszy cień szansy, musisz przeżyć, Jacenie. Musisz spróbować!

Jacen pokręcił głową. Znow miał w twarzy skywalkerowską twardość.

- Nie. Nie muszę. Jedyne, co muszę, to zostać tym, kim jestem.

- O czym ty mówisz?

- Anakin miał swoją drogę. Jaina ma swoją. - Rozłożył ręce, jakby chciał pokazać daremność prób walki z losem. - Ja mam swoją.

- Mam gdzieś wszystkie głupie drogi! - desperacko zawołał Ganner. - W każdej chwili mogą rozbić drzwi... musimy uciekać!

- Nie. Ty musisz uciekać. Ja... Gannerze, posłuchaj, musisz to koniecznie zrozumieć. Jediną siłą, jaką mam... jaką ma każdy z nas... to być, kim jesteśmy. I właśnie to zamierzam tutaj wykorzystać. Być tym, kim jestem.

- Gadasz całkiem bez sensu! Ileż ty masz lat? Siedemnaście? Osiemnaście? Nie wiesz nawet, kim naprawdę jesteś!

- Nie muszę wiedzieć. Wystarczy, że zdecyduję - poważnie odparł Jacen. - Wybierz i działaj.

- Nie zostawię cię tutaj!

- To twoja sprawa.

- Ile czasu ci to zajmie, Jacenie? Ile czasu? - Ganner podszedł do niego. - A co, jeśli najpierw zabiją ciebie?

Jacen wzruszył ramionami.

- No to przegram. Kiedy zaczniesz być tym, kim jesteś, najpierw dowiadujesz się, że nie ma się czego bać.

Rozdzierający grzmot za ich plecami uniósł ze sobą odpowiedź Gannera. Most podskoczył ostro, podbijając mu stopy i wytrącając z równowagi. Odwrócił się i zobaczył kłęb dymu buchający z wylotu tunelu, cuchnący powiew, jak płonący gaz bagienny.

- To drzwi - nieobecnym głosem zauważył Jacen. - Czas nam się kończy. Zdaje się, że obaj przegramy.

Ganner ani drgnął.

Mózg wypełniło mu nagłe objawienie.

W tej chwili wszystko nabrało nagle sensu. Zrozumiał, o czym mówi Jacen. Nie ma się czego bać.

Zrozumiał, jaka siła drzemie w byciu tym, kim się jest.

Właściwie nawet nie musiał wiedzieć, kim jest. Wystarczyło, że zdecyduje.

Może wybrać i działać.

I nagle całe jego życie nabrało sensu. Życie, które było historią zabawy w bohatera. No dobrze, pomyślał. W porządku.

Mdłości znikły. Nie pozostało po nich nawet wspomnienie. Koniec słabości. Koniec niepewności. Zwątpienie i lęk ustąpiły wraz z mdłościami.

Podniósł miecz świetlny Anakina.

- Przegramy obaj, chyba że... - rzekł powoli - ...że ktoś ich tu nie wpuści.

- Musisz strugać bohatera - ze smutkiem powiedział Jacen. Nawet gdyby cię to miało zabić.

Ganner ścisnął rękojeść i włączył przycisk. Przez chwilę spoglądał na syczące ostrze. Oto broń bohatera. Prawdziwego bohatera. Nie nędznego aktorzyny. Nie imitacji bohatera, którą zawsze był Ganner.

Nie muszę być prawdziwym bohaterem, pomyślał. Na twarzy pojawił mu się olśniewający uśmiech starego Gannera. "Zapomnij o konsekwencjach i zaczynamy zabawę!" Wzdrygnął się i ciężar lat opadł mu z ramion. Oczy mu zabłyśły jak szczeliny iskrownika w czerwonym półmroku. Poczul, że lśni jak robot wojenny i jest od niego dwukrotnie silniejszy.

Nie muszę być bohaterem, pomyślał w milczącym zachwycie. Muszę tylko udawać.

- Tak jak powiedziałem, jestem twoim pomocnikiem - rzekł beztrząsco. - Moim zadaniem jest zapewnić, żeby prawdziwy bohater przeżył dość długo, by wykonać swoje. Ta cała historia z "potrzebą bohaterstwa" była zawsze moją największą słabością.

Jacen spojrział na niego, w niego, poprzez niego, jakby znał go na wskroś. Skinął głową.

- Ale powinieneś wiedzieć, że może być ona również twoją największą siłą. Pozwól sobie na użycie tej siły, Gannerze. Będziesz jej potrzebował.

- Masz rację. - Ganner spojrział na ostrze miecza świetlnego, jakby mógł odczytać swoją przyszłość w ametystowym promieniu. Wiesz, nigdy cię nie lubiłem, Jacenie. Wydawałeś mi się mięczakiem. Lalusiem. Intelktualistą z wiecznie krwawiącym sercem.

- Ja też nigdy cię nie lubiłem. - Ganner podniósł wzrok i stwierdził, że Jacen uśmiecha się do niego łagodnym, mądrym uśmiechem. - Myślałem, że jesteś zwykłym pyszałkiem i samochwałem. Wiecznie pozujący łowca chwały, bardziej przejęty tym, żeby dobrze wyglądać, niż dobrze działać.

Ganner zaśmiał się głośno.

- Miałeś rację.

- Ty też. - Jacen wyciągnął dłoń. - No cóż, oto nasza szansa, żeby pokazać, co potrafimy wspólnie pyszałek i krwawiące serce.

Ganner chwycił dłoń Jacena i uściśnął mocno.

- To będzie impreza, którą nieprędko zapomną.

Jacen cofnął się i uniósł ramiona. Pulsujący szkarłatny i zielony wzór splotów świetlistych żyłek na szacie zsynchronizował się z ulotnymi błyskami bulgoczącego śluzu w dole. Za jego plecami wzniosły się pęki macek, sięgnęły poza krawędź platformy, uniosły się łukiem wysoko w górę, ociekając lśniącym i pulsującym śluzem, i otoczyły go jak żywa aureola słoneczna. Sylwetka Jacena stała się ciemnym krzyżem na tle świetlistego rozbłysku.

- Jacen! - jęknął Ganner. - Za tobą!

- Wiem. - Jacen uniósł twarz. Macki wyszły mu na spotkanie; zniżył dłonie, aby je przyjąć i pozwolić, żeby ich lśniące zwoje spoczęły na jego ramionach. - Nie obawiaj się. To część mojego zadania.

Macki uniosły Jacena, delikatnie, niemal czule zamykając go w objęciach. Zdjęły go z platformy i łagodnie opuściły w kierunku bulgoczącej mazi, ale ogromne żółte oczy wciąż lśniły złością.

- Daj mi dziesięć minut - rzekł Jacen. - To powinno wystarczyć.

Szczęk obutych stóp dobiegający z tunelu narastał. Ganner zatrzymał się jeszcze na chwilę, by popatrzeć na Jacena, znikającego pod powierzchnią mazi. Poczul w Mocy eksplozję siły, pchnięcie i impuls: "Ruszaj!"

Chwycił wolną ręką przód szaty i zerwał ją z siebie. Pełgające sploty żyłek rozbłysły spazmatycznie ciemnym światłem. Rzucił szatę na platformę.

Ruszył.

Nom Anor zmrużonymi oczami patrzył poprzez dym kłębiący się w roztrzaskanych szczątkach Wielkich Wrót. Wojownicy, oddział za oddziałem, prześlizgiwali się obok stert powykęcanych blach durastalowych, które stygnąc pobrzękiwały i jęczały cicho. Rozbiegli się po wypełnionym dymem i cieniami Atrium z bronią gotową do walki, wyteżając oczy w poszukiwaniu celu.

Jeden oddział wojowników pobiegł w dół koralowego tunelu w stronę Studni, na rozpoznanie.

To było pięć minut temu.

Żaden nie wrócił.

Nom Anor zwlekał z przejściem. Nie przeżyłby tak długo w tej wojnie, nie doceniając Jedi.

Czerwonozłote światło pulsowało poprzez dym wypełniający łukowe przejście do Studni. W przejściu majaczyła jakaś postać. Zbliżała się leniwie poprzez dym, otoczona aureolą światła wydzielanego przez maź.

Ludzka postać.

Potężna, giętka, smukła... jak piaskowa pantera na spacerze. Swobodna, lecz czujna. Przygotowana do skoku.

Drapieżna.

Po plecach Noma Anora przebiegł zabobonny dreszcz.

Wojownicy rozdzielili się w tyralierę; oficerowie oglądali się na dowódcę, a ten na Noma Anora.

- To twoja impreza, Egzekutorze. Co mamy teraz zrobić?

- Ty! Ty tutaj! - nerwowo wykrzyknął Nom Anor we wspólnym. - Co ty tu robisz?

Odpowiedzią był głęboki, drwiący śmiech.

- A co, nie widać? Stoję na waszej drodze.

Ganner Rhysode. Nom Anor rozluźnił się trochę. To tylko Ganner Rhysode, słabeusz, który nawet nie mógł podejść pod rampę. Ganner Rhysode, którego nie szanowali inni Jedi. Ganner-pozer, aktorzyna. Żart. Nom Anor prychnął. Powinien właściwie rozkazać, żeby go pocięli na kawałki... ale Ganner w tej chwili wcale nie wydawał się słaby. Ani głupi.

A co się stało z oddziałem zwiadowców?

I czy Nom Anor na pewno chce być odpowiedzialny za rozpętanie bójki w Studni Mózgu Świata?

Zagryzł wargę tak mocno, że poczuł w ustach smak krwi.

- Odejdź! Tu są tysiące wojowników. Nie możesz nawet marzyć o tym, żeby nas powstrzymać.

- Nie muszę was powstrzymywać. Wystarczy, że trochę tu zamarudzicie.

Ostry, brzękliwy trzask sprawił, że Nom Anor podskoczył. Z dłoni cienia wytrysnął metrowej długości promień jaskrawego, skwierczącego ametystowego ognia.

- Chcesz, żebym się odsunął? - cień skinął na niego świetlistą klingą. - Chodź, odsuń mnie.

Dym rozwiął się częściowo, a człowiek pod łukiem nie wyglądał jak Ganner, którego zapamiętał Nom Anor. Ten Ganner miał na sobie jedynie spłowiałe brązowe spodnie i sfatygowane skórzane buty. Ten Ganner był wysoki, miał szerokie bary, a światło broni lśniło na umięśnionej nagiej piersi. Ostrze w jego dłoni było nieruchome jak korzenie gór, ale nie to sprawiło, że Nom Anor zawahał się i szybko przesunął żółtym, wąskim językiem pomiędzy spiłowanymi na ostro zębami.

Światło w oczach Gannera.

Wydawał się szczęśliwy.

- Tam są tysiące wojowników - powtórzył Nom Anor, bezradnie wymachując pięścią. - Ty jesteś jeden!

- Jestem Jedi.

- Jesteś stuknięty!

Śmiech człowieka, jaki zabrzmiał w odpowiedzi, był długi, głęboki i radosny, pełen szczęścia i swobody.

- Nie. Jestem Ganner.

Zakręcił lśniącym ostrzem w oślepiająco skomplikowanym pokłonie, który rozświetlił otaczający go łuk, niczym lśniące tęczowo obramowanie dla czystego, niemal zwierzęcego wdzięku jego ciała.

- Ten próg należy do mnie - oznajmił z radosnym uśmiechem. Biorę go na własność. Sprowadź tu swoje tysiące, pojedynczo albo wszystkich naraz. Jest mi to obojętne.

Pokłon zakończył się ukośną pozycją ostrza na wysokości piersi. W półmroku błysnęły zęby.

- Nikt nie przejdzie.

R O Z D Z I A Ł 14 DROGA PRZEZNACZENIA

Szli na niego pojedynczo, niekończącym się strumieniem. Każdy wojownik po kolei rzucał się w szlachetny pojedynek.

Potem...

Nadchodzili już po dwóch naraz.

Zanim zaczęli podchodzić grupami, żeby do niego dotrzeć, musieli wspinać się po ciałach zabitych towarzyszy. Po stosie ciał.

Stosie, który stał się murem. Barykadą,

Ganner Rhysode otoczył się fortem z trupów.

Nom Anor obserwował walkę z pełną zgrozy fascynacją z bezpiecznego punktu obserwacyjnego - zza skrzyconego płata durastali, który do niedawna stanowił część Wielkich Wrót. Wszystko, co widział poprzez dym i napierające masy wojowników naciskających, aby zaatakować szalonego Jedi, ograniczało się do przeblysków jaskrawej purpury, a czasem nawet samego Jedi, kiedy wyskakiwał w górę, wirował i koziołkował, zawsze w ruchu, dżgając i tnąc, rozrzucając po podłodze Atrium kolejne trupy i odcięte członki.

- To szaleństwo! - Nom Anor obejrzał się na dowódcę, który w milczeniu stał u jego boku. - Czy nie można go po prostu wysadzić? Zagazować? Cokolwiek?

- Nie. - Blizny na twarzy dowódcy zaśniły bladym błękitem. Stawia nam czoło z honorem. Czy pozwoliłbyś, aby yuuzhańscy wojownicy okazali mniej honoru niż niewierny Jeedai?

- Wsadź sobie gdzieś ten honor! Nie rozumiesz? W Studni Mózgu Świata też jest Jedi, a ten Jedi to Jacen Solo! - Użył tego nazwiska, jakby sam jego dźwięk mógł wywołać szatana... a może zresztą tak było.

Tylko szatan mógł zabić królową voxynów. Tylko szatan mógł rozsiekać dhuryamy, mistrzów przemian i wojowników w Szkółce. A przecież zdradzieckim sposobem wkradł się w zaufanie Noma Anora, do tego stopnia, że on... on, sam Nom Anor, wprowadził tego przerażająco zabójczego Jedi do jedyne miejsce na Yuuzhan'tar, z którego może zniszczyć całą planetę.

- Jacen Solo jest sam na sam z Mózgiem Świata i...

- Mózg Świata doskonale potrafi sam się obronić. - Przy drugim boku Noma Anora pojawił się nagle Ch'Gang Hool, Wielki Mistrz Przemian. - Pomijając kwestię honoru, nie

możemy użyć potężnych materiałów wybuchowych ani trujących gazów. Mózg Świata byłby w większym niebezpieczeństwie przez takie nieudolne próby pomocy niż przez pojedynczego Jeedai.

- To nie jest normalny Jedi - z uczuciem odparł Nom Anor. - Nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny! Musimy się tam dostać! Musimy go powstrzymać!

Dowódca wydał serię rozkazów i oddział ciężkozbrojnej piechoty natychmiast pognął w kierunku łuku. W blasku służy ich zbroje z nakładających się skorup krabów vonduun lśniły zimnym blaskiem. Obejrzał się na Noma Anora.

- Wkrótce to zrobimy. Zachowaj spokój, Egzekutorze.

- Ten spokój też sobie możesz wsadzić!

- Wydajesz się trochę... hm... spięty - wymruczał Ch'Gang Hool. Czułki nad jego wargą zadrgały lekko. - Można by się zastanawiać, czy się nie czujesz w jakiś sposób... eee... odpowiedzialny za ten chaos?

Nom Anor otworzył usta, zaczerpnął tchu, by coś powiedzieć, ale zmienił zdanie; potem chciał powiedzieć coś innego i znów się rozmyślił. Czułki nad wargą Wielkiego Mistrza Przemian splotły się w kształt subtelnie obsceniczny. Nom Anor odwrócił wzrok. Był o krok od zderzenia tych idiotycznych czułek z drwiąco uprzejmej gęby tego urzędasia i zjedzenia ich...

O kilka kroków dalej, na rampie, pośród kłębiącego się tłumu kapłanów i wojowników ujrzał Vergere. Napotkała jego wzrok i delikatnym ruchem głowy dała mu znak, by szedł za nią. O, tak, zrobi to, pomyślał, przeprosił towarzyszy i ruszył w jej stronę. Ma do powiedzenia tej małej istocie parę dobrze wyważonych słów...

Vergere doszła prawie na sam dół rampy, zalanej białobłękitnym światłem słonecznym, i zatrzymała się. Wyprostowaną dłoń oparła na liściastej gałęzi drzewa. Zanim Nom Anor ją dogonił, warczał już wściekle:

- Widzisz, co zrobił ten twój "uczeń"! Ten zasmarkany zdrajca zdradził nas!... I to wszystko twoja wina!

- Może i tak. - Jej głos, miękki jak śpiew fletu, był niezmiennie pogodny. - Ale lepiej zapomnijmy o kwestii winy, co, Egzekutorze? Przecież to nieważne, kto jest naprawdę winien; najważniejsze jest to, kogo Tsavong Lah obierze sobie za winnego, czy nie mam racji?

Nom Anor rozwarł bezwargie usta, ukazując ostre jak igły zęby. Doskonale sobie potrafił wyobrazić, co robi Tsavong Lah, gdy tylko wieść o tej katastrofie dotrze do jego

fanatycznych uszu.

- A dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Ponieważ masz mnie z sobą zabrać.

Znieruchomiał jak głaz.

- Zabrać cię z sobą? - zapytał z wystudiowaną obojętnością.

- Będziesz mnie potrzebował. Ocaliłam kiedyś życie żony Luke'a Skywalkera. Kiedy Nowa Republika zobaczy mnie u twojego boku, może najpierw będzie pytać, a potem strzelać, a nie odwrotnie.

Nom Anor w duchu musiał przyznać jej rację, ale nie okazał tego otwarcie.

- Sądziysz... że mam jakiś plan ucieczki?

- Egzekutorze, proszę - zganiła go. - Zawsze masz jakiś plan ucieczki. Tym razem masz też coś lepszego: ukryty statek koralowy, wyhodowany głęboko pod Studnią.

- Ja... ja... ja... nic podobnego! - Skąd ona mogła się o tym dowiedzieć? Ukryty korytarz po drugiej stronie Studni, który otwierał się wyłącznie dla niego, prowadził do statku koralowego. Wyhodował go dla Noma Anora przekupiony mistrz przemian. To było kilka miesięcy temu, na wczesnym etapie przemiany Senatu Galaktycznego w Studnię Mózgu Świata.

- Chyba nie myślisz...

- Egzekutorze, nie kręć. Sądziysz, że tylko ty jeden możesz przekupić mistrza przemian? A to chodzenie wokół twojego stateczku, zanim dorósł, ta dbałość o niego...

- Pssst! Dość! - Obejrzał się przez ramię na rampę. Dowódca odwrócił się właśnie i obserwował walkę, ale Ch'Gang'Hool wciąż zerkał wyczekująco w jego stronę. Gdyby teraz odszedł, tamci nabraliby podejrzeń. Mogłoby się nie udać.

Vergere wydawała się czytać w jego myślach.

- Egzekutorze, jeśli nie uciekniemy teraz, nie będzie drugiej szansy. Nie będzie statku. - Stanęła na palcach, żeby zbliżyć do niego twarz. - Jacen Solo go ukradnie!

Powierzchnia mazistego bajora zamyka się nad Jacenem Solo niczym wargi, ciepła jak krew.

Nie czuje jej.

Splątane liny macek rozciągają jego ramiona, ciasno krępują nogi, owijają szyję jak garota. Ich szorstkie łuski ranią skórę. Strumyczki krwi ciągną się za nim, uwięzione w plazmie, niczym gałęzie drzewa fraktalnego. Macki wykręcają go, obracają, zginają, wciągając coraz

głębiej pod powierzchnię, która jarzy się wokół niego złocistożółtym i szkarłatnym światłem, błyska kolorami, zmieniającymi się wraz z jego ruchami i rozjaśniającymi w kontakcie z ciepłem jego ciała.

Jacen ich nie widzi.

W najgłębszej głębinie bajora śluzu macki obracają go twarzą w górę, przypierając plecami do kręgu ostrych kamieni. Ten krąg był kiedyś mównicą prezydenta, z której tak często przemawiała jego matka. Macki ciągną go i unoszą ku ogromnemu, rozdętemu ciału, które w czarnych zwałach przewala się pomiędzy przejrzyście zielonymi płatami i linami trzewi. Wszystkie wyrastają z obwodu ogromnej, głodnej paszczy; po obu stronach tej kłapiącej czeluści lśnią niesamowite oczy, błyszczące żółto, gniewnie i podejrzliwie.

Jacen nawet ich nie zauważa.

Skupia całą uwagę na pustym miejscu w piersi.

Jego puste wnętrze rozbrzmiewa gniewem i nieufnością, i głodnym triumfem: emocjami Mózgu Świata, który dopadł wreszcie dawnego przyjaciela, niedoszłego mordercę.

Dawnego przyjaciela, któremu ufał i przez którego został zdradzony.

Ruchome zęby niczym miecze wyrastają z guzów mięśniowych jak dziesiątki języków. Na widok ofiary zaczynają szczękać w otoczonej mackami paszczy.

Jacen może odpowiedzieć tylko smutkiem i żalem.

Tak, zdradziłem cię. Nauczyłem cię ufności i nauczyłem, co to znaczy zaufać zdrajcy.

Nie mogłem go nauczyć przebaczać, bo sam się jeszcze tego nie nauczyłem. Zbyt wiele jest rzeczy, których nigdy nie zdoła przebaczyć.

Macki zaciskają się i wprowadzają go do ziejącej paszczy, a zęby-miecze zatrząskują się na jego ciele.

Jacen nie ucieka.

Nie stawia oporu.

Nie walczy.

Otwiera się tylko. W najskrytszych zakamarkach jego ciała, tam, gdzie znajduje się pustka, która niegdyś sprawiała mu ból, on teraz ofiaruje uścisk.

W tę pustkę pośrodku przelewa całe swoje współczucie. Absolutną empatię. Doskonałą wyrozumiałość.

Przyjmuje ból, jaki sprawił dhuryamowi swoją zdradą; dzieli się z dhuryamem

cierpieniem, jakie ta zdrada sprawiła jemu samemu.

Dzieli z dhuryamem wszystkie doświadczenia swojego życia: bezcielesną biel bólu, czerwony przypływ wściekłości, czarną dziurę rozpacz, promienie straty... i jaskrawą zieleń rosnących roślin, szarość kamienia i durabetonu, lśnienie klejnotów i transparistali, błękitnobiałe, skwierczące południe i jego wierne echo w ostrzu miecza świetlnego.

Dzieli się z nim miłością do tych wszystkich rzeczy, gdyż są one jednym: radością i bólem, stratą i zjednoczeniem, życiem i śmiercią. Kochać jedną z nich, to kochać wszystkie, albowiem żadna nie może istnieć bez drugiej.

Wszechświat.

Moc.

Wszystko jest jednością.

Yuuzhanie i rasy Nowej Republiki.

Jacen i Mózg Świata.

Kiedy zdradziłem cię, zdradziłem też i siebie samego. Kiedy zabiłem twoich braci, zabijałem kawałki siebie. Możesz mnie zabić, ale ja i tak będę żył w tobie.

Jesteśmy Jednością.

Jacen nie wie, czy słowa te zostały wypowiedziane przez niego do Mózgu Świata, czy przez Mózg Świata do niego, gdyż Jacen i Mózg Świata są jedynie dwiema odmiennymi twarzami tego samego. Nazwij to Wszechświatem, Mocą albo Istnieniem. To tylko słowa.

Półprawdy. Kłamstwa.

Kłamstwa. Prawda jest zawsze większa od słów, które ją opisują.

Zgrzyt świetlnego ostrza po amphistaffie - dźgnięcie, które wprowadza skwierczącą, niszczycielską energię poprzez skórzastą błonę między kciukiem a palcem wskazującym Yuuzhanina w miejscu, gdzie dłoń styka się z amphistaffem.

Świat wirujący w wysokim salcie nad głowami dwóch wojowników, szarżujących ramie przy ramieniu; bezwładny upadek, kiedy pojedynczy miecz świetlny rozcina dwa karki i pozbawia dwa ciała ramion...

Zdumione mrugnięcie wojownika, kiedy ametystowe ostrze energii przeszywa mu usta i przesuwa się w górę, aby wypalić trzycentymetrowej szerokości tunel od podniebienia aż po

czubek głowy...

Takie krótkie mgnienia składają się na śmierć Gannera Rhysode'a:

Śmierdząca spalonym mlekiem krew Yuuzhan smażąca się na jego mieczu...

Linie palącego lodu - cięcia pozostawiane na jego ciele przez amphistaffy...

Zimny płomień jadu amphistaffa pożerający jego nerwy...

To tylko nutki melodii w symfonii Mocy Gannera. Moc nie tylko daje mu siły, nie tylko go unosi i obraca; krąży również w jego żyłach w rytmie wszechświata...

On sam stał się Mocą, a Moc stała się nim.

Nie jest bezpośrednio świadom sekwencji swojej śmierci: czas znikł wraz z lękiem, zwątpieniem i bólem w tej wiecznej sekundzie, kiedy oddał kontrolę nad sobą. Stojąc pod łukiem w oczekiwaniu na Yuuzhan Vongów, Ganner zrozumiał, że właśnie tu i właśnie teraz jest ta chwila, dla której przeżył całe swoje życie.

Już dzień narodzin postawił go na tej drodze; każdy triumf i każda tragedia, każdy szalony wyczyn i poniżenie, każdy przypadkowy i bezużyteczny zwrot okrutnego losu nawarstwiały się w nim, gromadził jak fala wszechogarniającego przypływu poza barierami opanowania. Bariery te zbudowali rodzice, próbując wygładzić szorstkie krawędzie jego arogancji; zbudowali je drwiącym śmiechem jego towarzysze zabaw, kiedy wydrwiwali każdą próbę zaimponowania im; dołożył się do nich nawet trening u Luke'a Skywalker'a...

"Jedi się nie popisuje, Gannerze - mawiał Luke. - Walka to nie gra. Dla Jedi walka jest klęską. To tragedia. Kiedy trzeba rozlać krew, Jedi robi to szybko, w sposób chirurgiczny, z powagą i szacunkiem. Ze smutkiem".

Ganner tak długo próbował, tak bardzo się starał być tym, czym powinien być według nich wszystkich; usiłował kontrolować swoją tęsknotę do dramatu, elegancji, wdzięku, artyzmu; próbował być dobrym synem, dobrym przyjaciелеm, pokornym człowiekiem, dobrym Jedi...

Ale tu, pod łukiem, nadszedł dla niego koniec prób.

Nie ma już powodu, żeby opierać się prawdzie o sobie samym. Odgrywanie roli bohatera jest nareszcie dozwolone.

Więcej, jest konieczne.

Aby utrzymać łuk, nie wystarczy ranić i zabijać, nie wystarczy być spokojnym, precyzyjnym, smutnym...

Aby utrzymać łuk, nie może po prostu mordować; musi to robić bez wysiłku, bez troski,

ze śmiechem. Radośnie.

Aby utrzymać łuk, musi tańczyć, wirować, skakać i wywijać salta, wyzywając kolejnych przeciwników. Kolejne ofiary.

Musi sprawić, żeby się zawahali, zanim przed nim staną.

Musi sprawić, że będą się bać...

Wypowiedział te słowa: znalazł magiczne zaklęcie, zdolne przełamać tkwiące w nim bariery i uwolnić powódź.

Nikt nie przejdzie.

Władą bronią poległego bohatera, ale to on jest teraz bohaterem, a polegną inni.

On powstanie.

Moc z hukiem przepływa przez niego, a on z hukiem przepływa przez Moc. Odrzucając więzy opanowania, odkładając na bok rozsądek, odpowiadając jedynie na przyływ namiętności i radości, nagle odnajduje Moc, o jakiej nawet mu się nie śniło.

Sam stał się walką.

Nie jest świadom zwałów trupów zalegających tunel; stopy wymijają je zwinnie bez udziału jego woli.

Nie jest świadom skreślonych arkuszy durabetonu, które wyciągnął z ruin Wielkich Wrót, a które krążą teraz wokół niego, by wychwycić grad żuków udarowych i osłaniać go z boków.

Nie jest świadom zatopionych w koralu posągów z Atrium, które pochwycił w swój taniec Mocy - ogromnych figur przedstawiających rasy Nowej Republiki; zda się, że ożyły, by walczyć u jego boku. Posągi nagle zaczynają się chwiać, kołysać, aż wreszcie padają, miażdżąc swoim ciężarem tuziny, setki napastników, zmieniając Atrium w rzeźnię.

Nie jest też świadom konsystencji koralu, który pokrywa ściany, ani natężenia światła, ani liczby swoich przeciwników. Z ilu już walczył? Z tuzinem? Setką? Ilu z nich odniosło ciężkie rany i wycofało się w bezpieczne miejsce? Ilu leży martwych w kłębach siarkowego dymu?

Nie pamięta. Pamięć nie istnieje. Nie ma przeszłości. Nie ma przyszłości.

Nie jest świadom nawet samego siebie. Ani Yuuzhan Vong. To jakby był każdym wojownikiem, z którym walczy, zabijając siebie za każdym razem, kiedy pada kolejny przeciwnik. Nie ma już nikogo nazwiskiem Ganner Rhysode, nie ma już Yuuzhan Vong, nie ma już Jedi.

Są tylko tancerze i taniec.

Tylko taniec. Od wirowania kwarków po krążenie galaktyk, wszystko jest ruchem.

Wszystko jest tańcem.

Wszystko jest.

Nom Anor gestem nakazał Vergere, by zaczekała, sam zaś rozejrzał się szybko po raz ostatni. Przed nim wznosiła się koralowa góra Studni. Za nią widniał na wpół ukończony cierniowy labirynt, pusty, bo wszyscy mistrzowie przemian wynieśli się na front Studni, zwabieni hałasem bitewnym. Odległe eksplozje odbywały się w nierównym rytmie, podkreślanym cichszymi krzykami.

Upewniwszy się, że nie są obserwowani, Nom Anor odsunął na bok miękkie arkusze fałszywego koralu, odsłaniając nosojęzor membrany wejściowej. Wsunął dłoń do środka, wciąż rozglądając się nerwowo, podczas gdy nosojęzor smakował i analizował wydzieliny jego skóry. W sekundę później rozpoznał go i odsunął większą zasłonę fałszywego koralu, odsłaniając ukrytą pod nim membranę.

Nom Anor skinął na Vergere, żeby poszła za nim.

Koral yorik ustąpił miejsca poczerńałowemu ze starości durabetonowi; korytarz zmienił się w labirynt. Klucząc wąskimi przejściami, Nom Anor gratulował sobie sprytu, z jakim przygotował plan ucieczki. Od chwili rozpoczęcia pierwotnego przekształcenia nikt nie odwiedzał Studni, oprócz mistrzów przemian i ich asystentów; nikt nie chciał ryzykować śmiertelności gniewu Ch'Ganga Hoola z wyjątkiem jednego mistrza przemian, którego zachłanność była większa od tchórzostwa. Z wszystkich Yuuzhan, tylko ten jeden mistrz przemian i sam Nom Anor wiedzieli o tym, że pod basenem Mózgu Świata znajdują się ogromne pomieszczenia - niegdyś biura kanclerza Nowej Republiki.

Pomieszczenia te były częściowo zrujnowane. Uszkodzone przez zniszczenie Senatu, nigdy nie zostały naprawione. Nom Anor starannie wybierał drogę pomiędzy stertami gruzów, poprzez dżunglę poskręcanej durastali i zwisających kabli. Tu, na dole, wciąż jeszcze działały niektóre z kul żarowych stosowanych przez Nową Republikę; nie zostały zniszczone jako błuźnierstwo wyłącznie dlatego, że jedynie Nom Anor i jego pupilek mistrz przemian wiedzieli o ich istnieniu.

Przeszedł ponad zgiętym przesłaniem i ujrzał go: smukły, długi kadłub, wyprofilowany tak, aby rozcinać atmosferę jak nóż, bliźniacze dowin basale - jeden do napędu, jeden do obrony,

powierzchnie ustawione tak, by odchyłać promienie czujników, gładka, matowa czerń, pochłaniająca światło, aby utrudnić celowanie wzrokowe.

Mistrz przemian, który go wyhodował, gwarantował, że statek będzie równie szybki, jak cała flota Yuuzhan Vong; Nom Anor często wykorzystywał ukryte przejście, by w tajemnicy odwiedzać statek podczas wzrastania. Dzięki temu mózgpilot statku mógł zapoznać się z myślowym podpisem Noma Anora. W czasie swoich wizyt Egzekutor często zabawiał się rozważaniami, jakie to nowe zastosowanie znalazł dla komnat, które niegdyś należały do legendarnego Palpatine'a.

Obronny dovin basal spowoduje zapadnięcie się części durabetonu i koralu yorik, tworząc tunel skierowany wprost w niebo. Mózgpilot, w którym zakodowano niezbędne kody rozpoznawcze umożliwiające przebycie kordonu floty wokół planety, miał również w pamięci przygotowane współrzędne, umożliwiające skok do przestrzeni Nowej Republiki. Kiedy Nom Anor znajdzie się w środku, będzie poza wszelkim zasięgiem.

Wewnątrz statku będzie bezpieczny.

- Piękny, prawda? - mruknął, wkładając dłoń do nosojęzora statku. Właz natychmiast posłusznie otworzył się na całą szerokość. Vergere, oto wynik planowania z uwzględnieniem ryzyka. Nigdy nie przyjmuję, że odniosę sukces. Dlatego zawsze zdołam przeżyć. Zawsze mam plan awaryjny, uwzględniający wszelkie możliwe katastrofy.

- Naprawdę zawsze? - Coś w jej głosie sprawiło, że stanął jak wryty. - Wszelkie możliwe katastrofy?

Zanim zdążył zaczerpnąć tchu, aby zapytać, o co jej chodzi, niewypowiedziane pytanie otrzymało swoją odpowiedź: do mdłości znajomy dźwięk.

Powoli, zmrożony strachem przed tym, co zaraz zobaczy, ale niezdolny się powstrzymać, spojrział w kierunku światła, rozjaśniającego zrujnowany gabinet: światło syczało i przyskało zielenią, dobywając białe iskry z czarnych krzywizn jego statku.

Stwierdził, że patrzy w łagodnie zaokrągloną końcówkę klingi miecza świetlnego, znajdującą się o centymetr od jego nosa.

- Miecz świetlny to interesująca broń - zauważyła Vergere tonem pogawędki. - Ostrze wyjątkowe w historii uzbrojenia. Paradoks, tak jak i zwyczajnie Jedi, którzy nim władają, tych wojowników pokoju, którzy zabijają w służbie życia. Zauważyłeś coś ciekawego? Klinga jest okrągła. Nie ma ostrza. Ale to miecz świetlny, więc cały jest ostrzem. Nie ma takiej części klingi,

która by nie cięła. Ciekawe, prawda? Można by powiedzieć, że symboliczne.

- Co? - Nom Anor otworzył usta, zamknął je, otworzył znowu. Chciał zapytać, co ona wyprawia. Chciał się dowiedzieć, skąd wzięła miecz świetlny. Chciał spytać o tyle innych rzeczy, ale z jego ust wydobywało się tylko jedno słowo: - Co?

Vergere znów zdawała się czytać w jego myśli.

- To Jacena - odparła wesolutko. - Pomyślałam sobie, że może zechciałby go dostać z powrotem, jak sądzisz?

- Nie możesz...

- Ależ mogę. - Skinęła głową w kierunku blasku po drugiej stronie statku. - Chyba uda mi się wyciąć sobie drogę do Studni.

- Jeśli mnie zabijesz... - zaczął desperacko.

- Zabić cię? Nie bądź głupi. - Kable zwisające pośród dżungli ruin ożyły nagle i ze świstem przecinając powietrze skrępowwały Noma Anora. Okręciły się wokół niego dość mocno, by wydusić mu z płuc cichy jęk, po czym pozapłatały się w obrzydliwie skomplikowane węzły. Vergere obserwowała ich akcję... której sama była inicjatorką... z wesolutkim uśmiechem na twarzy i jaskrawopomarańczowym błyskiem grzebienia. Nom Anor pojął to w jednej chwili.

- Gdybym chciała, żebyś zginął, wystarczyło mi pozostawić cię tutaj. Tsavong Lah już by się zajął resztą.

- Ale przecież nie możesz mnie zostawić - zaprotestował. Już zaczął dochodzić do siebie po pierwszym szoku. - Nie możesz lecieć moim statkiem. Jest uwarunkowany na mnie! Tylko ja mogę...

- Może to i prawda - zgodziła się. - Ale wątpię. Twój stateczek jest w końcu żywą istotą, a Jacen, jak pewnie zauważyłeś, ma specyficzny dar zjednywania sobie żywych istot.

- Ty... on... oboje oszaleliście! To się nie może stać!

- Egzekutorze - odparła surowo, przerywając mu ruchem miecza. - Czy nie zapowiedziałam ci, że Jacen Solo ukradnie twój statek?

Nom Anor wytrzeszczył oczy.

- Kiedy wreszcie się nauczysz - zapytała, kręcąc głową z udanym smutkiem - że wszystko, co ci mówię, jest prawdą?

Nagle taniec załamuje się, potyka.

Nie ma już z kim walczyć.

Ganner chwieje się, kręci mu się w głowie; umiera zatruty jadem amphistaffów, sączącym się przez niezliczone rany. Jego krew płami podłogę pod butami i ściany otaczającego go tunelu.

Tylko Moc utrzymuje go w pozycji stojącej.

Słyszy zbliżający się zgrzytliwy grzmot i wkrótce już wie, co to za dźwięk generuje drgania, które wstrząsają podłogą; nadchodzi coś ogromnego i ciemnego, człapie na zakrzywionych, sękatych nogach jak kamienne kolumny, wielopalczaste stopy miażdżą beztrusko ciała Yuuzhan Vongów. Ciało tego stworza uzbrojone jest ogromnymi, rogowymi płytami, a potężna głowa kołysze się z boku na bok jak kabina AT-AT w trybie łowcy-zabójcy. Potężne szczęki ociekają ogniem.

Wzdłuż jego boków maszerują wojownicy.

Zdaje się, że to było nieuniknione, myśli Ganner z nutą melancholii. Wcześniej czy później ci źli zawsze wkładają zbroję.

Wkrótce wszystko się skończy; nie potrafi stawić czoła takiej bestii wspomaganej przez piechotę. A jednak Moc podsuwa mu jeszcze jedną, ostatnią sztuczkę.

Choć Moc jest ślepa na wojowników i na żywy czołg, i na otaczający ich koral, Ganner czuje doskonale durabetonowe ściany Senatu, tworzące szkielet Studni. Czuje, że tunel przecina mnóstwo elementów nośnych - wie także, że otaczający go durabeton pełen jest pęknięć pochodzących od nadmiernych naprężeń, że już się rozsypuje, zapada pod niewyobrażalnymi tonami otaczającego go koralu.

Ganner się uśmiecha.

Bestia rzyga strumieniem skoncentrowanego kwasu; Ganner używa Mocy, żeby ustawić blachę Wielkich Wrót jak durastalową tarczę. Strumień kwasu odbija się i spływa po ścianie. Koral dymi, umiera, w jednej chwili zmienia się w ciecz. Blacha Wielkich Wrót zaczyna się topić.

Żuki ciskane przez wojowników świszczą mu koło uszu, topniejąca blacha tańczy przed nim, odbijając je w kierunku spalonej kwasem ściany. Eksplozje rozpryskują wokół płynny koral i odłamki durabetonu.

Budynek nad ich głowami zaczyna stękać. Wojownicy przykucają, z nagłym lękiem spoglądając w górę. Olbrzymia bestia ryczy.

Ganner wybucha śmiechem. Moc jest z nim, a on znów jest tancerzem.

Stał się wcieleniem tańca.

Mocą sięga w głąb otaczającego go durabetonu i zaczyna pchać.

Jacen ze zdumieniem stwierdził, że żyje.

Kły Mózgu Świata nie zamknęły się na nim. Macki nie zdarły mu ciała z kości. Nie utonął w bajorze śluzu, nie zadławił się fosforyzującymi glutami. Wojownicy Yuuzhan Vong nie wyroili się wokół niego, żeby go wyciągnąć i wyrzucić z niego życie amphistaffami.

Wokół niego uformował się bąbel powietrza; macki objęły go jak uśpione dziecko, wargi zamknęły się na ostrych jak miecze zębach i dotknęły go niczym w pocałunku.

Wszystko dlatego, że Jacen był Mózgiem Świata, a Mózg Świata był nim i każde z nich było wszystkim innym, Jacen zaś nauczył się, że można wyjść na spotkanie wszechświata i jego bezsensownego cierpienia - to znaczy również siebie - z lękiem, z nienawiścią lub rozpaczą.

Albo wyjść mu na spotkanie z miłością.

Jacen wybrał.

Wciąż jednak był zaskoczony, że wszechświat może okazać mu wzajemną miłość.

W najdalszej z możliwych odległości, a właściwie tuż obok, wyczuł oceaniczną falę Mocy wzbierającą w międzygwiazdym fortissimo symfonii radości; w tej samej chwili, w pustce, którą nosił w piersi, wyczuł wściekłość, ból, gorączkę walki i nagle zrozumiał drugi powód, dla którego wciąż jeszcze żyje.

Ganner...

Sięgnął uczuciami w górę i zebrał wokół siebie potęgę wszechświata.

Macki opadły z jego rąk i nóg, otaczający go pęcherz powietrza pękł. Musnął czubkami palców Mózg Świata - pożegnalna pieszczota dla przyjaciela.

Jacen Solo wyskoczył ze śluzu jak wystrzelony z wyrzutni torped.

Pomknął w kłęby siarczanego dymu, w szacie jarzącej się od śluzu, który ciągnął się za nim lśniącymi sznurami i skapywał niczym spadające gwiazdy; przeskoczył ponad bajorem, aby wylądować na skraju misy, gdzie korał stykał się z nagim durabetonem senackiej platformy. Podniósł głowę, wpatrując się w zwodzoną kładkę, która zwisała nad Studnią jak język wysunięty z paszczy rzygającej dymem i szkarłatnym płomieniem... i ametystowym blaskiem miecza świetlnego.

Słyszał ludzki głos. Nie mógł rozróżnić słów, ale ton był charakterystyczny.

Ganner się śmiał.

Pogrążony w Mocy Jacen ujął kładkę dłońmi swojego umysłu. Jeden długi, gładki ruch uniesie go i postawi u boku Gannera. Dołączy do niego, ramię przy ramieniu staną przeciwko Yuuzhanom.

- Jacenie, zaczekaj.

Słowa zostały wypowiedziane niezbyt głośno, ale tak wyraźnie, że zadźwięczały w jego uszach, jakby mówiąca osoba stała obok niego - zresztą równie dobrze mogło tak być, bo poprzez Moc poczuł, jak niewidzialna dłoń ujmuje go za ramię.

Skinął głową.

- Powinienem być wiedzieć. Jakoś powinienem był odgadnąć, że się tu znajdziesz.

Vergere stała zaledwie o kilka metrów w prawo od niego, trochę wyżej, na obrośniętej koralem platformie, która niegdyś należała do delegacji Kashyyyku.

- Chodź, Jacenie. Twój pobyt w krainie zmarłych dobiegł końca. Czas wrócić na jasne pola dnia.

Nie odpowiedział, odwrócił się tylko ku kładce - ale jej uchwyt poprzez Moc zacisnął się na jego ramieniu.

- Nie uratujesz go, Jacenie. Możesz najwyżej umrzeć u jego boku. On już wybrał swój los. Jediną pomocą, jaką możesz mu ofiarować, jest uszanowanie tego wyboru. Stoisz u bram śmierci: przed tobą całe życie. Jeśli teraz zawrócisz, jeśli bodaj obejrzysz się za siebie, jesteś zgubiony.

- Więc co mam zrobić? Nie zostawię go! Nie zostawię! - Odwrócił się w jej kierunku. Drżenie ogarnęło jego kark, plecy i ramiona, po czym zeszło w dół na dłonie i nogi. - Nie pozwolę, aby ludzie oddawali za mnie życie!

- On nie oddaje życia za ciebie. On ci je ofiarowuje. Czy odmówisz przyjęcia daru umierającego człowieka?

- Nie mogę... Vergere, po prostu nie mogę...

- Czy to najlepsze zakończenie historii twojego życia?

Sięgnął poprzez Moc i pchnął z całej siły, uwalniając się z jej uchwytu.

- Nie zostawię go.

Wzruszyła ramionami.

- A więc może ci się to przyda.

Rzuciła coś w jego kierunku. Przedmiot leniwie zakręcił się w powietrzu, lśnią

srebrzyście w blasku rzucającym przez śluz. Chwycił go instynktownie.

Miecz świetlny.

Jego miecz świetlny.

Dziwnie się czuł, trzymając go w dłoni. Zabawnie. Obco.

Nie widział go od dnia śmierci królowej voxynów.

Kiedy go trzymał po raz ostatni, był kimś innym. Chłopcem. Smutnym chłopcem, pełnym wewnętrznych konfliktów, desperacko poszukującym czegośkolwiek, czego może być pewien. Wolał umrzeć za pewne nic niż żyć dla niepewnego czegoś.

- Wybieraj i działaj - rzekła.

Spojrzał w kierunku bitwy. Ciągnęło go tam, aż się palił, żeby znaleźć w sobie tę czystą ekstazę, kosmiczną symfonię, którą wyczuwał w Gannerze... ale...

Spojrzał znów na Vergere.

- Zawsze, kiedy do mnie mówisz, kryje się w tym jakaś sztuczka.

- Teraz też - przyznała. - Ale to nie ta sama sztuczka. Za pierwszym razem byłeś chłopcem. Nie rozumiałeś tak naprawdę, co odrzucasz. Za drugim razem byłeś zagubiony w ciemności i potrzebowałeś krzemienia i stali, by zapalić pochodnię. Ale teraz... czym jesteś teraz, Jacenie Solo?

W jednej chwili ujrzał wszystko od początku: od Serpidala i Belkadanu, poprzez Duro i Myrkr, po Objęcia Cierpienia, Szkółkę, Świątynię Jedi i zwierzojaskinię...

Nie był wojownikiem, o tym był przekonany. Nie takim jak Jaina, ani takim, jakim był Anakin. Nie był bohaterem, jak wujek Luke albo ojciec, ani wielkim politykiem jak matka, ani strategiem jak admirał Ackbar, ani naukowcem jak Danni Quee...

Przypomniał sobie, że nie musi wiedzieć, kim jest. Musi tylko zdecydować.

- Zdaje mi się... - rzekł powoli, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się trzymanemu w dłoni mieczowi. - Zdaje mi się... że jestem uczniem.

- I być może tak jest - zgodziła się Vergere. - A zatem jesteś również nauczycielem, ponieważ obaj stanowią jedność. Ale aby nim być, musisz się uczyć i musisz nauczać. Musisz żyć.

Miała rację, Wiedział, że ma rację. Czuł to z taką pewnością, jak niczego do tej pory. Ale Ganner...

Spojrzał znów w górę i w tym momencie w Studni Mózgu Świata, w głębi tunelu ponad

jego głową narodziło się nowe słońce. Narastający żółty blask stawał się coraz jaśniejszy, aż zbieleł i rozbłysnął tak, że Jacen musiał zakryć dłonią oczy i odwrócić wzrok.

Studnia zadrżała w posadach. Wyczuł nagły lęk Mózgu Świata, kiedy zwodziona kładka i platforma zapadły się i poleciały ze stumetrowej wysokości, by pograżyć się w bajorze śluzu. Świat wydawał się drżeć i dygotać, z tunelu rzygnął kłęb dymu i kurzu...

- Co... - jęknął Jacen, krztusząc się kurzem, który śmierdział spaloną krwią i durabetonem. - Co jest...? Czy to Ganner? Co się tam dzieje?

- Może to Ganner. A może broń Yuuzhan Vong. Co za różnica? Twój wybór pozostaje taki sam: zostać albo odejść.

Żar nad jego głową zgasł w powolnym, niskim grzmocie trzęsienia ziemi i w nowych kłębach kurzu, a kiedy Jacen sięgnął poprzez Moc, nie znalazł już Gannera.

W pustce w jego piersi znikli również walczący z Gannerem wojownicy.

Jacen długo patrzył w wylot tunelu. Teraz widział, że przejście zostało zasypane przez gruz. A potem otaczające go platformy zaczęły się zapadać, kruszyć i zsuwać na dno misy w kierunku bajora ze śluzem. Nawet pograżone w mroku sklepienie wysoko nad jego głową zdawało się zapadać. Poczul na ramieniu ciepłą dłoń i usłyszał cichy, ciepły szept: "Idź".

Wydawało mu się, że to głos Gannera.

Zmarszczył brwi i zgromił wzrokiem Vergere. Odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem.

Nigdy się nie dowie, co się tam stało.

Nigdy się nie dowie, czy głos, który usłyszał, rzeczywiście należał do Gannera, czy był to jeden z trików Vergere.

Nigdy się nie dowie - nie może się dowiedzieć - niczego pewnego. Prawda jest ulotna, a pytania są nieraz bardziej użyteczne od odpowiedzi.

Wiedział tylko jedno: życie polega raczej na dokonywaniu wyborów niż na wiedzy. Nigdy nie pozna celu, do jakiego wiedzie jego droga, ale zawsze może wybrać kierunek, w którym postawi następny krok.

Wybrał.

- To ty miałas być moim przewodnikiem po krainie umarłych, prawda? - zapytał. - No to bierz się do roboty i pokaż mi, jak stąd wyjść.

Uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Oczywiście - stwierdziła. - Tylko czekałam, aż poprosisz.

EPILOG NAUKI

Jacen ułożył się na żywej kanapie w żołądku towarowym stateczku koralowego, wyglądając przez przejrzystą krzywiznę rogówkowego iluminatora w monochromatyczną głębię nadprzestrzeni. Vergere siedziała po drugiej stronie pokoju, skulona w kociej pozycji. Wyglądała, jakby drzemała, ale Jacen w to nie wierzył.

Wciąż jeszcze nie udało mu się zobaczyć jej we śnie.

Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, przypominał sobie moment, kiedy znaleźli się przy stateczku ukrytym pod Studnią i znaleźli Noma Anora związanego jak nerf na rzeź. Pamiętał, jak Egzekutor Yuuzhan Vong błagał, żeby go zabrali ze sobą.

- Jeśli mnie tu zostawicie, popełnicie morderstwo!

Jacen odwrócił się tyłem do niego i z kamienną twarzą wsiadł do stateczku.

- Nie myśl o tym w kategoriach śmierci - rzekł łagodnie. - Raczej jako o Błogosławionym Uwolnieniu.

Gdy tylko Nom Anor zrozumiał, że prośby nie zdadzą się na nic, zabrał się za przeklinanie. Twierdził, że tylko dzięki jego protekcji zdołali oboje przeżyć tak długo.

- Zabierz ją ze sobą, ty mały, obrzydliwy zdrajco - splunął w kierunku Jacena. - Jeden zdrajca wart drugiego.

Vergere odparła wesoło.

- A czego się spodziewałeś? Jak miałam uczyć kogoś zdrady, dopóki nie poznałam jej sama?

A jednak, zadumał się Jacen, w określeniu "zdrajca" było trochę prawdy. I on, i ona, oboje kłamali, oboje oszukiwali, oboje udawali lojalność, aby służyć własnym celom.

Ciekawe... kiedy Vergere była w pobliżu, nawet tak oczywiste słowo jak "zdrada" nabierało dwuznaczności.

Jacen od czasu do czasu pociągał bulion z glistobukłaka lub w zadumie zrywał skorupkę z kolejnego szczękokożuka. Leniwie zastanawiał się, jak jego żołądek zareaguje teraz na stare, pocziwe syntsteki i ziemniaki. W ogóle nie pamiętał, jak smakuje normalne jedzenie.

Zastanawiał się, co w tej chwili może jeść Jaina i przez sekundę kusiło go, by się otworzyć na ich bliźniaczą więź.

Ale nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Nie był gotów.

Co miałby jej powiedzieć? Jaką informację mógłby przekazać za pośrednictwem tej więzi, aby bodaj zasugerować jej, czym się stał? Jeszcze bardziej obawiał się dowiedzieć, czym ona się stała.

Nie wiedział, co powie ludziom, kiedy wróci do przestrzeni Nowej Republiki. Nie mógł sobie wyobrazić, jak stanie twarzą w twarz z matką. Albo ojcem. Albo wujkiem Lukiem.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak wyjaśni, w jaki sposób zginął Ganner Rhysode.

Przez pierwsze dni podróży bardzo dużo rozmyślał o Gannerze. Nie potrafił pogodzić pompatycznego, aroganckiego, nieco głupawego faceta, którego znał przez większość życia, z transcendentalną siłą i radością, jaką odczuwał w nim poprzez Moc. Jak jeden Ganner nagle zmienił się w drugiego? To nie miało sensu. Chyba nigdy nie zrozumie, dlaczego Ganner postanowił się poświęcić.

- Przecież nawet mnie nie lubił - tłumaczył Jacen Vergere. - A ja jego też nie.

Vergere spoglądała na niego kątem niezglębionego oka.

- Nie musisz kogoś lubić, żeby go kochać. Miłość jest niczym innym, jak tylko uznaniem, że dwoje stanowi jedność. Że wszystko stanowi jedność.

Jacen pomyślał o dhuryamie, który stał się Mózgiem Świata, i skinął głową.

- Pod koniec Ganner wiedział o tym lepiej niż ty kiedykolwiek wyjaśniła. - Taka wiedza jest nasieniem wielkości.

Jacen pokręcił głową i uśmiechnął się niewesoło.

- Wciąż mam problemy, kiedy usiłuję użyć słów "wielkość" i "Ganner Rhysode" w jednym zdaniu.

- Urodził się, aby stać się legendą.

- Może i tak - westchnął. - Ostatnia Barykada Jacena. Szkoda, że nikt jej nie oglądał.

- Nikt? Chciałeś powiedzieć, nikt z Nowej Republiki. Wiesz co, opowiem ci o wizji, którą miałam kiedyś. Wizji odległej przyszłości. Przyszła do mnie poprzez Moc jakiś czas temu, ale dopiero teraz ją zrozumiałam. W tej wizji widziałam nową postać w mitologii Yuuzhan Vong. Nie boga, nie demona, lecz niezwykłego olbrzyma zwanego Gannerem.

- Żartujesz, prawda?

- Wcale nie. Zaczynam wierzyć, że ten Ganner, Olbrzym Jedi, jest Strażnikiem, który strzeże Bram do Krainy Umarłych. I to właśnie Ganner ze swoim wiecznie płonącym mieczem stoi na wieczystej straży, pilnując, by cienie umarłych nie zawróciły przez Bramę i nie nawiedzały żyjących. Najciekawszą częścią tej wizji - zachichotała lekko - jakby i bez tego nie była dość dziwaczna... są słowa wyryte na kamieniu nad Bramą, w łuku okalającym głowę Gannera... słowa we wspólnym.

- We wspólnym? Dlaczego miałyby być we wspólnym?

- A kto to wie? Takie wizje są zagadkowe i rzadko mają przypisy na końcu.

- No to jak brzmi ten napis?

Vergere rozpostarła ręce dłońmi w górę, wzruszając ramionami na znak niezrozumienia.

- Litery są wielkie, głęboko wyryte i głoszą: NIKT NIE PRZEJDZIE.

Mijały dni, jeden podobny do drugiego.

Jacen miał mnóstwo czasu na myślenie.

Myślał, jak to jest być uczniem. I nauczycielem.

I Jedi.

I zdrajcą.

I cienioćmą.

Pewnego dnia zapytał o to Vergere.

- Możesz mi powiedzieć, o co ci chodziło przez ten cały czas? Co chciałaś ze mnie zrobić?

- Oczywiście, już mówię - odparła swobodnie. - Chciałam uczynić cię dokładnie tym, czym jesteś.

- Nie jest to szczególnie jasna odpowiedź.

- Ale jedyna, jaka istnieje.

- Czym więc jestem...? Nie, nie mów. Już wiem. To pytanie zawsze sobie zadawałaś, prawda? Gdybyś wiedziała, jakie to potrafi być wkurzające!

- Wybacz moją ciekawość - przerwała z taką miną, jakby chciała zmienić temat. - Zawsze się jednak zastanawiałam: co właściwie zrobiłeś w Studni Mózgu Świata?

Jacen skulił się i przez chwilę wiercił się na żywej kanapie, żeby przybrać wygodniejszą pozycję.

- A czego się po mnie spodziewałaś?

Jej grzebień załśnił zielenią.

- Ty i ja za dobrze się znamy. W porządku, przyznaję się: nie wiedziałam, czego się spodziewać. Sądziłam, że zabijesz albo Mózg Świata, albo siebie. Trzecia możliwość... że pójdziesz dalej i poświęcisz Gannera... nie wydawała mi się prawdopodobna.

- Ale nie niemożliwa.

- Nie - odparła. - Nie niemożliwa.

- Wybrałem inną opcję - wyjaśnił Jacen. - Uwiodłem Mózg.

Grzebień Vergere zamigotał pomarańczowo.

- Naprawdę?

- Wykorzystałem dhuryama, aby udzielił Yuuzhanom lekcji. Prawdziwej lekcji. Coś w rodzaju tych, jakie ty dawałaś mnie - uśmiechnął się Jacen, ale był to uśmiech twardy i zimny, lśniący w jego oczach niczym suchy lód. - Mózg Świata jest teraz po naszej stronie.

- I co, będzie walczył z Yuuzhanami? Pracował dla Nowej Republiki? - sceptycznie zapytała Vergere. - Podwójny agent inżynierii genetycznej?

- Nie, nie przejdzie na stronę Nowej Republiki, lecz na naszą. Twoją i moją.

- Ach, tak? - Znow przysiadła jak kot, a jej czarne oczy załśniły. Więc teraz mamy naszą własną stronę?

- Myślę, że mamy - odrzekł. - Dhuryam nie będzie z nimi walczył, bo Yuuzhanie Vong to fanatycy. Dla nich wszystko jest Dobre albo Złe, Uczciwe lub Nieuczciwe, wszystko jest Prawdą lub Błuznierstwem. Kiedy walczysz z fanatykami, musisz sprawić, aby stali się fanatykami jeszcze większymi niż na początku. Tymczasem mój przyjaciel, Mózg Świata, nauczył ich czegoś.

Usiadł prosto.

- Odkryją wkrótce, że vongizacja Yuuzhan'tar poszła nie całkiem zgodnie z planem. I że wszystko dla nich będzie teraz szło w odrobinę niewłaściwym kierunku. Choćby nie wiem jak się starali, nic nie stanie się dokładnie tak, jak sobie tego życzą.

Grzebień Vergere zamigotał z zainteresowaniem.

- A czego ich to nauczy?

- Chodzi o fanatyzm - wyjaśnił Jacen. - To najgorsza cecha Yuuzhan Vongów. Zamiast godzić się z tym, co mają, usiłują wszystko zmusić do stania się tym, czym według nich powinno

się stać. Na Yuuzhan'tar im się to nie uda. Będą musieli albo zamordować dhuryama i zacząć wszystko od zera... a na to nie mają ani czasu, ani środków... albo nauczyć się kompromisów. Rozumiesz?

- Jasne - z uznaniem odparła Vergere. - To najcenniejsza nauka, jaką możesz przekazać fanatykowi: że fanatyzm zawsze jest samobójczy.

- Właśnie. - Jacen wyjrzał znów przez rogówkowy iluminator w nieskończoną nicość nadprzestrzeni. - Znam paru Jedi, którym też by się przydała taka lekcja.

Vergere nagle poderwała się na równe nogi i otoczyła ramionami szyję Jacena w zaskakująco gorącym uścisku. Kiedy się cofnęła, oczy jej lśniły - nie drwiną, lecz prawdziwymi łzami.

- Jacenie, jestem z ciebie taka dumna - szepnęła. - To najwspanialszy moment w życiu nauczyciela: kiedy uczeń go przewyższy.

Jacen stwierdził nagle, że i on ma łzy na rzesach.

- Więc tak naprawdę tym jesteś? Moją nauczycielką?

- I uczennicą, bo oboje tworzą jedność.

Sklonił głowę. Bolesny ucisk w piersi nie pozwolił mu podnieść wzroku.

- Twarda ta lekcja.

- Bo i wszechświat jest bezlitosny - odparła gdzieś z boku. - Nie nauczysz się niczego, jeśli nie przyplacisz tego cierpieniem.

- Może i masz rację - westchnął. - Ale przecież musi być łatwiejszy sposób.

Przystanęła obok niego i odparła po dłuższej chwili:

- Może właśnie tego będziesz musiał mnie nauczyć.

Poza wszechświatem jest nicość.

Ta nicość nazywa się nadprzestrzenią.

W nicości wisi mała bańka istnienia. Ta bańka nazywa się statkiem.

Bańka nie jest ani w ruchu, ani w bezruchu, nie zna orientacji, ponieważ w nicości nie istnieją odległości ani kierunki. Wisi tam od zawsze albo od krótkiej chwili, bo w nicości nie istnieje czas. Czas, odległość, kierunek mają znaczenie tylko wewnątrz bańki, a bańka może je utrzymać jedynie poprzez całkowite rozdzielenie tego, co znajduje się wewnątrz, od tego, co znajduje się na zewnątrz.

Bańka jest swoim własnym wszechświatem.

A w tym wszechświecie żyją zdrajcy. Jeden jest nauczycielem i uczniem, a drugi uczniem i nauczycielem.

Jeden wszechświat jest ogrodnikiem.

Ten wszechświat zdąża ku drugiemu, większemu wszechświatowi: wszechświatowi, który jest ogrodem...

Wciąż pełnym chwastów.

Spis treści

<u>P R O L O G</u>	<u>O B J Ę C I A</u>	<u>C I E R P I E N I A</u>	<u>I U P A D E K</u>	<u>R O Z D Z I A Ł 1</u>	<u>K O K O N R</u>	<u>O Z D Z I A</u>			
<u>Ł 2</u>	<u>S Z K Ó Ł K A R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 3</u>	<u>O G R Ó D R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 4</u>	<u>W O L A</u>	<u>B O G Ó W R</u>	<u>O Z D Z I A</u>
<u>Ł 5</u>	<u>Z A S I E W</u>	<u>I I J A S K I N I A</u>	<u>R O Z D Z I A</u>	<u>Ł 6</u>	<u>D O M R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 7</u>	<u>K R A T E R R</u>	<u>O Z D Z I</u>
<u>A Ł 8</u>	<u>W M R O K R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 9</u>	<u>B R Z U C H</u>	<u>B E S T I I R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 10</u>	<u>W O L N Y</u>	<u>I W</u>
<u>D O M U</u>	<u>I I I B R A M Y</u>	<u>Ś M I E R C I R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 11</u>	<u>Z D R A J C A R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 12</u>	<u>Ś W I A T Ł O</u>	<u>D R O G I</u>
<u>P R A W D Y R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 13</u>	<u>C H O R Y</u>	<u>N A</u>	<u>C H W A Ł Ę R</u>	<u>O Z D Z I A</u>	<u>Ł 14</u>	<u>D R O G A</u>	<u>P R Z E Z N A C Z E N I A</u>
<u>E P I</u>	<u>L O G</u>	<u>N A U K I</u>	Table of Contents						

P R O L O G O B J Ę C I A C I E R P I E N I A

I U P A D E K

R O Z D Z I A Ł 1 K O K O N R O Z D Z I A Ł 2 S Z K Ó Ł K A R O Z D Z I A Ł 3 O G R Ó D R O Z D Z I A Ł 4 W O L A B O G Ó W R O Z D Z I A Ł 5 Z A S I E W I I J A S K I N I A

R O Z D Z I A Ł 6 D O M R O Z D Z I A Ł 7 K R A T E R R O Z D Z I A Ł 8 W M R O K R O Z D Z I A Ł 9 B R Z U C H B E S T I I R O Z D Z I A Ł 10 W O L N Y I W D O M U I I I B R A M Y Ś M I

E R C I

R O Z D Z I A Ł 11 Z D R A J C A R O Z D Z I A Ł 12 Ś W I A T Ł O D R O G I P R A W D Y R O Z D Z I A Ł 13 C H O R Y N A C H W A Ł Ę R O Z D Z I A Ł 14 D R O G A P R Z E Z N A C Z E N I A E P I

L O G N A U K I

